

EKATERINA SEDIA

**TAJEMNA
HISTORIA
MOSKWY**

Przełożyła Maria Gębicka-Frać

WYDAWNICTWO MAG

WARSZAWA 2008



Tytuł oryginału:
The Secret History of Moscow

Copyright © 2007 by Ekaterina Sedia

Copyright for the Polish translation
© 2008 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:
Joanna Figlewska

Korekta:
Urszula Okrzeja

Ilustracja na okładce:
Damian Bajowski

Opracowanie graficzne okładki:
Jarosław Musiał

Projekt typograficzny, skład i łamanie:
Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-101-0

Wydanie I

Wydawca:
Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel. (22) 813-47-43, fax (22) 813-47-60
e-mail kurz@mag.com.pl
www.mag.com.pl
Druk i oprawa:
drukarnia@dd-w.pl

Моим родителям, Нине и Алексею
эта книга посвящается

Spis treści

1 GALINA	5
2 JAKOW	15
3 FIODOR	26
4 WEJŚCIE	36
5 DAVID	48
6 SOWIN	57
7 ŻONA	69
8 TRUP	80
9 OKSANA	93
10 TIMUR-BEJ	103
11 WIOŚLARZ	114
12 POGROM	127
13 PTAK GAMAJUN	137
14 NAPOLEON	149
15 KOŁOMIENSKOJE	160
16 JEDNOOKIE LICHO	173
17 AŁKONOST, SIRIN, GAMAJUN	183
18 PTAKI	194
19 MASZA	205

GALINA

Miała długie palce, zwężające się niczym cerkiewne świece. Przesunęła je przez płomień zapalniczki, ostrożnie, z początku nic nie czując. Potem trzymała je dłużej, w oczekiwaniu, że zaczną się topić i spływać. Zrobiły się jednak czerwone i pokryły pęcherzykami, więc cofnęła je ostrożnie, obserwując, jak naskórek się wydyma i tworzy maleńkie przezroczyste namiociki na opuszkach. Już wymyślała kłamstwo, jakie powie współpracownikom, żeby wyjaśnić oparzenia. Żelazko. Skwierczący, tryskający olej na patelni. Napalm. Zaśmiała się na tę myśl. Napalm nigdy nie uspokaja, a wiarygodne kłamstwa opierają się tylko na zwyczajnych rzeczach - jedzenie, prasowanie, obowiązki domowe. Rozległo się pukanie do drzwi łazienki.

- Gałka, zasnąłaś? - Zapytała Masza. - Wychodź, śpieszy mi się. Zdmuchnęła zapalniczkę.

- Zaraz wyjdę.

- Palisz?

- Nie - odparła i otworzyła drzwi.

Masza, różowa i spocona, przemknęła obok niej, muskając ją wielkim ciężarnym brzuchem, już podkasując podomkę.

Galina szybko wyszła. Ciężar Maszy ją martwiła - nie tylko dlatego, że siostra miała ledwie osiemnaście lat, i nie dlatego, że jej przyszły mąż wciąż przebywał w wojsku, odslugując drugi, ostatni rok. Nieuchronnie zbliżające się narodziny wrzeszczącego różowego stworzenia, które skradnie jej resztki siostrzanego uczucia, bolały ją bardziej niż ośmielała się przyznać - ich matka i babka były takie podekscytowane dzieckiem! Galina udawała, że ona też, i parzyła się zapalniczkami, gdy nikt jej nie widział, karząc się za egoizm. Miała nadzieję, że nie wpadnie znowu w kłopoty.

Podmuchała na palce i poszła do pokoju, który dzieliła z matką i babką. Masza miała teraz własny pokój, co stanowiło jeszcze większy powód do żywienia urazy i w konsekwencji płakania nad własną potwornością. Babci nie było w domu, znów leżała w szpitalu, skąd być może już nie wróci, a matka rozmawiała przez telefon w korytarzu. Galina rozkoszowała się chwilami samotności. Wyciągnięta na łóżku, słuchała znajomych hałasów dobiegających z pobliskich torów i mamrotania matki za drzwiami. Mimo woli przysłuchiwała się jej słowom.

„Oczywiście, że jest za młoda”, mówiła matka. „Ale lepiej za wcześniej niż za późno, znasz Galinę: jest starą panną i wątpię, czy da mi wnuki, i naprawdę żałuję, że nie ma nieślubnego dziecka, w dzisiejszych czasach kogo to obchodzi. Wiem, nie znajdzie męża, i już się z tym pogodziłam. Ale gdyby miała dziecko... Och, wiem, mówiłam jej milion razy. Ale nie uwierzyłabyś, jaka jest uparta, i wątpię, czy jakiś mężczyzna długo by z nią wytrzymał”.

Galina słyszała to wszystko wcześniej - dla matki mężczyźni byli wyjątkową, cenną zdobyczą, na którą trzeba przebiegle zastawiać sidła. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz ich rozmowa nie przerodziła się w wykład, jak ma się stać bardziej atrakcyjna - powinna ładniej się ubierać, mniej pyskować i częściej się uśmiechać. Może w ten sposób przyciągnie uwagę jakiegoś mężczyzny na tyle długo, że zdąży zająstrować jej dziecko. Ostatnio starała się unikać rozmów z matką. Ale głos w korytarzu brzmiał nadal:

„Nie chcę, żeby przemieniła się w zgorzkniałą dziwaczkę, która nienawidzi mężczyzn. Zeszłam razem, gdy wróciła ze szpitala” (matka nigdy nie mogła się zmusić, żeby powiedzieć „psychiatryka”), „przez jakiś czas miałam nadzieję. Ale teraz - sama nie wiem, czy powinna tam wrócić, czy może nie są w stanie nic zrobić, żeby jej pomóc”.

Galina pamiętała tamten dzień, gdy wróciła do domu, wciąż opuchnięta po koktajlach sulfazynowo-neuroleptycznych, którymi ją szprycowali. Miejsca po zastrzykach wciąż bolały i wtedy postanowiła, że nie zrobi niczego, co mogłoby spowodować powrót do szpitala. Nigdy nikomu nie mówiła, co przemyka na skrajach jej pola widzenia - o dziwnych stworzeniach, o strasznych widokach. Szpital psychiatryczny był przedłużeniem matki, karzącej ją za każdym razem, gdy sprawiła jej zawód. Woliała te monotonne tortury niż dojmujący ból igieł i przeżywany na wpół na jawie neuroleptyczny koszmar. Wciąż czuła się winna z powodu swoich kłamstw.

Wtulila twarz głębiej w poduszkę i zakryła uszy rękami, żeby nie słyszeć głosu z korytarza. Ale było za późno - lęk już się zagnieździł, nakłaniał ją do ucieczki, jak najdalej, żeby się ochronić. Jak wtedy, gdy była dzieckiem (jedynym dzieckiem), i dręczył ją strach, że życie, jakie widzi wokół siebie, jest wszystkim, co czeka ją w przyszłości, i chciała uciec, żeby nie ugrzęznąć w zabijającej duszę rutynie domu i pracy, telewizji, nabywania rzeczy dla nich samych. Jak bardzo wtedy pragnęła uciec... Teraz dorosła świadomość, że nie ma dokąd, przydawała tej potrzebie wyjątkowej pilności. Książki, które kochała, obietnice tajemnych światów, okazały się kłamstwem.

A potem rozległ się wrzask - w pierwszej chwili pomyślała, że to kot sąsiadów, któremu ktoś nadepnął na ogon, skarży się głośno na wielką krzywdę, i jeszcze mocniej otuliła głowę poduszką. Potem zrozumiała, że to wcale nie koci krzyk, tylko ludzki. Dziecko.

Odrzuciła poduszkę i pobiegła, skarpety ślizgały się na gładkiej powierzchni drewnianej podłogi. Krzyk dobiegał z łazienki i Galina załomotała pięściami w zamknięte drzwi. Nie doczekała się odpowiedzi.

Matka zostawiła telefon z dyndającą słuchawką na stoliku w korytarzu i też zaczęła walić w drzwi. Mała kobieta, ale jej pięści uderzały z taką siłą, że drzwi dygotały. Galina się cofnęła.

- Nie stój tak - warknęła matka.

Galina pobiegła do kuchni. Gdzieś tam musiała być stara skrzynka z narzędziami, którą zostawił ojciec, odchodząc w nieznane. Zaczęła jej szukać, trzaskając drzwiami szafek, z paniką narastającą w miarę jak otwierała i z rozczarowaniem zatrząskiwała kolejne drzwiczki. Wreszcie znalazła skrzynkę na serwantce i chwyciła największy śrubokręt. Uzbrojona, pośpieszyła z powrotem pod drzwi łazienki, gdzie matka wciąż łomotała, a dziecko nie przestawało płakać.

Zepchnęła matkę z drogi i uderzyła w drzwi przy klamce, odłupując długie drzazgi nad zamkiem. W końcu go wyważyła.

Dziecko, wciąż z pępowiną, leżało na podłodze. Matka w pośpiechu podniosła i wytarła ręcznikiem wijące się różowe stworzenie. Oczy Galiny gorączkowo przeszukiwały przestrzeń pomiędzy białą porcelaną sedesu i wyszczerbionym brzegiem wanny. Umywalka. Lustro. Okno. Okno jest otwarte. Ale nie ma Maszy.

Matka była zbyt zajęta dzieckiem, żeby zauważyć zniknięcie młodszej córki. Galina wyjrzała przez okno, jakby się spodziewała, że zobaczy Maszę unoszącą się

jakimś cudem osiem pięter nad ziemią. Powietrze przed nią było puste, wyjąwszy samotną kawkę, która krążyła i krążyła.

Stała na palcach, na wpół wywiesiła się z okna, żeby zobaczyć ziemię pod domem, bojąc się ją zobaczyć. Przez zawroty głowy i fale rodzących się mdłości ujrzała asfalt na dole - pusty, wyjąwszy parę zbłąkanych kotów i grupkę starszych pań na ławce przy wejściu. Kawka skrzeczała i trzepotała skrzydłami. Zatoczyła krąg nad głową Galiny, dopominając się o uwagę; wylądowała na parapecie i przekrzywiła łebek, patrząc na nią lśniącem czarnym okiem, lekko otwierając dziób, jakby próbowała przemówić. Jej matowe pióra miały barwę żelaza.

Galina poczuła, że świat przechyla się jej pod nogami, i nagle płacz dziecka i żalony głos matki ucichły, oko kawki uwięziło ją w bąblu ciszy i trwogi.

- Masza? - Szeptęła zimnymi ustami. - To naprawdę ty?

Kawka przyskoczyła bliżej i pokiwała głową, jakby mówiła: „Tak, to ja. To ja”.

- Nie - powiedziała Galina. - To niemożliwe. Nie wierzę ci.

Ptaka zaskrzeczał i zeskoczył z parapetu. Spadał jak kamień, aż niemal zderzył się z asfaltem, w ostatniej chwili rozpostarł skrzydła i wzleciał wyżej, przysłaniając słońce na bladym wrześnieowym niebie.

Dźwięki powróciły, Galina skrzywiła się, przycisnęła do uszu palce - te u lewej ręki pokryte pęcherzami, ale gładkie u prawej - i stanęła tyłem do okna.

Matka siedziała na podłodze, trzymając zawodzące dziecko w fałdach obwisłej podomki, i płakała. Jej głos wznosił się do wysokiego krzyku, dziwnie pasującego do pisku noworodka, gdy opadło ją zrozumienie straty.

- Masza, Masza! - Zawołała, a ptaki na zewnątrz odpowiedziały jej gniewnym skrzeczeniem i krakaniem.

- Odeszła, mamó - powiedziała Galina. Nie wspomniała o kawce. Nie chciała wrócić do szpitala.

Taką jesień zwano złotą, i w ten poniedziałkowy poranek Galina mogła zobaczyć, dlaczego. Topole wzdłuż ulicy, którą szła na przystanek autobusowy, pożółkły w ciągu jednej nocy i teraz lśniły niczym złoczone kopuły cerkwi starego miasta w skośnych promieniach wstającego słońca. Powietrze niesło sugestię gorzkiego smaku jesieni i Galina uśmiechała się, patrząc spod przymrużonych powiek na jaskrawe kolory drzew i nieba, dopóki sobie nie przypomniała.

Nie chciała dzisiaj iść do pracy, nie dziś, nie z nieszczęściem w domu; czuła się jak zdrajca, zostawiając matkę z noworodkiem w powijakach, z pieluchami, które czekały na upranie, i z butelkami mleka w proszku.

- Idź - powiedziała matka, nie kryjąc irytacji. - Jak stracisz robotę, co ja z tobą pocznę?

Galina wtedy rozumiała, że matka jest zła, bo to Masza zniknęła - najmłodsza, normalna. Przyszykowała się do pracy.

Pracowała w centrum miasta, w starej części, gdzie wszystko jest historyczne i piękne. Jednak nawet tam na każdym rogu rodziło się nowe życie w postaci kiosków - oferowały czasopisma, papierosy, książki, podpaski, szpilki, filmy, gorzałkę, okulary, przybory szkolne, torebki i bawełniane koszulki, i pracowali w nich głośni ludzie, którzy nie chcieli zostawić przechodnia w spokoju.

Aby dotrzeć do miejsca pracy, małego wydawnictwa naukowego, musiała zejść do podziemnego przejścia pod skrzyżowaniem, kiedyś szerokiego i pustego, a dziś pełnego niezliczonych kiosków i żebraków. Do niedawna Galina nie widziała ani jednego żebraka, więc często się zastanawiała, skąd się wzięli. Wrzucała drobne, które miała w kieszeniach, do papierowych kubków podsuwanych jej przez wychudzone ręce. Na własnoręcznie skleconych wózkach - deska i cztery kółka z porzuconej przez dziecko zabawki-ciężarówki - siedzieli starzy mężczyźni bez nóg, ubrani w podarte, rozpadające się wojskowe mundury polowe, jakby istnieli w tym stanie od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego. Niektórzy kalecy byli młodszy, więc przypuszczała, że są weteranami wojny w Afganistanie; unikała spoglądania im w oczy, jakby to, co widzieli, mogło jakoś się w nią wlać, dotrzeć do serca i zamrozić je na zawsze. Odwracała głowę i wrzucała drobne na ślepo, w daremnej próbie złagodzenia poczucia winy.

Wyszła po drugiej stronie ulicy Twerskiej i pobiegła do piętrowego starego budynku w Gazietyj Pierieulok. Pierwsze opadłe liście, żółte i pomarańczowe, szeleściły pod jej tenisówkami. Mogłaby odbyć tę podróż z zamkniętymi oczami - pracowała dla tego wydawcy od trzech lat, tłumacząc z angielskiego i niemieckiego artykuły medyczne. Gratulowała sobie, że ma pracę. W dzisiejszych czasach niełatwo było znaleźć zajęcie przynoszące dochód. Ściągała brwi, gdy przeglądała w gazetach anonse „Zatrudnię” - w każdym ogłoszeniu wspomniano o zdolnościach językowych, a także wymagano, żeby właścicielka rzeczonych zdolności pracowała dodatkowo jako sekretarka i wyglądała dobrze w spódniczce mini. Wydawało się, że codziennie setki

firm wyrastają jak grzyby po deszczu, pojawiają się znikąd jak żebracy w metrze, ale żadna nie była zainteresowana tłumaczem, tylko atrakcyjną osobą towarzyszącą dla ewentualnych zagranicznych inwestorów. Tak, miała szczęście, że znalazła zatrudnienie; nie płacili wiele, ale lubiła swoją pracę i jako premię zachowała godność, co w dzisiejszych czasach graniczyło z cudem.

Powitało ją zimne wejście, stary kamień oddychający zakonserwowanym chłodem minionych zim.

- Gałka! - Zadudnił głos starszego redaktora Wielikanowa, nomen omen potężnej postury. - Wiesz, która godzina?

- Tak - odparła. - Moja siostra w nocy urodziła, a potem zaginęła.

- Zła kolejność, co? - Wielikanow uśmiechnął się szeroko w gąszczu brody. Spozrzegł minę Galiny i jego uśmiech skrył się w płataninie zarostu. - Boże, mówisz poważnie. Przepraszam. Co w takim razie tu robisz?

Wzruszyła ramionami.

- Nic więcej nie można zrobić. Powiadomiłam policję. Mama zajmuje się dzieckiem. Ja muszę zarabiać.

Wielikanow poklepał ją po ramieniu, ostrożnie, żeby nie zmiażdżyć jej kości mięsistą łapą.

- Przykro mi. Wiem, że byliście bardzo zżyte. O ile była młodsza... To znaczy, jest?

- Dziesięć lat.

Wielikanow pokiwał głową i poprowadził ją przez biuro do kuchenki, gdzie stał czajnik z wiecznie gotującą się wodą.

- Napij się herbaty. Ile słodzisz, trzy?

Skinęła głową i podmuchała na herbatę w kubku, który jej podał.

- Dzięki. Jest dzisiaj coś pilnego?

- Tylko parę nowych artykułów z „Lanceta.” Nie ma pośpiechu. Jeśli chcesz, możesz wziąć wolne popołudnie.

- Dziękuję. - Galina chciała coś dodać, powiedzieć, że ma szczęście, że Wielikanow jest jej szefem, ale zmieniła zdanie. Ogromny mężczyzna zawsze patrzył na nią tak bezradnym wzrokiem, że się bała, że miłe słowo tylko wszystko pogorszy. Co to była za opowieść, którą uwielbiała w dzieciństwie?

Usiadła przy biurku i przełożyła papiery, odprawiając nieprzekonujący rytuał. Zauważyła artykuły z „Lanceta” - dwie strony każdy, nic wielkiego - i położyła je na wierzchu sterty. Otworzyła notes i zadumała się nad opowieścią.

Książka dla dzieci, duży format, cienka, z obrazkami na każdej stronie. Dwoje dzieci - chłopiec i dziewczynka - chowa się przed szpetną staruchą z wielkim nosem i sękatym kosturem w dłoni. Były tam również gadające króliki i wróżki, i za skarby świata nie mogła sobie przypomnieć treści bajki, ale pamiętała zakończenie. Na ostatniej stronie brzydka starucha odzyskała dawną młodość i urodę; uśmiechając się do podekscytowanych dzieci, wyjaśniła, że spoczywała na niej klątwa. Została przemieniona w brzydką koślawą jędzę, i gdyby bodaj szepnęła im jedno miłe słowo albo zaproponowała jakąkolwiek pomoc, oboje obróciliby się w kamień.

Galina podniosła kartki do twarzy, żeby ukryć łzy przed współpracownikami - biurka tłoczyły się w tym starym pokoju; jej stało obok wielkiego kaloryfera przy oknie, więc zawsze miała ciepło. Kolejna z licznych uprzejmości Wielikanowa, której nie mogła odwzajemnić - bała się, że jeśli to zrobi, jego serce obróci się w kamień i zostanie strzaskane przez fałszywą nadzieję.

Obrazek stał jej przed oczami i nie dał się przepędzić, gdy podjęła mężną próbę skupienia się na angielskich słowach. Kiedy była mała, opowieść miała bardzo dużo sensu - była wprawdzie jednym dzieckiem, ale reszta pasowała idealnie. Wymizerowana, zła matka chciała ją kochać, lecz klątwa jej zakazywała, śmiertelny strach uniemożliwiał wyrażenie miłości, bo to mogło zabić.

Kiedy urodziła się Masza, teoria klątwy straciła rację bytu - matka dostała bzika na jej punkcie i nikt nie przemienił się w kamień, nawet Galina. Gdy Masza podrosła, Galina nauczyła się doceniać okazywane przez siostrę uczucie i teraz strasznie jej tego brakowało. Łzy znów zasnuły jej oczy, gdy pomyślała o matce z noworodkiem na kolanach, kołyszącej się i płaczącej, bez promiennej Maszy, która pocieszyłaby je wszystkie.

Galina dopiła herbatę, potrząsnęła głową, jakby w ten sposób mogła przepędzić przygnębiające myśli, i przeczytała artykuły - recenzję nowej książki na temat wola (wole? Czy ktoś jeszcze to miewa?) i sprawozdanie z konferencji. Szybko napisała odręcznie tłumaczenie i rzuciła notes na biurko maszynistki.

- Biorę parę godzin wolnego - powiedziała i wyszła.

Dziwnie było przebywać poza biurem za dnia. Galina przeszła przez rojną od turystów Twerską i dała się nieść nogom, aż znalazła się na ulicy Hercena, starej jak wszystko w tej części miasta. Po obu stronach stały wiekowe kamienne budynki i Galina patrzyła na nie przez chwilę, próbując sobie przypomnieć, który dom

uwielbiała jako nastolatka. Wypatrzyła dwupiętrową kamienicę z elewacją z piaskowca i pomodliła się, żeby lokatorzy nie zainstalowali zamka przy wejściu.

Nie zainstalowali, więc wbiegła po schodach cichym krokiem winowajcy. Miała nadzieję, że nikt nie wyjdzie z któregoś z komfortowych, drogiej mieszkań za stalowymi drzwiami, żeby zapytać, jakim prawem tu przebywa.

Klatka schodowa była jednym z jej skarbów, jednym z sekretów, o których nikt nie wiedział - zbierała je obsesyjnie i upajała się myślą o swoich bogactwach. Niewiele z nich miało konkretny charakter, jak wypukłe zielone szkiełko z butelki, zakopane w piaskownicy z idealnym jesiennym liściem i suszoną stokrotką pod spodem, żeby można było odkopywać je powoli, ziarnko po ziarnku, i odsłaniać cudowne krystaliczne piękno. Inne były mniej namacalne - ukryty wir na rzece, szczególny kąć, pod jakim światło słoneczne pada na złożoną kopułę cerkwi, i ten dom na ulicy Hercena z niestrzeżonym wyjściem na spadzisty metalowy dach, ciepły od słońca, gdzie można było sięść i patrzeć z nabożeństwem na stare miasto skulone w czułym uścisku rzeki.

Na dachu nie zastała nikogo, jak w ciągu wszystkich tych lat, gdy tutaj przychodziła. Przy kominie leżały śmieci i domyśliła się, że inni też zagląдают w to miejsce; może sypiali tu jacyś żebracy z podziemnego tunelu, z dala od bezpańskich psów i patroli policyjnych na ulicach. Oparła się plecami o komin, przycisnęła palce stóp do rynny, żeby nie zsunąć się ze stromizny, i patrzyła.

Nie bez powodu zwą je miastem czterdziestu czterdziestek cerkwi. Bryzgi złota cętkowały rozpościerającą się przed nią panoramę, nieprzysłoniętą przez wysokie nowoczesne budynki. Żółcienie topoli, złoto kopuł i błękit nieba sprawiły, że westchnęła radośnie, na chwilę zapominając o swojej głębokiej niedoli. Potem zauważyła ciemną chmurę na niebie i osłoniła oczy od słońca. Chmura rosła, była coraz bliższa, i Galina zrozumiała, że tworzą ją ptaki - kawki, wrony, sowy. Sowy? Patrzyła na puszyste, bezszelestne zjawy o miękko opierzonych skrzydłach, a okrągłe żółte oczy odpowiadały jej spojrzeniami. Ptaki zatoczyły krąg nad jej głową i jedna z kawek obniżyła lot - lotki niemal musnęły ją po twarzy, wiatr wzbudzony przez skrzydła potargał włosy.

- Czego chcesz? - Zapytała. W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby się zastanawiać, dlaczego mówi do ptaków, kto zdecydowałby, że należy odesłać ją do szpitala. Sama, nie musiała udawać normalności.

Kawka przysiadła na skraju rynny, przekrzywiając łebek.

„Masza”, chciała powiedzieć Galina, ale ugryzła się w język. Mogła być chora, ale umiała rozpoznać halucynacje. Ptaki pojawiające się znikąd i próbujące do niej przemówić, sowy ani trochę niestrapione blaskiem słońca - to nie była prawda, to się nie działo. Dobra schizofreniczka - dzielna schizofreniczka - wie, że jest chora i że to, co widzi, niekoniecznie musi istnieć. Dobra schizofreniczka powinna ignorować halucynacje, gdy tylko je rozpozna.

- Odejdźcie - szepnęła ze złością. - Nie istniejecie, więc zostawcie mnie w spokoju.

Załamana na duchu, wstała i wróciła do drzwiczek, żeby zejść do świata na dole. Ptaki, poruszone jej odejściem, przybliżyły się hurmem, ich skrzydła wzbudziły wiatr tak silny, że niemal straciła równowagę. Oblegały ją jak wrony, które płoszą koty podchodzące do gniazd, nurkując nisko, szponami szarpiąc za sierść, szeroko rozdziawiając dzioby. Uciekała do bezpiecznego wjazdu, tenisówki ślizgały się po nagle zbyt gładkim, niebezpiecznym metalu. Chwyliła za deski okalające czarny prostokątny otwór, nie bacząc na drzazgi, które kłuły sączące się rany na czubkach palców, spanikowana, na wpół oślepiona przez czarno-szary wir w powietrzu. Opuściła się na zakurzony strych i pobiegła do schodów, wreszcie zostawiając za sobą krakanie i pohukiwanie.

Zbyt wstrząśnięta, by wrócić do pracy, szła Nowym Arbatem, ostatnio przemienionym w deptak i opanowanym przez ulicznych malarzy. Patrzyła na nich, mijając kolejnych; większość wystawiała widoki otaczającego ich miasta. Rozpoznawała je, jak rozpoznaje się zwłoki ukochanej osoby - z rysami pozbawionymi skrzętego się życia i ruchu. Rysownicy wołali do niej, proponując naszkicowanie portretu, ale kręciła głową i spuszczała wzrok na uporządkowane prostokąty chodnika. Minęła kilku rzemieślników sprzedających matrioski i malowane szkatułki, mniej lub bardziej udanie naśladowujące tradycyjną sztukę Palecha i Gzela. Kilku turystów targowało się o cenę, korzystając z usług tłumacza, i Galina obrzuciła współczującym spojrzeniem udręczonego mężczyznę mówiącego w dwóch językach. Nie mogłaby pracować dla tych ludzi, którzy spadali na miasto jak plaga - wymagający, protekcyjni, niegrzeczni. Ale zastanawiała się, jak to jest, gdy człowiek wierzy, że świat został stworzony wyłącznie dla jego przyjemności i rozrywki.

Spojrzała w inną stronę i zatrzymała się. Jej spojrzenie przykuł duży obraz oparty o witrynę sklepu i patrzyła na niego, pragnąc, żeby zniknął. Ale pozostał, jedyne płótno, którego twórca pochwycił ducha tematu - widok z dachu, który niedawno opuściła, oddany grubymi, żywymi pociągnięciami złota i zółceni, nakryty

bladobłękitną przestrzenią nieba. Co gorsza, kilka ptaków, dziobatych i pazurzastych, wisiało żłowieszczo w pustych przestworzach.

Artysta stał niedbale przy obrazie, ze zgaszonym papierosem w obwisłych wargach. Obojętnie spojrział na Galinę i oderwał się od ściany. Nieogolony, czerwonooki, brudny.

- Chcesz kupić?

Galina pokręciła głową.

- Przykro mi, nie. Ale te ptaki... Też je widzisz?

Artysta uśmiechnął się tak szeroko, że na zapadniętych policzkach nastroszyła się szczecina.

- Od zeszłego piątku. Nie do wiary! Myślałem, że to delira.

Galina się uśmiechnęła. Cudownie, pomyślała, schizofreniczka i alkoholik widują przyprawiające o gęsią skórkę ptaki.

- Widziałeś sowy?

- Od niedzieli.

- Skąd one się biorą? Dlaczego są tutaj, teraz, w ciągu dnia?

Artysta przeciągnął się i ziewnął, chuchając na nią smrodem starego dymu i przetrawionego alkoholu.

- A kto, kurwa, może wiedzieć? - Mruknął filozoficznie. - Ale jak chcesz znać moje zdanie, to pewnie wina Cyganów.

- Cyganów?

- Albo to jakieś inne czary - ustąpił. - Jeśli naprawdę jesteś ciekawa, przyjdź kiedyś indziej, po zmroku, to coś ci pokażę.

- Moja siostra zaginęła - powiedziała Galina. - Myślę, że ma to coś wspólnego z ptakami. Nie możesz teraz wyjaśnić?

- Nie ma żadnego wyjaśnienia. I nie mogę pokazać niczego przed zmierzchem.

Wypluł niedopałek, wepchnął ręce w kieszenie i dał do zrozumienia, że nie powie nic więcej.

Galina westchnęła i odwróciła się, by odejść.

- Jestem Galina - rzuciła na pożegnanie. - Do zobaczenia jutro.

- Do zobaczenia. - Skinął głową. - Mam na imię Fiodor.

JAKOW

Jakow nie lubił swojego wyglądu - był zbyt prozaiczny, bez odrobiny angielskości, jakiej oczekiwał. Od każdej oszczędnej linii niskiego, krępego ciała do ostatniego najeżonego włosa na głowie, jego powierzchowność oznajmiała światu krzykiem: „rosyjski chłop”. Świat zareagował oburzeniem i odepchnął go. Moskwa była szczególnie brutalna pod względem odpychania.

„Limitczik”, tak nazywano podobnych mu ludzi. Prawo mieszkania w Moskwie przysługiwało rodowitym moskwianom i ograniczonej liczbie ludzi spoza miasta. Rodowici moskwianie patrzyli na zamiejscowych protekcyjnie i z pogardą, która zaskoczyła Jakowa, gdy się tu sprowadził, mając raptem dziesięć lat. Dwadzieścia lat później ta nienawiść wcale nie zmalała. Zaczął podejrzewać, że nigdy się nie zasymiluje.

Jakow stał przed oknem w bokserkach i podkoszulku, patrząc na topolę, która sięgała prawie do jego okna na piątym piętrze. Wrony uwiły na czubku gniazdo i zrywający się wiatr miotał nim we wszystkie strony. Jakow martwił się o bezpieczeństwo dwójki młodych. Ich rodziców nigdzie nie było widać, a młodziaki skrzeczały, gdy masa gałęzek, patyków, gałęzi i kłaczków kołysała się w podmuchach wraz z wierzchołkiem drzewa. Zastanawiał się, czy ptaszki mają mdłości i co robią w gnieździe we wrześniu.

- Jasza! - Zawołała z kuchni matka. - Śniadanie!

Wciągnął spodnie dresowe, wypchane na kolanach, ozdobione wzdłuż nogawek czerwonymi paskami, które spłwiałały po zbyt wielu praniach. W jego życiu było zbyt wiele spłwiałałych czerwonych rzeczy - kolejna, w postaci podomki matki, skakała od kuchenki do stołu i z powrotem ze zdesperowaną energią zegarowego mechanizmu.

- Uspokój się, mamó - powiedział Jakow i poklepał staruszkę po ramieniu. Zawsze uważał ją za starą i był zaskoczony w dniu jej urodzin, gdy sobie przypomniał, że ma zaledwie pięćdziesiąt lat. - Jest sobota, nie ma pośpiechu.

- Umówiłam się z Lidą, żeby pójść na cmentarz. Odwiedzić twoich dziadków, a i grób trzeba wyczyścić ze wszystkich tych liści.

- Jest jesień. Jutro spadnie ich więcej.

- Groby muszą być czyste - odparła, uparta i mała. - Jedz.

- Nie czekaj na mnie. Zrób, co musisz. Westchnęła.

- Dasz sobie radę?

- Oczywiście. - Nie było powodu do irytacji. Zawsze się martwiła; nawyk, który nie przeminie. Bądź cierpliwy, pomyślał. Jesteś dorosły, nawet jeśli ona nie zdaje sobie z tego sprawy. - Idź, rób swoje. Baw się dobrze. Naciesz się grobami.

Ściągnęła twarz.

- O zmarłych trzeba się troszczyć.

Wiedział, że lepiej nie dyskutować. Nie było sensu mówić, że niekończąca się, niewdzięczna, bezsensowna praca na cmentarzu niesie pociechę tylko jej, że zmarłych to nie obchodzi.

Jakow wypił herbatę.

Matka wróciła do swojego pokoju, skąd dobiegło trzaśnięcie drzwi szafy i szelest poliestru. Jakow posmarował chleb masłem i ukroił grube plastry sera, wonnego i pełnego dziur. Czekał, aż zostanie sam, i miał z tego powodu wyrzuty sumienia.

Weszła do kuchni, ubrana w pancierz kwiciastej sukni i ciężkie czarne buty.

- Nic by ci się nie stało, gdybyś odwiedził dziadków.

Dziadkowie. Słabo pamiętał babcię, a dziadka wcale. Matka też go nie pamiętała. Wiedzieli tylko, że był Anglikiem. Słyszeli na w pół pamiętane opowieści i domysły, ale jedyną pewną rzeczą była jego narodowość. To, i fakt, że przez pół roku pracował w radiu, od maja do listopada tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego, jako korespondent anglojęzyczny. W tym krótkim czasie poślubił babcię i zrobił jej dziecko, i został szybko stracony - albo, jak mawiano w czasach Chruszczowa, stłumiony. Nikt nie miał pewności co i jak zostało pogrzebane w grobie z jego imieniem, ale też nikt nie był na tyle ciekaw, żeby to sprawdzić.

- Zostanę w domu, mamó - powiedział. - Może w przyszłym tygodniu. Możemy też pójść do cerkwi, jeśli chcesz. - Rzuciwszy parę słów na uspokojenie, zamienił obecną drobną niedogodność na większą. Za jakiś czas. Sprytnie.

- Zobaczymy, Jasza. - Złagodniała. - Niedługo wrócę.

Dopił herbatę, już zimną, i znalazł lornetkę. Przez szkła wyraźnie zobaczył dzioby młodych ptaków, z obwódkami w kolorze żółtka, szeroko otwarte w milczącym krzyku. Wiało coraz mocniej.

Wiatr podrywał liście żółtymi falami, tworzył z nich wiry i pozwalał im opadać na ziemię. Szumiał w suchej trawie na pustej parceli za widocznym z okna ośrodkiem dziennej opieki i gwizdał w pustych butelkach rozrzuconych pomiędzy łuszczącymi się ławkami. Tarmosił sierść psów, które biegały po wysuszonym błocie i zbitej martwej trawie na tej ziemi niczyjej. Ich właściciele podnosili kołnierze i zapalali papierosy, wprawnie osłaniając dłońmi płomyki zapalek, przyjmując uderzenia wiatru na plecy.

Jakow patrzył, jak młody człowiek ściga teriera szkockiego. Pies, rozmyta smuga ruchu, biegał w kółko, bez trudu wyprzedzając właściciela, choć łapy miał tak krótkie, że skrywało je kudłate futro. Kurtka powiewała, gdy młody człowiek biegał za psem, żałośnie wykrzykując jego imię. Podmuch wiatru pchnął młodzieńca w plecy, zmuszając go do niezgrabnego potknięcia, i zarzucił mu kurtkę na głowę. Gdy mężczyzna usiłował się uwolnić, machając rękami, następny podmuch poderwał go z ziemi. Jakow przysunął się do okna, niezupełnie wierząc własnym oczom, ale zbytnio się cieszył ze spędzanej samotnie soboty, żeby odczuć prawdziwe zdumienie czy panikę. Ręce mężczyzny machały teraz szybciej, kurtka się wydłużyła, stopy oddaliły od ziemi, skurczyły w drobne ptasie piąstki, i wisiał w powietrzu, pół człowiek, pół...

Jakow spojrział na innych ludzi i psy, ale nikt nie okazywał przejęcia, a nawet nie był świadom dziwnego zachowania młodego człowieka. Tylko terier przestał biegać i siedział, przekrzywiając głowę, śledząc wzrokiem coś wysoko w powietrzu. Wtedy Jakow zdał sobie sprawę, że młodzieniec zniknął i tylko wielka wrona łopocze skrzydłami nad pustą parcelą, ścigana przez wyjącego teriera, wlokącego smycz po błocie.

Poniedziałki przynosiły niepokój i ściskanie w piersi, pragnienie zakopania się głębiej w poduszki i spania. Zamiast spać, Jakow wstał o piątej rano i wyszedł do pracy. W autobusie tłoczyli się zaspani obywatele, niechętni spojrzeć innym w oczy o tej nieludzkiej porze, kiedy dusza, wciąż wrażliwa po śnie, jest bezradna wobec ataku światła, hałasu czy niemiłego słowa. Jakow, jak reszta rodaków, udał, że zasypia, i schował twarz w podniesionym kołnierzu munduru.

W chwili, gdy zamknął oczy, dmuchnął wiatr, płaszcze się zadarły, psy zaszczeły i wrony zakrakały. Nie mógł w żaden sposób pogodzić się ze sceną, której był świadkiem, więc postanowił uznać ją za halucynację lub dziwną sztuczkę optyczną. Przepędził ją z głowy i zajął się opieką nad wroną, która wypadła z gniazda. Sobotni wieczór i całą niedzielę spędził na doglądaniu ptaka i próbach przekonania matki, że wrony nie wydziobują ludziom oczu. Uśmiechnął się teraz na wspomnienie sprzeczki.

- To dziki ptak - powiedziała matka. - Wypuść go.

- Nie mogę, mam - odparł. - Tam są bezdomne koty, a on jeszcze nie umie fruwać.

Westchnęła i zajęła się swoimi sprawami, ale godzinę później zapukała do jego drzwi i powtórzyła swoje błagania. Jakow wzruszył ramionami i nakarmił ptaka mieloną wołowiną i gotowaną rybą.

W autobusie trochę się martwił o małą wronę. Stale zaglądał do torby na ramię, gdzie trzymał nowego pupila i zapas jedzenia. Śpiąca wrona stała się niemal talizmanem, pomagającym mu uciec przed dokuczliwym wspomnieniem. Unikał go i wspomnienie powoli się zacierało, aż został tylko ogólny zarys - postać człowieka ze skrzydłami. Skulił się i mocno zacisnął powieki, i omal nie przegapił swojego przystanku.

Posterunek policji, gdzie pracował, mieścił się na parterze starszego bloku mieszkalnego - zaledwie sześciopiętrowego, zbudowanego z brązowej cegły. Klatka schodowa pachniała jak wszystkie inne w mieście - dymem papierosowym i kocimi sikami, gotowaną kapustą, której podstępny zapach sączył się spod każdych drzwi, i zaniedbaną starością. Spojrzał na starszego mężczyznę, który akurat wychodził z budynku, jeszcze przed siódmą rano.

- Dzień dobry - powiedział do jego pleców.

Staruszek nie odpowiedział, plecy w podniszczonej kurtce miał przesadnie wyprostowane, jakby kręgosłup zakleszczył mu się w jednej pozycji. Szedł sztywnym krokiem, wsparty na lasce domowej roboty, i Jakow mu współczuł - pewnie weteran; czy w mieście żył jakiś starzec niebędący weteranem? Zbieranie pustych butelek z ulic i placów zabaw, gdzie porzucali je beztroscy młodzi, musiało być trudne. Pewnie dobrze, że było ich tak wiele, bo dzięki temu staruszek nie musiał głodować na emeryturze. Mimo wszystko nie było to dobre życie - bohater wojenny, sędziwy człowiek, zasługiwał na szacunek i trochę odpoczynku. Gdyby był jego dziadkiem, nie musiałby zbierać butelek.

Marszcząc brwi, Jakow wszedł po schodach do biura. Usiadł za biurkiem i ułożył wronę, której nadał imię Carl, w wygodnym kąciku pomiędzy kaloryferem i oknem. Jego biurko stało z tyłu, gdzie odbywała się prawdziwa praca i gdzie nie wpuszczano petentów. Z przodu, za szklanym przepierzeniem z małymi półokrągłymi okienkami, znajdowało się biuro paszportowe, tam zawsze panował duży ruch.

Chciałby tam pracować - zajęcie, choć nudne, było znajome, i każdy mógł stwarzać pozory, że się zapracowuje, przeglądając ważne statystyki, stemplując i wypełniając formularze, a w rzeczywistości myśląc o czymś zupełnie innym. Pozostałym policyjnym obowiązkom brakowało tej swobody.

Na ich posterunku zawsze panował spokój i Jakow pogodził się z myślą, że przejdzie przez życie i odejdzie na emeryturę bez jednego śledztwa w sprawie zabójstwa, bez wyjaśnienia czegoś poważniejszego od awantury domowej czy pijackiej bójki. Nie miał nic przeciw temu; obecny wzrost przestępczości, reketierzy wyłażący z ciemnych kątów, spory terytorialne, morderstwa, tortury - to wszystko go przerastało.

Przekładał papiery na biurku, mając nadzieję, że nie przyciągnie niczyjej uwagi, że nikt nie zwali mu na głowę petenta i nie każe wysłuchiwać kolejnej gorzkiej opowieści o nieszczęściu, któremu nijak nie mógłby zaradzić. Wygłosiłby rutynową przemowę, że zrobią wszystko, co w ich mocy - nie wspominając, że to niewiele, że brakuje im funduszy i morale, że młodzi widzą emeryturę jako odległy raj, a starsi jako niedaleki wodopój, przy którym wreszcie ugaszą pragnienie, że żaden z nich tak naprawdę nie chce tu być i wszyscy żałują, że wybrali ten fach, może z wyjątkiem dziewczyn przy biurku paszportowym.

Udało mu się spędzić ranek na markowaniu ciężkiej pracy i ukradkowym karmieniu wrony za każdym razem, gdy otwierała jasne szklane paciorki oczu, wyczekująco rozdziawiając żółty dziób. Jakow wsuwał kawałki surowej wołowiny w głodne gardło, martwiąc się, czy nie są za duże. Ale Carl przełykał i czekał na więcej. Wtedy Jakow się martwił, czy go nie przekarmia.

- Richards - powiedział ktoś przy jego biurku. - Jesteś potrzebny.

Jakow uniósł głowę i napotkał stalowe spojrzenie porucznika. Pracował tutaj siedem lat, ale przełożony wciąż miał kłopoty z jego nazwiskiem - wymawiał je starannie, jakby zagraniczne słowo mogło mu spalić podniebienie, jeśli nie zachowa ostrożności.

- Za moment, poruczniku Zacharow.

Zacharow oczywiście nie mógł czekać. Przyprowadził starszą kobietę, prowincjuszkę w chustce na głowie, z lśniącymi kopytami butów ortopedycznych na nogach. Płakała, ale jej usta zaciskały się mocno w obronie przed nieuchronnymi emocjami. Jakow dobrze znał taką minę.

Usadził kobietę przed biurkiem i odsunął Carla na bok. Kobieta przyjrzała się uważnie porysowanemu blatowi ze sklejki i stercie papierów, które Jakow ułożył, żeby wyglądać na zapracowanego. Potem podejrzliwie spojrzała na niego. Jej pomarszczona twarz zdradzała, co sobie myśli - uważała, że Jakow jest za młody i za słabo wykształcony, że nie powinien zajmować tego stanowiska i podejmować decyzji, od których zależy ludzkie życie.

- Co mogę dla pani zrobić? - Zapytał Jakow, przerywając bieg nieprzyjemnych myśli.

Carl zaskrzeczał i kobieta ściągnęła brwi.

- Nazywam się Anna Czernina. Mój zięć zaginał. Wyszedł po papierosy i nie wrócił. Córka płacze od dwóch dni.

Jakow zapisał adres kobiety i córki, i rysopis zięcia - oczy: piwne; włosy: kasztanowe; broda: brak; wzrost: 181 cm. Zapewnił, że zadzwoni, gdy tylko czegoś się dowiedzą.

Kobieta wyszła bez przekonania, że Jakow jej pomoże. On był tego pewien.

Gdy zbliżała się pora lunchu, znów przyszedł Zacharow i usiadł okrakiem na krześle obitym wystrzępionym winylem.

- Jasza - powiedział bardziej serdecznie niż kiedykolwiek - dziś dostaliśmy pięć zgłoszeń o zniknięciach.

Człowiek. Skrzydła. Terier szkocki porzucony na pustym polu. Jakow przepędził tę myśl.

- Reketierzy - powiedział.

- To się dzieje w całej Moskwie. Trzydzieści osób w zeszłym tygodniu.

- Reketierzy są w całej Moskwie.

Zacharow wsparł arystokratyczne czoło na rękach splecionych nad oparciem krzesła, jego spojrzenie prześliznęło się po świeżo bielonych ścianach i suficie obwieszonym gołymi żarówkami. Westchnął.

- Tak sędzę. Boże, dlaczego ja?

Jakow wzruszył ramionami i sięgnął po torbę z małą wroną.

- Ładny ptaszek - pochwalił Zacharow. - Skąd go masz?

- W sobotę wypadł z gniazda. Było wietrznie. - I nikt nie zmienił się w ptaka.
- Mogę go popilnować - zaproponował Zacharow.
- Tak? A ja właściwie co mam zrobić?
- Odwiedzisz rodziny i dowiesz się, czy zaginione osoby były zamieszane w jakiś handel.

- A kto nie jest w dzisiejszych czasach?
- Jestem dokładnie tego samego zdania. Zobacz, dla kogo pracowali, zobacz, czy nie są w to zamieszane jakieś gangi czeczeńskie.

Jakow podniósł głowę.

- Czeczeni?

- Tak. Ormianie, Gruzini - ktokolwiek. Narodowości kaukaskie.

- Większość bandziorów, których widuję, to Rosjanie.

Porucznik zmarszczył brwi i rzucił mu notes z nazwiskami i adresami.

- Do roboty.

Jakow wyszedł.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego matka postanowiła przeprowadzić się do tego miasta. Pewnie, starówka jest piękna. Ale mieszkali na przedmieściach, okropnych, pustych i szarych, gdzie prawie nie było zieleni, gdzie resztki naturalnej roślinności, powykręcanej i zabiedzonej, walczyły o przetrwanie wśród brudu, tłumów ludzi i niekończących się rozkopów na nowych budowach. Człowiek nie mógł przejść jednego metra, żeby grudy gliny nie oblepiły mu butów, a ich ciężar nieuchronnie ściągał do dołu ludzkiego ducha. Nim Jakow dotarł do porządnie wybrukowanych ulic i przystanku autobusowego, zwykle tracił chęć do życia gdziekolwiek, co dopiero tutaj. Anorektyczne topole chyliły się na upartym wietrze, który hulał swobodnie w korytarzach pomiędzy wysokimi płaskimi blokami. Jakow miał nadzieję, że pewnego dnia łączenie się mas powietrza stworzy tornado. Wyobrażał sobie idealny wir porywający sterty odpadków, cegły rzucone beztrąsco na niechlujne stosy, samochody zaparkowane przy i czasami na chodnikach. Po prostu wymiatający wszystkie śmieci, zostawione tutaj i zapomniane przez twarde życie. Wciąż się zastanawiał, czy chce, żeby ludzie też zniknęli.

Pierwszą wizytę miał złożyć w sercu tego beznadziejnie przygnębiającego labiryntu. Wyobrażał sobie, że jest Tezeuszem w policyjnym mundurze, choć bez nici i Ariadny. Pot spłynął mu po karku i ochłodził skórę między łopatkami, gdy wyobraził

sobie czekającego nań Minotaura - straszne stworzenie zrodzone przez zaburzony porządek świata, powstałe z chaosu, który władał krajem, i z żalonych marzeń o nowych Rosjanach - zdeformowane ucieleśnienie bezprawia i rozpacz.

Chuligani obijający się przy budynku popatrzyli na niego z ukosa, ale nie zaczepili. Był za to wdzięczny - za to, że obyło się bez wyzwisk. Dał nura w wejście i pobiegł po schodach na piętro, na pierwsze spotkanie.

Zadzwoił i czekał. W końcu pchnął drzwi, które otworzyły się bezgłośnie, wpuszczając go do zagraconej kawalerki, gdzie duma maskowała ubóstwo bibelotami i meblami z imitacji drewna. Zobaczył czmychającego tchórzliwie karalucha i zawołał w pustkę:

- Jest tu kto?!

- Tutaj - dobiegło z kuchni.

Dziewczyna, może siedemnastoletnia, siedziała przy kuchennym stole z rękami złożonymi na kolanach. Nawet nie spojrzała na niego, wbijając wzrok w okno.

- Gdy się tu przeprowadziliśmy - powiedziała - tam rosły sady jabłoniowe. Nasz dom zbudowali jako pierwszy w tej dzielnicy, i wokół były tylko ogrody i las za torami. Żyły tam sowy, co noc słyszałam ich pohukiwanie. Pociągi gwizdały, a sowy hukwały, tak to pamiętam. Zwłaszcza latem.

- Jestem z policji. Dostaliśmy zgłoszenie o zaginięciu osoby.

- Moja mama. - Dziewczyna uparcie patrzyła w okno. Głos jej się lekko załamał i Jakow z bólem w sercu zrozumiał, że dziewczyna płacze.

Nigdy nie wiedział, co mówić płaczącym ludziom, szczególnie młodszym. Płacz budził w nim panikę i zmuszał do składania pustych obietnic, byle położyć kres łzom i rozdzierającemu smutkowi.

- Nie płacz, proszę - powiedział. - Znajdziemy twoją mamę. Ale będziesz musiała mi pomóc, zgoda?

Dziewczyna ze złością przetarła twarz ręką i obrzuciła go pełnym urazy spojrzeniem, wściekła, że widzi ją w takim stanie, z czerwonymi oczami i zasmarkanym nosem. Współczuł jej z powodu rozpacz, pospolitej twarzy i ostrego nosa, cienkich mysich ogonków, wyraźnego zakłopotania.

- Kiedy widziałas ją ostatni raz? - Zapytał i usiadł przy stole, choć go nie zaprosiła.

- W piątek rano. Poszła do pracy, ale nie wróciła.

- Gdzie pracuje?

- W przetwórnicy mięsa za torami. - Dziewczyna pokazała ręką. - Tam, gdzie rósł las. Mówią, że w piątek nie przyszła do pracy.

Zapisał.

- Masz krewnych, u których mogłabyś tymczasem zamieszkać?

- Nie. - Spojrzała na niego ponuro oczami zaczerwienionymi od niedawnych łez. - Sama potrafię o siebie zadbać.

Skinął głową.

- Zadzwonimy, gdy się czegoś dowiemy. Nazywasz się...

- Daria. A pan?

- Jakow. Jeśli zadzwonisz na miejscowy posterunek, zapytaj o mnie, dobrze?

- Dobrze - odparła i odwróciła się do okna.

Jakow ruszył do drzwi. Usłyszał krzyk, zawrócił i wbiegł do kuchni, wyobrażając sobie, że dziewczynę spotkało coś strasznego. Była cała i zdrowa, tylko blada. Wskazywała coś za oknem. Spojrzał na stado ptaków lecących w stronę budynku, z początku nie rozumiejąc. A potem zobaczył.

To były sowy, mrużyły oczy w jasnym świetle dnia, lecz nie przerywały lotu.

- Skąd one się wzięły? - Mruknął, patrząc na rozległe przestrzenie asfaltu i nowej budowy.

Sowy też wyglądały na dezorientowane. Leciały w ciszy, bez krzyku, bezszelestnie poruszając miękkimi jak puch skrzydłami. To zjawy, nie ptaki z krwi i kości, pomyślał. Nie są prawdziwe, bo nie powinno ich tu być, nie miały prawa istnieć, nie miały powodu latać za dnia. A jednak Daria też widziała ptaki i machała ręką, przepędzając je lub zapraszając bliżej - Jakow nie miał pewności.

Jedna sowa oderwała się od stada i skierowała prosto ku oknu. Jej oczy, wielkie, okrągłe i żółte, osadzone w białej trójkątnej twarzy, podchwyciły jego spojrzenie. Ptak zaskrzeczał i uderzył w szybę, nakrapiane pióra wystrzeliły we wszystkie strony wskutek zderzenia i spadły na asfalt, o parę sekund wyprzedzając martwe ciało sowy. Daria krzyknęła.

Było ciemno, gdy przybył pod ostatni adres, niezbyt daleko od posterunku - zrobił to umyślnie. Drzwi otworzyła starsza kobieta o zniepokojonych oczach. Poplamiona, wilgotna podomka oblepiała jej chude nogi, a ponieważ brakowało paru guzików, widział poślizgnięte halkę pod spodem. Kobieta zaprosiła go ruchem ręki. Usłyszał szum wody napuszczanej do wanny i płacz niemowlęcia.

- Robię pranie - wyjaśniła kobieta. - Moja córka zaginęła. To jej dziecko.

- Mogę trochę zaczekać.

Kobieta skinęła głową i zniknęła w korytarzu, mruczając do siebie i wzdychając. Jakow współczuł jej, obarczonej podwójnym brzemieniem w postaci zaginionego dziecka i troski o wnuka. Nie śmiał wejść głębiej do mieszkania i czekał przy drzwiach. Opierał się plecami o gładką powierzchnię, gdy szczęknął zamek i drzwi pchnęły go w głąb korytarza.

- Przepraszam - powiedziała kobieta i spojrzała na niego podejrzliwie. Była wyższa niż on, mniej więcej w jego wieku. Trzymała torby z zakupami. - Pan z policji?

- Tak - odparł, powstrzymując się od sarkazmu. - Przepraszam, że zjawiłem się tak późno, ale dzisiaj odwiedziłem wiele rodzin. Wygląda na to, że zaginęło mnóstwo osób. Rozmawiałem z pani matką?

Kobieta pokiwała głową.

- Moja siostra zniknęła dwa dni temu.

- Gdzie pracowała?

- Studiowała w Instytucie Pedagogicznym. Zaczęła ostatni rok. Dopiero co urodziła dziecko.

- Chłopiec czy dziewczynka?

Kobieta spojrzała na niego z dziwnym wyrazem w ciemnych oczach.

- Nie wiem - odparła. - Byłam tak wstrząśnięta, że nie przyszło mi na myśl zapytać.

Pojawiła się jej matka, wycierając ręce w podomkę.

- To chłopiec - powiedziała do Jakowa, ostentacyjnie ignorując kobietę z torbami.

- Wejdz, synku. Wszystko ci powiem.

Zaprowadziła go do pokoju, gdzie usiadł na zapadniętej kanapie. Sprężyna uwierała go w udo, gdy zadawał pytania. Jak wszyscy pozostali, zaginiona dziewczyna nie miała powiązań przestępczych i wiodła zadziwiająco zwyczajne życie. Jediną niezwykłą rzeczą były okoliczności zaginięcia - urodziła w łazience, a potem rozplynęła się w powietrzu.

- Niczego pani nie słyszała ani nie widziała? - Zapytał. - I jest pani pewna, że drzwi łazienki były zamknięte na klucz?

- Jestem pewna. I w domu nie było nikogo poza mną i Galiną.

- I kawką - dodała od drzwi wysoka kobieta. Najwyraźniej stała w nich od jakiegoś czasu.

Człowiek. Skrzydła. Terier szkocki. Matka pokręciła z irytacją głową.

- Proszę jej wybaczyć - powiedziała do Jakowa. - Ona nie jest... Całkiem normalna.

Kobieta sprawiała najnormalniejsze wrażenie, z tym wyjątkiem, że po słowach matki skuliła się i wycofała na korytarz.

- Proszę zaczekać! - Zawołał za nią. - Mówiła pani, kawka?

Znów zajrzała do pokoju.

- Tak. Inne ptaki też. I chyba znam kogoś, kto może pomóc panu w poszukiwaniach. Tylko...

- Przestań - burknęła starsza kobieta. - Wstyd mi za ciebie.

Galina zniknęła z pola widzenia, roztapiając się w ciemności mieszkania. Pojawiła się, gdy Jakow wychodził, i wcisnęła mu w rękę zmiętą karteczkę.

- Niech pan zadzwoni do mnie do pracy. Pewien uliczny artysta coś wie - szepnęła i uciekła, przepędzona miazdzącym spojrzeniem matki.

FIODOR

Fiodor bał się Cyganów. Gdy był mały, matka odradzała mu zbyt oddalanie się od domu, mówiąc:

- Cyganie cię porwą. Kradną dzieci, a potem je sprzedają.

Fiodor bawił się na ganku, w chłodnym cieniu pachnącym próchniejącym drewnem, rzadko wychodząc poza dom i płot odbarwiony przez deszcze.

Ojczym, który z nimi zamieszkał, był nieświadom cygańskiego problemu.

- Idź się bawić na dworze - namawiał małego Fiodora. - Co ty, głupi?

- Ale Cyganie - próbował wyjaśnić. - Zabiorą mnie.

Ojczym wybuchnął śmiechem i zepchnął go z ganku.

- Cyganie nie są głupi. Czemu mieliby kraść dziecko, które jest warte nie więcej niż pół rubla?

Wtedy Fiodor poszedł, szlochając w milczeniu. Miał nadzieję, że natknie się na jakichś Cyganów, którzy go ukradną i w ten sposób dowiodą, że ojczym nie miał racji. Wyszedł za płot i ruszył gruntową drogą, jedyną ulicą we wsi Wasiliewskoje, gdzie się urodził i mieszkał przez całe życie. Rząd parterowych drewnianych domów i gęgające brudne gęsi bratające się z nielicznymi nastroszonymi kurami - ot, cała wioska. Minął jedyny sklep, a potem droga doprowadziła go do małej kępy sosen na piaszczystych wydmach; nosiły nazwę Pustynia, zbyt pompatyczną dla tak małego miejsca. Ale w powietrzu unosił się zapach świeżej sosnowej żywicy, świeciło słońce i poziomki plamiły mu palce słodką krwią.

Przez całe popołudnie leżał na plecach, wtapiając się w nagrany piasek i pachnące sosną powietrze, przełykając łyżki słodkiej melancholii, gdy myślał, jak Cyganie zabiorą go do jakiegoś magicznego, groźnego kraju, i jak przykro będzie matce - może na tyle przykro, że każe ojczymowi iść precz, skoro to będzie jego wina.

Słońce przesunęło się ponad nim, zetknęło z wierzchołkami wydm, aż zaskwierczały w białym blasku, i zatoneło za nimi. Cienie wydm zrobiły się błękitne i sięgnęły jego twarzy, piasek go chłodził, a poziomki skryły się w mroku. Wtedy znienawidził Cyganów, że wzgardzili nim jak wybrakowanym towarem. Nadszedł czas, by wrócić do domu, spojrzeć w zadowoloną twarz ojczyma i przyznać, że miał rację - Fiodor był nic niewart i nawet Cyganie o tym wiedzieli.

Przeprowadzili się, gdy Fiodor miał pójść do szkoły. Jak pielgrzymi, jechali pociągiem na północny zachód, aż dotarli do Zwenigorodu. Fiodor nie spał w pociągu, tylko powtarzał słowo - Zwe-ni-go-rod - w rytm stukotu kół. Wyobrażał sobie rozmigotane miasto, radosne miasto, ożywione wesołym dźwiękiem tysiąca cerkiewnych dzwonów, miasto obiecujące szczęście i pogodę. Okazało się pokryte asfaltem i nawet drzewa były zakurzone. Siedmioletni Fiodor poczuł znajome ukłucie zawodu, gdy odkrył, że nazwa jest kłamstwem.

Jednakże Cyganie tu byli. Wychodzili ze stacji kolejowej, matka i ojczym sprzeczali się, czy kierowca, któremu zapłacili za przewóz rzeczy do nowego mieszkania, już przybył. Nagle ojczym urwał i splunął.

- Pierdolone Cygany - burknął. - Nie chce mi się wierzyć.

Młody Fiodor prześledził kierunek jego spojrzenia i wlepił wzrok w barwną grupę. Jaskrawo odziani mężczyźni i kobiety siedzieli na workach i zrolowanych kocach, rozmawiając głośno w języku, którego nie rozumiał - w tajemnej mowie Cyganów, jak się domyślił. Kilkoro na wpół nagich brzdąców bawiło się w kurzu. Wszyscy mieli ciemną skórę i błyszczące czarne oczy, kobiety nosiły długie kwaciaste spódnice, podzwaniające kolczyki i naszyjniki. Zęby mężczyźni lśniły bielą w brodatych twarzach. Wtedy po raz pierwszy zobaczył prawdziwych Cyganów i stał jak urzeczony, dopóki matka nie szarpnęła go za rękę, ciągnąc za sobą.

- Nie gap się - powiedziała z rozdrażnieniem i zwróciła się do męża: - Do ciebie też mówię. Zobaczą, że na nich patrzycie.

Za późno - jedna z kobiet wstała z tobołka i podeszła do nich, wołając gardłowo z obcym akcentem:

- Czekaj, piękna, powrózę ci, piękna, jak pozłocisz mi rękę!

- Nie, dziękuję - odparła stanowczo matka i odwróciła się, by odejść. - Nie wierzę w takie rzeczy.

Cyganka nie dała się łatwo zniechęcić. Zaciśnęła ciemne palce na nadgarstku matki Fiodora i zagadała tak szybko, że słowa zlały się w groźny potok:

- Jak nie pozłocisz mi ręki, twoje oczy wybuchną, twoje łono wyschnie, twoje dziecko ucierpi... - Przez cały czas wyciągała drugą dłoń, jakby podając na niej coś niewidzialnego.

Matka Fiodora zatrzymała się i sięgnęła do torebki.

- Masz - powiedziała i wcisnęła pieniądze - nie monety, prawdziwe papierowe pieniądze - w otwartą dłoń kobiety. - Tylko zostaw nas w spokoju.

- Nie mów, że to były nasze pieniądze na zakupy - warknął ojczym. - Nie do wiary, że to zrobiłaś.

Matka obrzuciła go groźnym spojrzeniem i opiekuńczo przyciągnęła Fiodora do siebie. Choć nie wierzyła w uroki, wolała kupić sobie spokój niż sprawdzać, czy na pewno są nieszkodliwe. Fiodor był za mały, by ubrać w słowa tę nową wiedzę, ale niejasno zdawał sobie sprawę, że nawet mało realna pogróżka nabiera znaczenia, gdy jest skierowana pod adresem kogoś, kogo się kocha. Jego cierpienie było warte prawdziwych papierowych pieniędzy. Nigdy o tym nie zapomniał.

Życie małego Fiodora upływało w spokoju, więc doświadczenia kształtujące osobowość nie były zbyt liczne. W późniejszym wieku zdumiewał się, że mógłby je policzyć na palcach jednej ręki. Najpierw Cyganie, niejasne zagrożenie, opiekuńczość matki i obojętna złośliwość ojczyma; potem akwarele kupione przez matkę w prezencie na pierwszy dzień w szkole. Pamiętał pierwszy wrzesnia, on w nowym mundurku - niebieska bluza z odpowiednio dobranymi spodniami - w rzędzie dzieci na szkolnym dziedzińcu. Dziewczynki miały białe kokardy we włosach i białe fartuszki na brązowych sukienkach. Wszyscy uczniowie przynieśli kwiaty dla nauczycieli, głównie mieczyki. Nie pamiętał reszty szkolnego dnia, ale zachował w pamięci komplet dwudziestu czterech farb, maleńkie studzienki zatopione w ozdobnej drewnianej skrzyneczce, sprezentowane mu przez matkę, gdy wrócił do domu. Dostał również blok porowatego, włóknistego papieru, który zachłannie pił farbę.

Malował tyle, że kolory szybko się skończyły i została tylko odrobina farby na dnie czarnej studzienki, zakrzywiona jak brud pod paznokciem. Przechodził krótki czarny okres, aż matka się zmartwiła i kupiła mu drugie pudełko. Śnił o malowaniu i marzył o malowaniu w czasie niekończących się szkolnych dni. Gdy nadeszła zima, zostawiał puste strony, wyobrażające śnieg, otulający wszystko dokoła, i znaczył go samotnymi odciskami stóp ptaków i ludzi. Chciał rysować Cyganów, ale zrezygnował, ze strachu, że sztuka jest aktem na tyle magicznym, by przyciągnąć ich mroczną uwagę. Kryli się

w zakamarkach jego obrazów, sugerowani cieniami, błyskiem zębów i złotej biżuterii. Starał się trzymać ich z daleka, ale wciąż znajdowali drogę.

Latem ściągali do Zwenigorodu młodzi ludzie z Moskwy, przyszli studenci biologii, na letnie praktyki. Fiodor obserwował ich nieśmiało, gdy maszerowali z dworca kolejowego na przystanek, skąd autobus zabierał ich do tajemniczej Stacji Polowej. Nieśli plecaki, śmiali się głośno, palili papierosy i generalnie zachowywali się tak, jakby miasto do nich należało. Ojczym nie szczędził słów krytyki.

- Patrz na tych smarkaczy - mówił. - Cholerni moskwianie. Panoszą się jak u siebie, jakby ich gównno pachniało bzem.

- Moskwianie są gorsi od Cyganów? - Ośmielił się spytać Fiodor.

Ojczym splunął, jego surowa twarz się pobruździła.

- Złodziej pozostanie złodziejem, jakkolwiek go pomalujesz.

Fiodor obserwował oddalające się plecaki, dzinsy, płócienne tenisówki. Nie wyglądali na złodziei i podzielił się tą uwagą.

- Moskwa jest uprzywilejowana - powiedział ojczym. - Widzisz to? -. Wskazał pękający asfalt i bezpańskie psy śpiące w cieniu sklepu, w którym nigdy nie było nic ciekawego. - My nie mamy nic. Żeby ci wszyscy partyjni szefowie w Moskwie mogli jeść, pić i robić, co tylko zechcą. Okradają resztę kraju i zabierają wszystko do Moskwy. Ktokolwiek tam mieszka, jest złodziejem, to jasne jak słońce. Wypisz, wymaluj jak te cygańskie rzezimieszki, pozał się Boże.

Gdy Fiodor dorósł, nie przestał malować. Zaczął rozumieć stanowisko ojczyma, ale jednocześnie chciał jechać do Moskwy, do tej krainy obfitości i beztroskich studentów, którzy zjawiali się co roku jak migrujące jaskółki i wyjeżdżali przed końcem lata. Chciał posmakować wolności, i gdy skończył szkołę, złożył podanie na Uniwersytet Moskiewski, na wydział biologii, choć ten kierunek niewiele go interesował. Po prostu chciał pewnego dnia zawitać do miasta, w którym przemieszkał dziesięć lat jako gość, jako przelotny ptak.

Nie zdał egzaminów wstępnych, ale zwlekał z powrotem do domu. Zadzwoił do matki i skłamał, że niespodziewanie coś się skomplikowało, i spędził noc na dworcu kolejowym. Rankiem zostawił walizkę w przechowalni i poszedł zwiedzać - złożył obowiązkową wizytę na Placu Czerwonym i w Mauzoleum, pogapił się trochę na sobór Świętego Bazyla. Wędrował krętymi ulicami i przystawał na mostach, patrząc na

zielonobrazową rzekę. Wszędzie zabierał blok i akwarele, i robił szybkie szkice, głównie tylko plamy kolorów z sugestią kształtów, gdy coś mu się spodobało.

- Jesteś całkiem niezły - powiedziała jakaś dziewczyna.

Podniósł głowę i zobaczył, że jest Cyganką - długa spódnica, włosy czarne jak sadza, łagodne oczy i usta. Opadła go panika i wymamrotał:

- Proszę, nie rzucaj na mnie uroku. Nie mam pieniędzy, słowo. Jestem spoza miasta.

Dołeczki pojawiły się w kącikach jej ust, jakby powstrzymywała się od uśmiechu.

- Nie rzucę uroku, przystojniaku - powiedziała, wyraźnie ciesząc się władzą, jaką nad nim odczuwała. - Namaluj mi obrazek, a będziemy w zgodzie. Nawet dam ci talizman dla ochrony przed cygańską klątwą.

- Nie wierzę w talizmany.

Zaśmiała się.

- Ale wierzysz w klątwy? Śmiało, maluj.

- Możesz wziąć ten. - Podsunął jej szkicownik z najnowszym widokiem na rzekę i Ogród Aleksandra, oddany w plamach zieleni i światła.

Pokręciła głową, aż zadzwoniły kolczyki i naszyjniki.

- Chcę dostać swój portret.

Posłuchał, nie całkiem pewny, dlaczego. Malował szybkimi pociągnięciami, nie czekając, aż akwarela lekko rozcieńczona cuchnącą wodą z rzeki wsiąknie w papier, nakładał ją grubo jak farbę olejną. Połączył czerń z błękitem, tworząc chmurę jej włosów, namalował złoto i srebro na smukłych nadgarstkach, musnął usta karminem, z zieleni i żółcieni wyczarował szal i szerokie spódnice. Malował w zapamiętaniu, przeżywając katharsis - wreszcie, wreszcie się poddał, nie zdołał utrzymać Cyganów z daleka. Teraz na pewno zostanie ukradziony; czuł ulgę na tę myśl. Gdy spotka cię wszystko, czego się zawsze bałeś, już nie masz się czego bać.

Dziewczyna spojrzała z uśmiechem na obraz.

- Podoba mi się. Masz. - Zdjęła z szyi cienki łańcuszek z miedzianym krążkiem i podała go Fiodorowi. - Oto twój talizman. Teraz żaden Cygan nie zrobi ci krzywdy.

Przyjrzał się uważnie matowemu krążkowi, który wyglądał jak stara moneta wypolerowana tak bardzo, że wszystko się na niej zatarło.

- Naprawdę działa?

- Nie, podobnie jak klątwy. Śmiało, włóż. Posłuchał.

- A teraz, masz coś do zrobienia? - Zapytała.

- Nie - odparł i poszedł za nią, gdy skinęła ręką. W drodze opowiedział jej o zawalonych egzaminach i zakurzonym asfalcie Zwenigorodu, miękącym pod nogami w letnim skwarze. Wyznał, że nie ma żadnych planów ani chęci powrotu.

- Możesz dołączyć do mojego taboru - zaproponowała.

Przypomniał sobie, że tak zwie się grupa Cyganów. Tabor Cyganów - jak wataha wilków czy tabun koni, specjalne, zarezerwowane słowo.

- Nie, dzięki. Chyba jeszcze nie jestem gotowy. Dokąd idziemy?

Wskazała przed siebie na przysadzistą, ogromną budowlę z łukowatymi oknami. Rozpoznał dworzec kolejowy.

- Dworzec Pawelecki - powiedziała. - Tu się zatrzymaliśmy, przynajmniej na razie. Mają ładną poczekalnię i dziedziniec. Potrzebny nam dziedziniec dla niedźwiedzia.

- Niedźwiedzia? - Powtórzył.

Skinęła głową.

- Uhm. Chyba jesteśmy w tym mieście jedynym taborem, który daje przedstawienia z niedźwiedziem. Tylko że się starzeje.

- Aha.

Na dworcu kłębiły się tłumy podróżnych. Fiodor, zaatakowany zgiełkiem głosów i ostrych krzyków dzieci, przytulił szkicownik do piersi.

- Tam są Romowie. - Dziewczyna wyciągnęła rękę.

Wyglądali inaczej niż ich zapamiętał. Zamiast jaskrawych strojów mieli bure miejskie ubrania, podniszczone i brudne ze starości. Tylko ich ciemne twarze wskazywały, że są naprawdę obcy.

- Ich ubrania... - Fiodor się zająknął. - A ty? Jesteś ubrana jak prawdziwa Cyganka.

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

- O to ci chodzi? Wracam z przyjęcia. Kostiumy wkładamy tylko na występy.

- A w zwyczajnych ubraniach okradacie ludzi.

Dziewczyna obrzuciła go długim spojrzeniem.

- Jasne, tak. Chcesz zobaczyć niedźwiedzia?

Skinął głową i poszedł z nią przez halę dworcową na małe trawiaste podwórko na tyłach. Ukradkiem sprawdził, czy zegarek wciąż ma przymocowany do paska i czy pasek wciąż okala nadgarstek.

Niedźwiedź, przywiązany łańcuchem do drewnianego pala niedbale wbitego w ziemię, był stary i artretyczny. Jego kaprawe oczy patrzyły na Fiodora z obojętnością

zrodzoną ze starości i trwającej przez całe życie niewoli. Sierść pod oczami miał lepka od śluzu, a brodę gołą, jakby za często ją pocierał. Wielkie łyse miejsca widniały również na bokach, skóra szarzała wśród wyliniałego brązowego futra jak łaty porostów na kamieniu. Niedźwiedź cuchnął mokrym psem, jodyną i zepsutymi zębami.

- Biedne zwierzę - powiedział Fiodor.

- Biedny Misza - zgodziła się dziewczyna. - Jest taki stary. Moja mama mówi, że nie przeżyje zimy.

Niedźwiedź siedział na zadzie, jego boki wznosiły się ciężko, różowy jęzor zwisał spomiędzy połamanych zębów. Fiodor wątpił, czy przeżyje nawet lato.

- Nazwaliście go Misza?

Dziewczyna się roześmiała.

- Tak, wiem. Oryginalnie, prawda? Przy okazji, jestem Oksana. A ty?

- Fiodor. - Zastanowił się. - Dlaczego mnie tu przyprowadziłaś?

- Powiedziałaś, że nie masz nic do roboty. - Wciąż się uśmiechała, ale jej oczy wyrażały rozczarowanie.

Gdyby był starszy albo mniej zaaferowany, zrozumiałby, że dziewczyna okazuje uprzejmość nieznanemu, szuka przyjaciela albo po prostu wyciąga pomocną dłoń. Gdyby nie wieloletni lęk przed porwaniem, powstrzymałby obraźliwe słowa:

- Słuchaj, powiedziałem ci, że nie mam pieniędzy. Żadnych. Oksana tylko na niego patrzyła. Niedźwiedź stęknął.

- Lepiej już pójdę. - Miał dość rozsądku, żeby nie dodać: „Nie chciałem cię przelecieć”, ale pomyślał o tym i podejrzewał, że Oksana odgadła jego myśli.

Nigdy nie wrócił do Zwenigorodu - kolejne spotkanie z Cyganami, po którym został mu amulet i wspomnienie starego chorego niedźwiedzia, przekonało go, że powrót oznaczałby stagnację i śmierć. Gdy solidne w swoim czasie struktury i ideologie legły w gruzach, a usługi publiczne padały jedna po drugiej, nauczył się wieść życie ulicznego artysty. Mieszkał na dziko, gdy nie miał innych możliwości, preferując strychy kamienic w centrum, niedaleko Arbatu, gdzie sprzedawał akwarele, a kupował akcesoria malarskie i wódkę; najbardziej lubił ulicę Hercena. Czasami zatrzymywał się u hipisów, którzy upodobali sobie Arbat i tamtejszych artystów, i tylko nieliczni mieli coś przeciw jego nocnej obecności na tej czy tamtej wersalce. Zimy bywały ciężkie, ale dawało się je przeżyć. Gdy na strychu za bardzo doskwierał

mróz, zwlekał się po schodach na ulice, do błyskających świateł ambulansów, które w szczególności mroźne noce zbierały bezdomnych i zawoziły ich do szpitali, schronisk i wszędzie tam, gdzie były dla nich łóżka i jedzenie. Doskonały przykład syzyfowej pracy, ponieważ zimy powracały, bezdomnych przybywało, a pogotowiu wciąż obcinano fundusze.

Nie tęsknił do zimy, dlatego we wrześniu zaczął pić, więcej się martwił i mniej malował - w tym czasie już tylko na dachach i strychach. Za każdym razem, gdy widział Cyganów, szukał wśród nich Oksany, ale albo jej nie było, albo jej nie rozpoznał w zwykłym ubraniu - lepiej pamiętał jej kolczyki niż twarz. Malował ją czasami, w nadziei że przywoła dziewczynę przez magię sympatyczną, co okazało się równie bezużyteczne jak starta moneta zwisająca na łańcuszku z jego szyi.

Turyści lubili kupować portrety Oksany - lubili wszystko co barwne i egzotyczne, jak sroki. Byli również hałaśliwi jak sroki, mówili do niego głośno, powoli, wyraźnie wymawiając sylaby. On tylko się uśmiechał i nie zdradzał, że rozumie angielski; nie musiał - wymiana sztuki na zagraniczne zielone pieniądze była milczącą transakcją. Co więcej, gdy udawał głupiego, słyszał, co o nim mówią: „Okropne, widzisz, jaki jest pijany? To problem tego kraju, komunizm naprawdę spierdolił im życie. Miejmy nadzieję, że teraz będzie lepiej. Ale ciągle piją”.

Akurat się poprawi, myślał Fiodor. Choć jeszcze młody, nauczył się, że wszystko idzie ku gorszemu, nie ku lepszemu, że zwycięża entropia, że pomimo pozorów porządku wszechświat ma jeden kierunek - zmierza ku ciepłej śmierci, tak mówi druga zasada termodynamiki, a kim on był, żeby się spierać z Herr von Helmholtzem? Wszystko dąży do najniższego stanu energetycznego, a Fiodor swój odnalazł.

Odkrycie, że nie jest jedynym, który znajduje stabilną równowagę w nisko położonych miejscach, było tylko kwestią czasu. Blisko ziemi czas zwalniał, a gdy przyciskał ucho do płyt chodnika, nie dbając, że przechodnie biorą go za pijaka, słyszał głosy, ciche jak szept rosnącej trawy, skarżące się i płaczące w bezustannym pomruku. Moneta na szyi robiła się zimna, gdy dotykała ziemi, a potem parzyła mu skórę nagromadzonym chłodem, który utrzymywał się dłużej niż powinien.

Gdy szepty za bardzo ciążyły mu na sercu, uciekał przed nimi na dach. Ale prędeż czy później wołały, więc schodził na ulice mokre po pierwszych wrześniowych deszczach, sprzedawał obrazy i słuchał, jak przemawia do niego ziemia.

Pojawienie się ptaków sprawiło mu niespodziankę - spodziewał się, że coś wylezie spod ziemi, wyrywając bruk na Nowym Arbacie i sięgając w górę, coraz wyżej, pożerając świat, ściągając go do najniższego poziomu energetycznego. Ale ptaki fruwały po niebie, łopocząc skrzydłami; śledził je wzrokiem, gdy krążyły nad głodnym, znękanym miastem.

W miarę jak rosła jego fascynacja, jadł coraz mniej, pił coraz więcej i mało kiedy sypiał. Gdy ta kobieta poprosiła, żeby pokazał jej ptaki, nie był do końca pewien co naprawdę widział, a co wyśnił lub sobie wyobraził. Rozpaczliwie pragnął to komuś pokazać, po prostu chcąc się upewnić, że nie popada w szaleństwo. Potrzebował potwierdzenia, świadka, który stanie obok niego i będzie patrzył, jak ptaki wylaniają się z zamkniętych okien, odbijających tylko puste niebo; chciał, by ktoś inny zobaczył drzwi odbite w kałużach, otwarte i wypuszczające na świat małe, słabe stworzenia.

Gdy zapadła noc, tańczył z niecierpliwości, jedyny sprzedawca, w czasie gdy zapalały się widmowe różowe latarnie, artysta z samotnym obrazem. Tłum kupców i gapiów rzedniał, a on garbił się w cieniach pod sklepem.

- Gdzie on jest? - Zapytał jakiś mężczyzna.

- Tutaj. - Kobieta, którą poznał za dnia, stanęła w ciepłej kałuży światła. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciw temu, że przyprowadziłam Jakowa.

- Przeciw? Niby czemu? - Zerknął koso na krępego mężczyznę z torbą na ramieniu. Torba zaskrzeczała.

- To mój ptak - wyjaśnił mężczyzna. - Wypadł z gniazda.

Fiodor nieśpiesznie obejrzał młodą wronę. Coś w tym mężczyźnie budziło jego niepokój - sposób, w jaki się poruszał, taki sztywny, niemal jak robot, jakby często ćwiczył, pracując nad utrzymaniem formy. Krótka fryzura. Fiodor się wzdygnął. Miał nadzieję, że to nie jest jeden z tych pakerów, którzy parę lat temu bili hipisów i siłą obcinali im włosy, a obecnie parali się gangsterstwem.

- Chcesz mi coś pokazać? - Zapytała Galina.

- Tak. - Skinął ręką. - Chodźmy. To niedaleko.

Znajdował drogę bardziej z pamięci niż kierując się nazwami ulic; nie przypominałby ich sobie nawet gdyby próbował, ale pamiętał zakręty, nierówne chodniki, spokojne fasady starych budynków. Kluczył, ale w końcu znalazł miejsce, którego szukał - łuk spinający dwie kamienice, wiodący na podwórko z wielką kałużą.

- Tutaj - powiedział, wskazując czarne lustro wody, oszpecone paroma plamami oleju ciekącego z pozostawionego w pobliżu zdezelowanego auta.

W kałuży przeglądały się nikielne aureole latarni, rozproszone w mglistym powietrzu, i fasada najbliższego budynku. Mała lampa zamontowana nad wejściem oświetlała drzwi, które, odbite w kałuży, jarzyły się mlecznym blaskiem.

- Patrzcie - powiedział Fiodor.

Patrzyli, aż ich oczy przestały być pewne, czy widzą odbicie, czy prawdziwe drzwi. Nieruchoma powierzchnia kałuży pogłębiała iluzję absolutnej ciemności otaczającej odwrócone do góry nogami drzwi, wiszące w pustej przestrzeni bez szczególnego celu. Potem drzwi zaczęły się otwierać, powoli.

- Nie podnoście głów - przykazał Fiodor. - Nie patrzcie na prawdziwe. Obserwujcie odbicie, to jest ważne.

Drzwi się otworzyły i poczerniały od bezliku szpaków, które z sykiem wypadały z drzwi w kałuży i mknęły ku nocnemu niebu nad ich głowami, bez stadium przejściowego i bez śladu wody na lśniących piórach.

Wrona w torbie Jakowa zakrakała na znak rozpoznania i zatrzepotała skrzydłami. Nie umiała latać, ale to nie powstrzymało jej od podjęcia próby. Zanim Jakow zdążył wepchnąć ją z powrotem, wyprężyła skrzydła, załopotała i spadła. Nie burząc powierzchni wody, zniknęła w drzwiach w kałuży.

WEJŚCIE

Galina spojrzała na Jakowa, który z rozdziawionymi ustami wlepił wzrok w kałużę, która właśnie połknęła jego wronę. Lekko zanurzyła palce, ale poczuła tylko wodę i błoto, nie znalazła ptaka. Odbicie drzwi podskoczyło i rozpadło się na kawałki, ostro zarysowane w księżycowej bieli, falujące na powierzchni.

- Może powinieneś skoczyć za swoim ptakiem - powiedział Fiodor do Jakowa. W jego ciemnych oczach odbijał się żar na końcu papierosa, a gdy się zaciągnął, pomarańczowe błyski rozświetliły zapadnięte policzki.

- Dokąd? - Zapytał Jakow.

Fiodor wskazał na kałużę, znów spokojną. Drzwi były zamknięte.

Galina przenosiła spojrzenie z jednego mężczyzny na drugiego. Znaleźli się w impasie - negowanie zniknięcia wrony wydawało się równie niedorzeczne jak twierdzenie, że drzwi odbite w wodzie mogą wpuszczać i wypuszczać ptaki. Galina przywykła do dziwnych zdarzeń, ale dzielenie ich z kimś obcym było dla niej nowym doświadczeniem. Czuała się bezradna, słaba bez podnoszącego na duchu koca szaleństwa, który skrywał ją przed tym, czego nie chciała widzieć, i pozwalał wszystko wyjaśnić - na podobnej zasadzie właściciele kotów nie mają powodu obawiać się nocnych hałasów w swych domach. To tylko kot, mówią sobie, nawet gdy zwierzak śpi spokojnie w nogach łóżka. Nie ma się czym przejmować.

Ale tutaj jest się czym przejmować, pomyślała Galina. Czekala, żeby Jakow coś powiedział - z ich trojga wydawał się najbardziej zrównoważony, najbardziej normalny. Może dlatego wciąż stał jak sparaliżowany, z paniką w oczach.

- Mówiłaś, że on wie coś o zniknięciach.

- Nie sądzisz, że ta kałuża ma coś wspólnego z przemianą ludzi w ptaki? - Zapytała.

- Ludzie nie przemieniają się w ptaki - odparł Jakow. - To była tylko iluzja, złudzenie optyczne... Wiał silny wiatr.

- Widziałeś. Ty też to widziałeś.

Jakow nie odpowiedział. Galina spojrzała na odwrócone drzwi w kałuży. Wciąż zamknięte, spostrzegła ze ściśniętym sercem. Czuła podobne ukłucie zawodu, gdy siedziała godzinami na stacji metra, obserwując czarną dziurę tunelu, czekając, aż coś się wydarzy. Nie wiedziała, co czyni kolej podziemną takim magicznym miejscem - może tylko fakt, że tunele są wyryte w mrocznym, wilgotnym sercu Ziemi. Ona jednak wierzyła, że stanowią wejście do ukrytego świata, do którego mogłaby uciec.

Może za mało się starała, może czekała za krótko - wychodziła ze stacji, gdy zamykano metro, zamiast się ukryć i zostać na całą noc. Wracała prosto do domu, zamiast wędrować po nocnym mieście, dopóki niebo nie poróżowieje i długie nieruchome chmury nie zrobią się przejrzyste. Nie pragnęła tego dostatecznie mocno.

Pragnienie osłabło z czasem, od jednego szpitala do następnego, od jednej diagnozy do drugiej, aż w końcu, przekonana o własnym obłądnie, przestała wierzyć, że ucieczka jest możliwa. Nagle odebrano jej szaleństwo, które wreszcie zaczęło nieść pociechę i ukojenie, a wówczas powróciły dawne marzenia o ucieczce, straszne i kuszące.

- Lepiej chodźmy - powiedział Jakow.

Uśmiechnęła się.

- Tak prowadzisz dochodzenia? „Dobra, idziemy”? Nic dziwnego, że tyle zabójstw nie zostało wyjaśnionych.

Jakow wzruszył ramionami i odwrócił wzrok. Przytyk musiał zabołeć, i Galinie natychmiast zrobiło się go żal.

- Nie chciałam, żeby tak wypadło. Przepraszam, ale moja siostra zniknęła i pomyślałam sobie, że może powinniśmy się temu przyjrzeć.

- Czemu przyjrzeć? - Parsknął nerwowym śmiechem. - Ludziom przemieniającym się w ptaki? Drzwiom do kałuży? Wariatom? - Ruchem głowy wskazał Fiodora. - Co w związku z tym mielibyśmy zrobić?

- Moglibyśmy spróbować przejść przez drzwi.

Jakow pokręcił głową.

- To tylko odbicie.

- Twój ptak miałby odmienne zdanie. Zostawisz go tak po prostu?

- Jest dziki - odparł. - Poza tym chyba masz rację. Co, do cholery, może być za tymi drzwiami?

Galina rozmyślała przez chwilę. Dziecięce wyobrażenia jednorożców i wróżek wydawały się naciągane - co jednorożce i wróżki miałyby robić pod tym mrocznym miastem, które piętrzy się wysoko, otacza ze wszystkich stron dławiącym kamieniem i metalem? Co dobrego mogło się pod nim ukrywać?

- Nie wiem - odparła. - Ale jestem pewna, że odkrycie rzuci trochę światła na zniknięcie Maszy.

Jakow poderwał ręce w powietrze i okrążył kałużę.

- Skąd możesz wiedzieć, że to ma coś wspólnego z twoją siostrą? Bo ten wariat tak ci powiedział?

- Nie jestem wariatem - zaproponował Fiodor.

Galina nie zwróciła na niego uwagi.

- Dwie dziwne rzeczy zdarzają się w tym samym czasie. Nie sądzisz, że muszą być jakoś powiązane?

- To możliwe - odparł Jakow. - Ale...

Przerwał mu cichy świst, który dobiegł ze wszystkich stron naraz. Sekundę później wielka chmura ptaków wpadła na podwórze, ich skrzydła biły gęste nocne powietrze. Galina zakryła twarz i skuliła ramiona - wspomnienie ptaków na dachu było zbyt świeże.

Ptaki, nie zwracając na nią uwagi, wpadły prosto w kałużę i zniknęły bez śladu; tylko parę wron wciąż krążyło w powietrzu, kracząc chrapliwie.

- A teraz co myślisz? - Galina się wyprostowała.

- No dobrze - mruknął Jakow. - Wydarzenia są powiązane. Ale nie możemy tam wejść. Gdy sięgnęłaś ręką w kałużę, nic się nie stało, pamiętasz? To tylko kałuża.

- Właśnie - powiedział Fiodor. - Sięgnęłaś do kałuży. Widziałaś kałużę, nie drzwi. Ale tak czy siak, te byłyby dla nas za małe.

Galina popatrzyła na odbicie.

- Gdzie znajdziemy większe?

- Znam pewne miejsce. Są wielkie. Tylko że nigdy nie widziałem, by ktoś z nich korzystał.

- Gdzie to jest? - Zapytał Jakow.

- Niedaleko. Na stacji metra, chyba Arbatskaja. A może Smolenskaja. Kto, kurwa, zna różnicę.

- Na linii ciemnoniebieskiej czy jasnoniebieskiej? - Zapytała Galina.

Fiodor tylko wzruszył ramionami i wyszedł z podwórza, pod łukiem i garbiąc plecy na wietrze.

Metro, pomyślała Galina. Zawsze wiedziała, że to będzie metro, i znów zaczęła ubolewać nad swoim brakiem wytrwałości. Przez cały czas myślała, że żyje złudzeniami, podczas gdy w rzeczywistości złudzenia okazały się zbyt słabe, żeby podtrzymać nadzieję.

Jakow zrównał z nią krok, jego torba rozdziawiała się jakby z rozpaczy.

- Znalazłem zwyczajną wronę - powiedział. - Nie domowego pupilka.

- A kałuża była zwyczajną kałużą - odparła. - Czy ty zawsze się tak wycofujesz? Za każdym razem, gdy spotyka cię coś znaczącego, po prostu wmawiasz sobie, że to nie jest ważne?

Pomyślał nad tym chwilę.

- Tak - przyznał. - W ten sposób jest łatwiej.

Galina pokiwała głową.

- Fakt. Czasami sama tak robię. Przepraszam.

- Jestem tutaj w środku nocy, prawda?

Zaskoczył ją jego obronny ton. Uważała policjantów za brutalnych egzekutorów prawa, przynajmniej w dawnych czasach. Teraz wydawali się niepotrzebni i bezradni, bez większego powodzenia walcząc z tą samą falą, z którą zmagali się wszyscy inni. Jak świat mógł się tak zmienić? Jak mógł z dnia na dzień stanąć na głowie? Obiecali im przyszłość i zabieranie jej sprzed nosa po prostu nie było uczciwe.

A teraz to. Szli po bruku Nowego Arbatu, różowy blask latarni wydawał się zbyt różowy, zbyt chorobliwy. Z bocznych ulic płynęły głosy, pijackie i chuligańskie, i Galina odruchowo przyspieszyła kroku. W tej części miasta nie było aromatu liści, tylko drapiący w gardle smród dymu i benzyny. Różowe światło malowało długie brzydkie smugi na fasadach, a podmuch wiatru niósł słabą woń z restauracji McDonalds, którą niedawno otworzono w centrum. Był to zapach śmierci znanego jej świata. Galina zmarszczyła brwi.

Gdy się zbliżyli do stacji metra, rozpoznała budynek Ministerstwa Obrony, w który była wbudowana stacja; a zatem Arbatskaja. Fiodor wprowadził ich do środka, zwinnie przeskakując nad kołowrotem. Galina i Jakow wymienili spojrzenia, ale zapłacili. Przeszli pod wielkim kolistym żyrandolem, wiszącym pod sufitem niczym podziemne słońce, i ruszyli ku ruchomym schodom. Galina przystanąła, porażona

nałym światłem, odbijającym się od wnętrza kopuły z białego marmuru, i weszła na schody z drzeniem pływaka, który się zbliża do wodospadu. Przez ułamek sekundy trwali w najwyższym punkcie, a potem rozpoczęli oniryczny, pełen dostojności lot w dół.

Podziemna część stacji przywitała ich niskim stropem, chłodem i wystrojem godnym sarkofagu. Kolumny, odchylające się od torów, spotykały się z sufitem w łagodnych łukach, jak wręgi przewróconej do góry dnem pogrzebowej barki. Galina odchyliła głowę, żeby lepiej widzieć stację, która łagodnie się wokół niej zamykała. W tunelu ryknął zbliżający się pociąg; kilkoro pasażerów wstało z ławek i podeszło do torów, jakby z obawy, że pociąg ich nie zobaczy i przejedzie bez zatrzymania.

- Gdzie jest odbicie? - Zapytał Jakow. - Myślałem, że potrzebujemy odbicia.

- Pociąg nadjeżdża. - Fiodor zgasił papierosa na jednej z kolumn. W zimnym fluorescencyjnym świetle jego twarz z ostrymi cieniami pod szczęką, ze szczeciniastym zarostem, brwiami ściągniętymi nad czerwonymi oczyma, wydawała się jeszcze bardziej kanciasta i dzika. Zrobił parę kroków, zatrzymał się pośrodku jednego z łuków łączących stację z peronem i przywołał ich ruchem ręki. Gdy w milczeniu stanęli z obu stron, naprężył ramiona. Nic dziwnego, pomyślała Galina, ona też nie lubiła takiego osaczenia przez udawaną życzliwość.

Pociąg wjechał na stację, jego smukła sylwetka zatrzymała się z sykiem. Drzwi się otworzyły, wypuszczając i wpuszczając pasażerów.

- Wsiadamy? - Zapytała.

Fiodor pokręcił głową.

- Patrzcie na szkło.

Drzwi zasunęły się z westchnieniem i pociąg ruszył. W oknach i drzwiach, które przesuwały się coraz szybciej, Galina zobaczyła odbicia łuków i swoją twarz o wielkich oczach, zniekształconą przez smugi światła i cienia, przez wklęsłe szkło. Patrzyła w łuk - gdy pociąg przyśpieszał, odbicie rozmyło się i zestaliło, niemal płynnie prześlizgując z jednej szyby na drugą. Patrzyła, jak twarze ludzi wewnątrz zacierają się i znikają, wchłonięte przez narastającą ciemność pomiędzy białymi filarami z marmuru.

- Nic się nie dzieje - usłyszała i poczuła silne szarpnięcie za ramię.

Młóćąc rękoma powietrze, straciła równowagę i poleciała do przodu, kuląc się przed zderzeniem z pędzącym pociągiem albo upadkiem na trzecią szynę, ale nie odrywając oczu od chybotliwego białego łuku. Chłodne powietrze uderzyło ją w twarz

i w końcu wylądowała na rękach i kolanach, czując pod palcami coś ciepłego i wilgotnego.

- Nic ci się nie stało? - Zapytał Jakow. Kucał obok niej, białka jego oczu połyskiwały w półmroku.

- Nie. - Wilgoć sączyła się przez tkaninę dzinsów. Wstała, czując słabość w kolanach i mdłości w żołądku.

Fiodor chwycił ją za łokieć, pomógł utrzymać równowagę.

- Pocałowałaś glebę.

Mężczyźni skakali koło niej, jakby chcieli opóźnić chwilę, gdy będą musieli spojrzeć dokoła, a wtedy zobaczą biały łuk nad głowami, a przed sobą niewyraźną drogę. Przez chwilę fantazjowała, że wpadli do nieczynnego tunelu, do tajemnej hali stacji metra, i parsknęła śmiechem.

- Naprawdę tu jesteśmy - powiedziała swoim towarzyszom, którzy popatrzyli na nią ze zmartwieniem. - To naprawdę istnieje.

- Gdybyśmy tylko wiedzieli, gdzie jest to „tu” - mruknął Jakow.

- Pod ziemią - odparł Fiodor. - Czy to nie oczywiste?

Droga, na której stali, biegła w dal, wąska, gruntowa, głęboko poorana bliźniaczymi koleinami. Obrzeżały ją namioty, drewniane chałupy, porzucone szopy na siano, tu stłoczone, ówdzie samotne, wtulone w kępy czarnych krzaków z poskręcanyimi długimi gałęziami.

- Wygląda jak moja rodzinna wioska - powiedział Fiodor.

Jakow się zaśmiał.

- Bez obrazy, ale gratuluję, że się stamtąd wyrwałeś.

Wzrok Fiodora błędził po drodze, gdy leniwy uśmiech rozciągnął mu wargi, czarne w mrocznym podziemiu.

- Dzięki. I wzajemnie, *limitczik*. Co, myślałeś, że nikt nie zauważył?

Twarz Jakowa pociemniała, a jego pięści zrobiły się wielkie i ciężkie.

- Nie mów tak do mnie, kurwa, bo cię aresztuję.

- Aha, glina. - Fiodor parsknął. - Co, myślisz, że jak będziesz szczekał głośniejsz od innych i chronił ich dupy, to będą traktować cię jak człowieka, a nie jak psa? Marz sobie dalej, durny kundlu.

Galina ściągnęła brwi.

- O czym wy mówicie? O kim?

Mężczyźni gwałtownie odwrócili się w jej stronę.

- O was - odparli jednocześnie.

- Macie coś przeciwko moskwianom? - Spytała zaskoczona. I zaśmiała się, zanim zdążyli odpowiedzieć. - I dlaczego rozmawiacie o tym teraz?

- Pora dobra jak każda inna - odparł Jakow. - Ale nie jesteśmy w Moskwie, więc na razie możemy to zostawić.

Fiodor pokręcił głową.

- Jesteś pewien, że nie jesteśmy pod jakimś lochem KGB? Ta droga pewnie wiedzie do Łubianki albo jakiegoś tajnego więzienia.

- Myślałam, że obwiniasz Cyganów - powiedziała Galina. Fiodor zapalił następnego papierosa.

- Winię wszystkich.

Galina zapobiegła kolejnej sprzeczce, ruszając drogą.

- Zastanawiam się, czy prowadzi do rzeki. Takiej jak Styks.

Jakow zrównał się z nią, umyślnie zostawiając Fiodora, żeby zamykał tyły.

- Spodziewałbym się prędzej czegoś w rodzaju chatki na kurzej nóżce - powiedział.

- Wiesz, jak w bajkach dla dzieci.

- Nie wiem. Wszystkie moje książki w dzieciństwie były tłumaczeniami. Angielskie historie, o Jacku, który pokonał olbrzyma, i inne, których nie pamiętam.

- Ha - mruknął. - To dziwne. Ja też miałem mnóstwo angielskich książek w dzieciństwie, po dziadku. Mama je wyrzuciła, gdy wyjeżdżaliśmy z Sierpuchowa.

Szopy i namioty ustąpiły drzewom, swoistemu parkowi. Drzewa były wysokie i nagie, ich szkieletowe gałęzie fosforyzowały, emanując blade światło. Z obu stron napierały na drogę, ich gałęzie spotykały się nad nią, tworząc koronkowy baldachim na czarnym tle nieistniejącego nieba.

- Zdecydowanie terytorium Baby Jagi - stwierdził Fiodor. - Chciałbym zobaczyć, jak próbujesz ją zaarrestować.

- Zwyczajnie. Obywatelko Jaga, jesteście aresztowana - odparł Jakow i wszyscy troje zaśmiali się nerwowo.

Kręta droga prawie zniknęła, zwięzając się do ledwo widocznych kolein w gęstej białej trawie, której widok przepelniał Galinę irracjonalną odrazą. Białe ptaki - szpaki i gawrony - pstrzyły drzewa jak przyszcze. Zastanawiała się, czy są zupełnie inne niż te na powierzchni, czy może zwyczajne ptaki stopniowo zmieniają kolor pod ziemią, zrzucając ciemne pióra i zastępując je nowymi, białymi jak całun.

Cichy dźwięk, który narastał od jakiegoś czasu, wreszcie dotarł do jej świadomości. Zaczęła nasłuchiwać cichego, ale potężnego dudnienia. Brzmiało tak, jakby płynęło z daleka, i domyślała się, że z bliska musi być ogłuszającym rykiem. Jak wodospad, pomyślała, wodospad ruchomych schodów, które zwiozły ją do przewróconej barki pogrzebowej - stacja metra zapowiadała to, co kryło się w dole, i musiała się zastanowić, czy efekt był zamierzony.

Ludzie na zewnątrz, ludzie, którzy rządzą za czasów jej odległego pionierskiego dzieciństwa i, jak się zdaje, nie stracili władzy, musieli maczać palce w tworzeniu identycznego projektu nad i pod ziemią. Nagle słowa Fiodora o lochach KGB przestały brzmieć śmiesznie, nabrały sensu. Komuniści znaleźli i okiełznali rzekę Styks, może odwrócili jej bieg i zbudowali na niej hydroelektrownię, przycupniętą na brzegu jak szpetna betonowa ropucha, zanieczyszczającą zimną czarną wodę. Charon nie żył, zgnił w obozie pracy ileś lat temu, a jego barka, wyniesiona na powierzchnię, została cynicznie wykorzystana jako szkielet stacji metra, i nikt o tym nie wiedział. Ale prawdopodobnie wciąż brali opłatę za przeprawę. Galina sięgnęła do kieszeni.

- Czego szukasz? - Zapytał Jakow.

- Monet - odparła. - Na wypadek, gdybyśmy musieli zapłacić za przeprawę przez Styks.

- Już zapłaciłem - powiedział Fiodor z tyłu. - Nie martw się o monety. Ale czemu tak się uczepiłaś Styksu?

- Posłuchajcie - poleciała Galina. - Czy to nie szum wodospadu?

Słuchali. Dudnienie i daleki ryk stały się głośniejsze.

- To nie rzeka - stwierdził Jakow. - To... Jakieś urządzenie.

- Elektrownia wodna.

- Patrzcie, tam jest - powiedział Fiodor i wskazał polanę przed nimi. Drzewa odsunęły się od ścieżki, odsłaniając jakąś niewiarygodnie wielką konstrukcję, szarą i niską, niewątpliwie będącą dziełem ludzkich rąk. Wyglądała jak porzucona budowa, z nieregularnymi płaszczyznami i sterczącymi kominami, miejscami okryta płótnem żaglowym, jakby dla ochrony przed deszczem.

Ostrożnie zbliżyli się do budowli, która w szarym podziemnym świetle wydawała się wyjątkowo martwa. Ruszyli wokół podstawy, wypatrując ludzi. Konstrukcja drżała z jakiejś wewnętrznej udręki, bucząc tak głośno, że musieli wrzeszczeć na całe gardło, żeby się wzajemnie słyszeć. Na szczęście niewiele mieli do powiedzenia, ograniczając się do okrzyków zdumienia.

Ściany były popękane ze starości i w rysach rosły grube źdźbła białej trawy; w wyjątkowo dużej szczelinie zagnieździł się czarny krzak, a jego korzenie, grube niczym liny, kruszyły cement, próbując dosięgnąć ziemi.

Galina okrążała fundament, płótno żaglowe łopotało jej nad głową jak para leniwych skrzydeł. W pewnej chwili oderwała wzrok od budowli i natychmiast przywołała swoich towarzyszy. W cieniach mruczącego monstrum, dotąd ukryte przed ich wzrokiem, leżało miasto - pierwsze drewniane zabudowania i chodniki zaczynały się ledwie sto metrów dalej. Co ważniejsze, na ulicach byli ludzie.

Weszli do miasta. Z początku Galina myślała, że natknęli się na tajne podziemne więzienie, ale ludzie wydawali się zbyt dobrze odżywieni i brakowało im tego nawiedzonego wyrazu oczu, jaki zawsze kojarzyła z więźniami politycznymi.

Z wyjątkiem jednego mężczyzny. Stary, z zapadniętymi policzkami, ubrany w grubą kurtkę z płótna żaglowego, zatrzymał się pośrodku wąskiej ulicy. Jego głęboko osadzone oczy pochwyciły jej spojrzenie.

- Nowi? - Zapytał niskim, dudniącym głosem. Galina chciała odpowiedzieć, ale Jakow ją ubiegł:

- Tak. Szukamy zaginionych...

- Mojej siostry - wtrąciła szybko.

- Tak. Ludzie przemieniają się w ptaki, wiecie coś o tym? Starzec przeżuł powietrze w bezzębnych ustach.

- Ptaki - mruknął. - Nic mi o nich nie wiadomo. Nazywam się Sowin. Mogę was oprowadzić. - Popatrzył na Galinę i towarzyszących jej mężczyzn, jakby ich oceniał. - Dziwne, ostatnio nie widzimy tu młodych.

- Tu? - Podchwycił Jakow.

Starzec niejasno machnął ręką.

- Tak, tu. A gdzieżby, kurwa, indziej? Jesteś pod ziemią, to wszystko, co trzeba wiedzieć. Jak powiedziałem, ostatnio zjawia się tu niewielu młodych; jestem naprawdę zaskoczony.

- Dlaczego? - Zapytała Galina.

- Zawsze przybywa ich więcej, gdy na powierzchni następują zmiany. Słyszałem, że w latach trzydziestych i czterdziestych przyjmowaliśmy uciekinierów całymi stadami. W sześćdziesiątych trochę się polepszyło, ale w siedemdziesiątych i osiemdziesiątych napływali ciągłym strumieniem. Zakładaliśmy się, o ile ruch

wzrosnie za dziewięćdziesiątych, biorąc pod uwagę cały ten popieprzony obłęd, jaki panował na górze. Ale nic, wyobraźcie sobie.

- A co z ptakami? - Zapytał Jakow.

- To jakaś błędna magia i naprawdę niewiele mi o tym wiadomo. Nie obchodzi mnie to gównie, jestem naukowcem.

- Wobec tego, kogo możemy zapytać? - Zapytała Galina.

Sowin strzyknął śmierzącą, brązową śliną.

- Pytajcie Davida Michaelowicza, właściciela karczmy. Sprzedaje gorzałę wszystkim, nawet odmieńcom.

Galina odwróciła się w stronę Jakowa, żeby zapytać, kim według niego mogą być ci odmieńcy, ale zaskoczyła ją nagła zmiana w jego zachowaniu. Wciąż przelykał ślinę, jakby ość utkwiała mu w gardle.

- Dziwne nazwisko - wydukał w końcu. Głos miał zduszony, nienaturalnie spokojny.

- Tak - przyznał Sowin. - Nazywa się Richards, naturalizowany Anglik. Niewiele tu cudzoziemców, ale paru się znajdzie. Mieszkał w Moskwie, pracował jako spiker radiowy czy coś takiego. Głupi dupek przyjechał w trzydziestym siódmym, żeby budować komunizm, niech go licho. Zgadujcie, do trzech razy sztuka, ile czasu minęło, nim został oskarżony o szpiegostwo?

- Czysty idiotyzm - skomentował Fiodor.

- Tak - zgodził się Sowin. - A jednak człowiek miał ideały, i za to trzeba go podziwiać.

- On nie żyje - powiedział Jakow nagle. - Martwy i pogrzebany.

- Tak jak my wszyscy, w pewnym sensie. Jesteśmy pod ziemią.

- Znasz go? - Szepnęła Galina do Jakowa.

Jakow skinął głową, wciąż przelykając nieistniejącą ość. Jego jabłko Adama podskakiwało jak nakręcone.

- To mój dziadek, jak myślę.

- No to chodźmy - zarządził Sowin, ruszając z wielką prędkością i zdecydowaniem w głąb bocznej ulicy. Jego ciężkie wojskowe buty klekotały na drewnianym chodniku jak kopyta szarżującego konia kawaleryjskiego. Dopiero wtedy Galina zauważyła, że Sowin wyraźnie utyka, co jednak nie umniejszało zwinności jego ruchów.

Pomyślała, że miasto wygląda zaskakująco normalnie, jeśli przymknąć oko na jarzące się, płaczące drzewa i budynki zaprojektowane raczej przez fantazję niż

zdrowy konstrukcyjny rozsądek. Z domów, kokieteryjnie ukrytych za dzikim gąszczem chwastów i jeżyn, mrugały do niej ciepłe maślane oczy okien, każde innego rozmiaru.

- Macie elektryczność? - Zapytała Sowina.

- Oczywiście. A co tu, kurwa, według ciebie mamy średniowiecze? - Znów splunął. Spod desek chodnika wybiegło coś małego, niebieskiego i kościstego, by pierzastym językiem zlizać do czysta brązową, gęstą ślinę. - Mamy elektryczność - mówił Sowin. - Musieliście po drodze minąć naszą elektrownię.

Galina wspomniała monstrum z betonu i płótna żaglowego.

- A więc to było to. Na czym pracuje?

- Na wszystkim, co spada z powierzchni. Mniejsza z tym, chodźmy pogadać z Davidem Michaelowiczem.

Przystanął przed niskim brązowym budynkiem, rozpostartym jak wielka rozgwiazda; jedno z ramion wystawało na ulicę, zatrzymując przechodniów. Na budynku wisiał szyld z lapidarnym napisem wymalowanym jaskrawożółtą farbą. „Karczma”, oznajmiał światu po rosyjsku i angielsku.

- Wchodźcie - powiedział Sowin. - Nie krępujcie się. Tu jest jak w pierdolonej Casablance, tylko więcej piwa i mniej muzyki, bezsensownej gadaniny i innego szajsu.

Galina pomyślała, że naukowiec Sowin strasznie się wyraża, ale podeszła z nim do ciężkich drzwi. Na progu odwróciła się i szepnęła do Jakowa:

- Wszystko będzie dobrze.

- Wiem - odparł. - Tylko... Nie znałem nawet ojca, a teraz jestem tutaj i zaraz zostanę przedstawiony dziadkowi, który nie żyje od pięćdziesięciu lat. Moja mama co tydzień chodzi na jego grób.

Galina szukała słów, ale nie znalazła nic stosownego do powiedzenia. Weszła za Sowinem, ostrożnie stąpając po dywanie z trocin.

Zobaczyła drewniane stoły i stołki, częściowo zajęte przez klientów, którzy pili i rozmawiali cicho. Pomyślała, że lokal wygląda jak angielski pub, wymyślony na podstawie paru pirackich filmów i powieści Dickensa.

Na niskim barze, pokrytym skomplikowanym fraktalowym wzorem okrągłych śladów szklanek, stała imponująca bateria butelek o różnych kształtach i rozmiarach, opatrzonych nalepkami własnej roboty. Na starannie opisanych etykietkach widniały proste, ale pełne ekspresji rysunki wykonane tuszem.

Mężczyzna za barem wyglądał młodo, nie więcej niż na trzydzieści pięć lat. Na jego muskularnych przedramionach lśniły kropelki wody po niedawnym zmywaniu

naczyń. Wytarł ręce w ręcznik zatknięty za pasek i uśmiechnął się do Galiny. Miał szczupłą twarz, a jego oczy patrzyły czujnie na nowych gości przez okrągłe okulary w drucianych oprawkach, osadzone na długim wklęsłym nosie. Skinął głową do Galiny i uśmiechnął się szerzej, pokazując białe nierówne zęby.

- Nowa - powiedział po rosyjsku z silnym obcym akcentem. - Witaj w domu, moja droga. Mogę ci podać coś do picia?

- Odpuść sobie flirty z kobitką - powiedział Sowin i przyciągnął do baru Jakowa, nagle zawstydzonego i zarumienionego. - To twój krewny. Przynajmniej tak gada. Zostawię was, żebyście się mogli czule przywitać, gdy tylko dasz mi piwo na koszt firmy.

David przyglądał się Jakowowi znad szkieł, nalewając do szklanki szczodłą miarkę bursztynowego piwa z butelki.

- W porządku - powiedział, gdy Sowin odszedł, powłócząc nogami, w kierunku jednego ze stołów, gdzie dwaj starszycy grali w warcaby. - A kim ty właściwie jesteś?

DAVID

- Twoim wnukiem - odparł Jakow. - Chyba. - Nie mógł się do końca pogodzić z myślą, że dwa pokolenia dzielą go od mężczyzny tylko trochę starszego od niego.

Brwi Davida wygięły się w łuki, twarz mu pobladła.

- No nie - szepnął. - Tania była w ciąży?

- Babcia Tania. - Słowa przywołały wspomnienie wysokiej tęgiej kobiety o silnym głosie nauczycielki i z wiecznym cierpieniem w oczach. - Była w ciąży. Gdy nie wróciłeś do domu, uznała, że zabrało cię NKWD. Tej samej nocy spakowała torbę i złapała pociąg do Sierpuchowa; miała tam krewnych.

David pokiwał głową.

- Mądrze. Jak się miewa?

Jakow nie był dobry w mówieniu ludziom, że ktoś, kto był im drogi, nie żyje. Z racji wykonywanego zawodu musiał przynosić złe wieści, ale niezależnie od tego, jak często to robił, wciąż się jękał i odwracał oczy.

- Nie żyje - wymamrotał, studiując wzory na powierzchni baru. - Od dwudziestu lat. Ale ją pamiętam.

- Ja też - powiedział jego dziadek. - Tak mi przykro.

- Myślała, że nie żyjesz. Pisała do NKWD, ale nie chcieli jej nic powiedzieć. Wreszcie w latach sześćdziesiątych przysłali list z przeprosinami, standardowy formularz, jaki dostawały wszystkie rodziny represjonowanych. - Jakow przygryzł wargę, wspominając pismo, które babcia trzymała w małym pudełku po cygarach z wesołą Kubanką na wieczku. Fotografie i listy, niektóre pożółkłe, niektóre nowe. Zdjęcia maleńkiego Jakowa i jego mamy, zdjęcia paszportowe babci patrzącej w czarne oko aparatu z determinacją, jak w lufę pistoletu. Jedno zdjęcie dziadka, uśmiechniętego, robiącego głupią minę. Było żółte i kruche, nie pozwalała go dotykać,

zwłaszcza że jego palce zwykle pokrywała lepka paćka takiego czy innego pochodzenia. Ale pozwalała mu patrzeć. I listy od wdzięcznych uczniów, kartki urodzinowe od krewnych z Sierpuchowa, dyplomy, suszone kwiaty i jeden list na rządowym papierze. Pośmiertnie oczyszczony ze wszystkich zarzutów. Rehabilitowany. Nawet teraz Jakow czuł na języku gorzki smak tego słowa. Zwłaszcza teraz, gdy człowiek rehabilitowany w liście stał przed nim, z roztargnieniem wycierając szklanekę od piwa.

David pokiwał głową. Szklanka wyślizgnęła mu się z rąk i poturlała po szorstkim blacie, najwyraźniej wyciosanym z pnia blaskodrzewa. Chwyił ją i postawił.

- W porządku. Siądźmy i pogadajmy.

Jakow przepraszająco machnął dłonią do Galiny i Fiodora, którzy przysiedli się do Sowina i jego sędziwych przyjaciół. Pomachali do niego w odpowiedzi, pewnie radzi, że siedzą przy piwie i nie muszą się o nic martwić.

David zajął miejsce przy stoliku w głębi jednego z ramion karczmy, przy trójkątnym oknie, które wpuszczało trochę światła z drzew i z którego roztaczał się widok na rząd podwórek, zarośniętych bladym zielskiem. Przyniósł ze sobą dwie szklanki i butelkę, i nalał, gdy tylko Jakow usiadł.

- Pozwól więc - zaczął David - że opowiem ci swoją wersję historii.

David urodził się w Lancashire pod Manchesterem, w mieście niezbyt się różniącym od tego podziemnego - niewiele światła, pył węglowy wiszący w powietrzu, nadający wszystkiemu zakurzony, czarno-szary wygląd. Gdy padało, czarne łyzy spływały po szybach w przędzalni bawełny, gdzie pracowała jego matka. Sam zaczął tam pracować, gdy miał dziesięć lat, a jako piętnastolatek wstąpił do związku zawodowego.

Dwa lata później, gdy angielski przemysł bawełniany przeniósł się za morza, David wyjechał z Lancashire za chlebem. Pracował jako robotnik w dokach i na plantacjach chmielu, a nocami czytał. Wciąż bratał się ze związkami zawodowymi i w wieku dwudziestu jeden lat miał w pełni wykształcone poczucie sprawiedliwości społecznej, powiązane z duchem przygody.

Wybrał się do Melbourne - niezupełnie dobrowolnie, jak zasugerował. Tam wstąpił do rodzącej się Komunistycznej Partii Australii i założył socjalistyczną gazetę, która błyskawicznie przyciągnęła uwagę władz, w przeciwieństwie do odbiorców, do

których była skierowana. Jego powiązania z nielegalną organizacją Robotników Przemysłowych Świata doprowadziły do oskarżeń o działalność przestępczą.

- Musisz zrozumieć - powiedział Jakowowi i dotknął jego ręki z nieśmiałą, ciepłą poufałością. - W tamtych czasach trzeba było mocno się starać, żeby zostać osobą niepożądaną w Australii.

Naprawdę mocno. A ja tylko chciałem, żeby moja działalność polityczna wyszła komuś na dobre, pomimo wszystkich kłopotów, jakie mi sprawiła. - Westchnął. - Pomimo wszystko.

Przez gazetę socjalistyczną trafił do więzienia, a gdy wyszedł, był persona non grata w wielkiej części świata anglojęzycznego.

- Więc to cię sprowadziło do Moskwy? - Zapytał Jakow.

- Postanowiłem udać się do źródła. Do miejsca, gdzie naprawdę istniał nowy porządek. Chciałem go poznać, lepiej zrozumieć, żeby móc wytłumaczyć ludziom - słuchaj, widziałem, wiem. Myślałem, że gdy na własne oczy zobaczę socjalizm, gdy zyskam wiedzę z pierwszej ręki, będę mógł lepiej ich przekonywać. I że gdy będę w tym dobry, obalenie kapitalizmu w Brytanii stanie się tylko kwestią czasu.

- Brzmi... Naiwnie.

David pokiwał głową.

- Tak wszyscy tu mówili. Kawki mają więcej rozumu niż ja. Nawet cholerne baśniowe stwory naśmiewają się ze mnie. Niech im będzie. Może jestem głupi. Ale gdybym nie był, nie poznałbym twojej babci. Co na to powiesz?

Jakow nie miał nic do powiedzenia, więc David podjął opowieść.

Tania, powiedział, była jedyną kobietą, jedyną osobą, która interesowała go bardziej niż lektura *Das Kapital*. Po raz pierwszy zobaczył ją w autobusie, którym codziennie dojeżdżał do pracy, i zaczął zabiegać o jej względy z determinacją, jaka zawsze wpędzała go w kłopoty. Na ironię, po raz pierwszy w dorosłym życiu trzymał się z dala od polityki, ale polityka nie chciała zostawić go w spokoju.

Nie przeszkadzało mu ubóstwo w tym nowym kraju; przywykł do biedy i stwierdził, że wydaje się bardziej dotkliwa, gdy idzie w parze z bogactwem nielicznych. Jednakże bariera językowa stanowiła poważne wyzwanie. Znalazł pracę w przetwórni mięsa - nie musiał wiele mówić, a wysiłek fizyczny pomagał mu myśleć. Nocami czytał jak zwykle, dla odmiany rosyjskie podręczniki. I wyczekiwał poranków, żeby wsiąść do autobusu i obserwować dziewczynę o poważnych oczach, z włosami związanymi w koński ogon, dopóki nie wysiadzie parę przystanków dalej, przy szkole.

Zwykle czytała podręczniki, więc przypuszczał, że jest nauczycielką; pewnego dnia zebrał się na odwagę, by usiąść obok niej i zapytać o wymowę słowa z książki do gramatyki, którą zabrał ze sobą.

- Jakie to było słowo? - Zapytał Jakow. Nagle musiał poznać słowo, które ich połączyło, nagle stało się to bardzo ważne.

- Rondel - odparł David. - Wiem, mało romantyczne, ale naprawdę trudne.

Była wiosna, gdy rozmawiali po raz pierwszy; na początku lata codziennie widywali się w autobusie. Jesienią się pobrali.

Tania zachowała nazwisko panięskie. David był na tyle postępowy, że nie miał nic przeciw temu, ale się zastanawiał, bo z pewnością przeczyło to tradycji. W końcu zapytał.

Popatrzyła na niego ze śmiertelną powagą w ciemnych oczach.

- Zrozum, Davidzie. To nie jest bezpieczny czas dla cudzoziemców. On (nigdy nie wypowiadała nazwiska Stalina, albo z niekłamanego strachu, albo z przesądnej niechęci do nazywania sił zła po imieniu, żeby ich nie przyciągnąć) jest obłąkany. Czy wiesz, ilu ludzi znika każdego dnia? Czy wiesz, że jesteś podejrzany tylko dlatego, że jesteś cudzoziemcem?

- Przecież jestem komunistą.

- Jesteś głupcem - poprawiła. - Jeśli chcesz, przyjmę twoje nazwisko. Ale musisz wiedzieć, że jednakowe nazwisko zwykle oznacza jednakowy los.

- Myślałem, że jesteś gotowa oddać za mnie życie - zażartował.

Jej twarz pozostała poważna i nie był pewien, czy zrozumiała.

- Nie. Obiecałabym ci, że to zrobię, gdyby nie ryzyko, że obietnica się spełni.

Nie mógł osądzić, czy teraz ona nie żartuje.

Przeniósł się do jej mieszkania, dzielonego z niechlujnym mężczyzną w średnim wieku, który ciągle mamrotał do siebie i zostawiał brudne rondle we wspólnej kuchni. Tania ani razu nie powiedziała mu słowa, David jednak był mniej wyrozumiały.

- Sprzątaj po sobie, proszę - powiedział sąsiadowi w swoim najlepszym rosyjskim.

Mężczyzna skrzywił się gniewnie i burknął coś pod nosem.

- Robię, co chcę - oświadczył głośno, wychodząc z kuchni. - Jeszcze raz narób smrodu, a dopilnuję, żebyś zniknął.

David opowiedział Tani o zdarzeniu, ale zamiast śmiechu ze stukniętego sąsiada, usłyszał płacz. Siedziała na łóżku z niklowanym wezgłowie, zasłanym kołdrą matki, i płakała.

- Davidzie, musisz zrozumieć. Musisz być miły dla ludzi. Nie możesz mieć ani jednego wroga.

- Dlaczego?

- Bo jesteś cudzoziemcem. On dał władzę najgorszym ludziom, czy ty nie pojmujesz? Jesteś za dobry, żeby podłożyć komuś świnie, i myślisz, że wszyscy inni są tacy sami. Nawet Rosjanie zwracają się jeden przeciw drugiemu, ale mając ciebie... Może powinniśmy wyjechać do mojej ciotki, do Sierpuchowa. Na prowincji łatwiej się ukryć.

David nie miał ochoty się ukrywać. Niedługo później dowiedział się, że angielskojęzyczna gazeta szuka korespondentów; złożył podanie i dostał pracę dzięki temu, że umiał czytać i pisać po angielsku. Ku jego zaskoczeniu, nie było wielu chętnych na to stanowisko, i musiał przyznać, że paranoja żony wydaje się powszechna. Co gorsza, uczucie zimna w dołku mówiło mu, że Tania ma rację.

Była zima, gdy po niego przyszli. Pracował w biurze do późna i na ulicę kładły się długie niebieskie cienie z latarni, gdy wracał do domu. Z przystanku autobusowego miał ledwie pięć minut drogi, ale tego dnia było tak zimno, że przyśpieszył kroku i tarł uszy. Ulicę obrzeżały zasy, głębokie fioletowe cienie akcentowały ich delikatne błękity, a okna w blokach jarzyły się żółtym ciepłem.

Dwóch mężczyzn czekało przy wejściu. Nie zwróciliby na nich uwagi, gdyby nie niedopałki w brudnym, zdeptanym śniegu - stali tam jakiś czas. Potem spostrzegł czarne trencze i czarny samochód bez tablic, stojący na jałowym biegu przy krawężniku. Serce zamarło mu w piersi i zapomniał o zimnie. Miał dość przytomności umysłu, żeby podziękować Bogu, w którego nie wierzył, za zatrzymanie ich na zewnątrz, z dala od Tani. Nie mógłby ich pokonać, ale nie był gotów się poddać. Minął ich z rękami wbitymi głęboko w kieszenie płaszcza. Twarz mu zdrętwiała od kásającego zimna.

- Hej! - Zawołali za nim.

Pobiegł. Cienkie podeszwy butów ślizgały się na długich pasach lodu, zdradliwie ukrytych pod świeżym śniegiem. Słyszał sapanie pościgu, ale nie mógł się obejrzeć. Miał nadzieję dotrzeć do następnego bloku, odciągnąć ich od domu, choć zdawał sobie sprawę, że to na nic, bo przecież wiedzieli gdzie mieszka. Biegł co sił w nogach, ślizgając się, czując w gardle palenie lodowatego powietrza, które zasysał łapczywymi haustami.

Strzał zagrzmiał w mroźnym powietrzu. David rzucił się w bok i pochylił, ale nie zwolnił. Okulary zsunęły mu się z nosa; miał dość przytomności umysłu, żeby je złapać i schować do kieszeni - nie mógł ryzykować zakładania ich w biegu.

Skręcił za róg i omal nie upadł. Przed sobą ujrzał światła i zamrożone drzewa, przymglone, przybrane w aureole blasku latarni. Bez okularów nie widział zbyt dobrze. Gdy zobaczył otwarte drzwi, ciemne, obiecujące bezpieczeństwo, rzucił się ku nim z wyciągniętymi rękami. Już prawie był w ich bezpiecznym uścisku, gdy kolejne strzały rozdarły powietrze. Poczł pieczenie w plecach i tępy, rozdzierający ból w łopatkach. Desperacko skoczył ku drzwiom, które nagle rozpadły się przed nim, i gdy przelatował na drugą stronę, zrozumiał, że zwiódł go słaby wzrok - wziął okno wystawowe za wejście. Szkło zasypało mu głowę i ręce, żądłac jak milion pszczoł. Potem zimne powietrze dmuchnęło mu w twarz, w górze zajarzyło się drzewo i opadło na niego dwanaście białych skrzeczących kawek.

Jakow dopił drinka. David patrzył na niego, jakby na coś czekał.

- Nigdy ponownie nie wyszła za mąż - powiedział Jakow. - Babcia, rzecz jasna.

David pokiwał głową.

- Ja też się nie ożeniłem. Żałuję, że nie wiedziałem... O twojej matce.

- Niewiele można o niej powiedzieć. - Jego matka była zwyczajna, nie wiodła ekscytującego życia, nawet jej dramatycznym przeżyciom brakowało egzotyki. Urodziła się trzy lata przed wybuchem wojny i jak przez mgłę pamiętała głód, strach, monotonię cierpienia szarych ludzi, którzy nigdy nie mieli szansy na brawurowe wyczyny. Była osobą, którą trzeba poznać, żeby docenić, a David nie miał takiej możliwości. - Jest dobrym człowiekiem - powiedział w końcu Jakow. - Byłbyś z niej dumny, jak babcia.

Ma na imię Walentyna, niedługo skończy pięćdziesiąt trzy lata. Cały tydzień pracuje, a w weekendy opiekuje się grobem twoim i babci. Załatwiła, żeby pochowano ją w Moskwie, obok ciebie. David osłupiał.

- Mam grób? Dlaczego?

- Nie wiem. Nigdy nie pytałem.

David przygarbił się, wsparł głowę na splecionych rękach.

- Chyba nie powinienem być zaskoczony. Tyle że to dziwne. Dowiedzieć się, że masz grób i pięćdziesięcioletnią córkę. Słyszałem o mężczyznach, którzy z nagłą się

dowiadują, że mają dzieci... Ale nie po pięćdziesięciu latach. Chciałbym z nią porozmawiać, powiedzieć jej...

- Co?

- Że mi przykro. Przykro mi, że tak się stało, i przykro mi, że przeżyłem. Wiem, że nie powinienem. Gdybym tylko miał okulary... Nie próbowałbym uciekać przez to okno.

Jakow zrozumiał, czego chciał jego dziadek - wybaczenia.

- Nie zrobiłeś nic złego - zapewnił. - Tak czy siak miałbyś przesrane.

David wzruszył ramionami, bez przekonania.

- Chyba.

Jakow nie wiedział, co jeszcze powiedzieć. Widział to wcześniej, u ludzi, którzy uszli z życiem z katastrofy. Nie umieli cieszyć się życiem, mając świadomość, że inni zginęli - nazywano to poczuciem winy ocalałych. Widział to u swojej babci - wyjechała z Moskwy, ratując nienarodzone dziecko. Tak, nigdy nie opuściło jej poczucie winy, że porzuciła męża. List na rządowym papierze tylko pogorszył sprawę.

Może jest ku temu powód, pomyślał. Może tym, którzy trafili na tę podziemną ziemię niczyją, pozwolono żyć z jakiegoś powodu.

- Zostałeś oszczędzony - powiedział głośno. - Z pewnością ma to jakiś cel.

- Możliwe. Ale jeśli tak, mnie nic o tym nie wiadomo. Nikt z nas nie wie, a niektórzy są tu od stuleci. - David wyprostował się i z uśmiechem pokręcił głową. - Tylko słuchasz mojego gładzenia. Może opowiesz mi o sobie?

- Urodziłem się w Sierpuchowie. Mieszkaliśmy tam do lat osiemdziesiątych i przenieśliśmy się do Moskwy. Po śmierci babci. Jestem policjantem.

David wydawał się rozbawiony.

- Rzeczywiście, ciekawy wybór. Należysz do partii?

Jakow gwałtownie pokręcił głową.

- Skądże znowu! Powiedzieli mi, że nigdy nie awansuję, ale niech tak będzie.

- Żonaty?

- Byłem. Nie wyszło. - Próbował wymyślić coś do opowiedzenia, miał jednak kłopot z otwieraniem duszy przed obcym, nawet jeśli ten obcy był jego rodzonym dziadkiem, który nie postarzał się od roku trzydziestego siódmego. - Słuchaj, trafiliśmy tutaj i to mnie trochę przerasta.

- Rozumiem. Przywykniesz. Mogę ci jakoś pomóc?

- Tak. Widzisz tę dziewczynę? - Subtelny ruchem głowy wskazał Galinę. - Jej siostra zaginęła. I mnóstwo innych ludzi. Ten wariat nas tu przyprowadził, a ja akurat szukałem tych, którzy zaginęli. Przemienili się w ptaki.

- Aha. W ptaki? Wychodzi na to, że któryś z dawnych się wygłupia. Najpewniej Berendej. Zwykle przesiaduje w lesie, ale nie możecie tam pójść, nie toleruje ludzi na swoim terenie. Trzymajcie się w pobliżu, bo wpada od czasu do czasu na drinka. Tymczasem idź do swoich przyjaciół, a ja poproszę Sowina, żeby odpowiedział na pytania, jakich jeszcze nie zadaliście.

Jakow posłuchał. Czuł lekką ulgę, że dziadek nie próbował go zatrzymać na dalszą rozmowę; obaj potrzebowali czasu, żeby oswoić się z sytuacją.

- W porządku - powiedział Sowin i popatrzył na nich takim wzrokiem, jakby dokonywał przeglądu wojska. - Gotowi? Chodźcie ze mną, ulokuję was na noc.

- Nie jestem zmęczony - powiedział Jakow.

- Niebawem będziesz. - Sowin poklepał go po ramieniu. - Rozchmurz się, synu. Jutro jest nowy dzień, znajdziemy twoich ludzi-ptaków.

Gdy młodzi ludzie odeszli z Sowinem, David pracował w barze do pory zamknięcia, jak zwykle otwierając butelki i nalewając do szklanek piwo, a czasami grzane wino dla zazwyczaj zmarzniętych rusałek. Mieszkańcy podziemnego świata zwrócili uwagę na jego przygnębienie i wiedzieli, że lepiej się z nim nie przekomarzać.

David zdawał sobie sprawę, że jego nastrój rzucił cień na atmosferę karczmy, i chciał wszystkich przeprosić, ale się powstrzymał. To była wyłącznie jego wina i nie miał prawa przeprosinami domagać się pociechy. Zaczekał, aż klienci odejdą, i oddał szklanki domownikom do pozmywania. Rozsypał grubą warstwę trocin na podłodze, zostawił spodek z mlekiem dla kikimory i wszelkich innych duchów domu, posapujących nieśmiało za ciemną boazerią. Dawniej irytowała go nieobecność *brownies* i innych angielskich duszków, ale z czasem pokochał ich słowiańskie odpowiedniki, choć zwykle były bezużyteczne i mocno pokręcone.

- Poważnie - mruknął. - Jaka kultura wymyśla ducha, którego jedynym celem jest rzucanie cebulami i skrzeczenie po nocy? To po prostu głupie.

Z jakiegoś zakamarka za rurami odpowiedział mu wrzask ścinający krew w żyłach.

- Stul pysk - mruknął. - Cholerna parodia *banshee*.

Krzyki przeszły w charczenie i przycichły do stłumionego zawodzenia. David pokręcił głową i otworzył tylne drzwi wiodące do jego mieszkania - oszczędnie

umeblowanego ogromnego pokoju, w którym panował chłód, choć ogień buzował w pękatym żelźniaku na pałakowatych nogach. Usiadł na wąskim łóżku z niklowanym wezłowiem, wsparł głowę na rękach i zaczął rozmyślać o śmierci żony.

Nie miało znaczenia, że nie widział jej od ponad pięćdziesięciu lat; nie miało znaczenia, że zmarła - pożegnał się z nią przed laty. Nigdy nie przestał jej kochać, ale wspomnienia kryły się głęboko w jego sercu, otoczone zwapniałymi warstwami żalu i poczucia winy, izolującymi je od reszty jego pejzażu mentalnego - biorąc przykład z małża, otoczył dokuczliwe ziarno piasku perłowymi powłokami nie po to, żeby stworzyć piękno, ale by chronić delikatne wnętrze przed podrażnieniem.

Teraz ochronne warstwy zostały strzaskane i wizerunek jej twarzy przebił mu serce jak drzazga. Przypomniwał sobie, że się starzała, że wychowała córkę i patrzyła, jak rośnie wnuk, podczas gdy sama się kurczyła. Niewiele o tym myślał, w podziemiu wszyscy byli i mieli być tacy jak wtedy, gdy tu trafili, dopóki w końcu nie zgasną, wszyscy, z wyjątkiem dawnych. Próbował sobie wyobrazić, jak wyglądała po latach wojny i niedostatku, ale jej wizerunek pozostał niezmieniony - młoda kobieta o poważnych oczach i upartym podbródku, kobieta, która próbowała zachować go przy życiu na przekór jego największym staraniom, i w końcu wyparła się wiedzy o swoim sukcesie. Nagle przyszło mu na myśl, że widział ją dawno temu, więc jego wspomnienia wcale nie muszą być wiarygodne. Z tego, co wiedział, stworzył jej twarz z mglistych snów i tęsknoty. Wątpliwości sprawiły, że widziany oczyma duszy wizerunek zafalował, rozpadł się i zniknął. Tej nocy utracił ją ponownie, jak tracił co noc, odkąd uciekł do podziemia. Poniewczasie pożałował, że nigdy nie próbował jej znaleźć ani przesłać wiadomości; z drugiej strony, co dobrego by to dało? Jego myśli krążyły znajomym szlakiem, z koleinami wyczelowanymi przez pięćdziesiąt lat tych samych starych żalów. A jednak dziś wiedział na pewno - miał córkę i wnuka, ale Tania nie żyła. Sam w swoim pokoju, David zapłakał.

SOWIN

Fiodor nie mógł zasnąć - myślał o dzieciństwie w Zwenigorodzie, o długich i pylistych prowincjonalnych letnich porach roku, które zwykle spędzał na jeździe rowerem po miejscowych drogach. Zapach rozgrzanego asfaltu i smoły na zawsze skojarzył się z latem, gdy tani blaszany dzwonek zagłuszał śpiewające ptaki.

Z latem, gdy nikło wszystko prócz drogi i roweru w czasie jazdy z górki - pedały obracały się tak szybko, że czasami musiał zdejmować z nich stopy - ku słońcu, pomarańczowemu i ogromnemu, które czekało na niego u stóp zbocza. W tych czasach na wpół wierzył, że jeśli będzie jechać dość szybko, dopędzi słońce, zaskwierczy i zjednoczy się z wściekle czerwoną tarczą, która zachodziła szybciej niż mógł pedałować.

Z przyjemnością rozpoznał tę dawną wiarę w swojej obecnej przygodzie - najwyraźniej zdolność ignorowania rzeczywistości i brania rzeczy takimi, na jakie wyglądały, nie jakie były, stanowiła klucz do podziemnego królestwa. Wszyscy tutaj, dowiedział się od Sowina, byli na tyle zdesperowani albo skonsternowani i zranieni, by wierzyć, że drzwi mającące na solidnych obiektach otworzą się i pozwolą im wejść, że odbicia są tym samym, co oryginały. Dlatego jest tutaj tylu wariatów, zdecydował Fiodor. Nie miał pewności, czy powinien się do nich zaliczać. Sowin na pewno nie - ten człowiek, uznał, jest trzeźwy jak zimny kamień, i to naprawdę cud, że udało mu się tu dostać.

Fiodor nie mógł spać, choć dom Sowina przypominał przytulną wiejską chatę z ciepłymi ciemnymi ścianami i niską powałą, w której każda belka była inna i poczerniała od sadzy. Leżał na posłaniu (siennik przykryty kocem) i myślał o gospodarzu, o opowiedzianych przez niego historiach, podczas gdy Jakow pytlował ze swoim młodzieńczym dziadkiem.

Sowin walczył w dwóch wojnach światowych, miał trzy doktoraty i mówił płynnie pięcioma językami. Urodzony w Sankt Petersburgu w rodzinie handlarza futer, studiował filozofię w Niemczech i wrócił do Rosji w tysiąc dziewięćset czternastym, żeby walczyć. Wojna światowa szybko przerodziła się w domową, a Sowin stanął po stronie czerwonych, zaskakując nawet siebie. Nie kierował się sprytem wynikającym z trzeźwej oceny sytuacji ani świadomością nieuchronnego zwycięstwa proletariatu. Powodowało nim pragnienie sprawiedliwości, równości. Próbował polubić swoich towarzyszy.

Po wojnie wrócił na uniwersytet w Piotrogradzie, gdzie otrzymał stopień naukowy z rolnictwa. Podróżował z Wawilowem, zbierał nasiona. Fiodor nawet nie potrafił wyobrazić sobie oglądanych przez niego widoków, dlatego wypytywał o Tybet i Himalaje, ale Sowin z uporem trzymał się tematu nasion.

- Musicie zrozumieć - powiedział. - Nasionko ryżu czy pszenicy jest małe. Ale w jego wnętrzu spakowane jest wszystko, wszystko, co kiedykolwiek wiedziało każde źdźbło pszenicy czy ryżu. Ziarenko wie, gdzie żyje, wie, czy jest ciepło, czy zimno; potrafi idealnie przystosować się do miejsca. I każde jest takie samo, a jednak inne, w Azji, na Wschodzie, na Zachodzie, w Andach, gdzie tylko chcesz. Jak można nie kochać takiego maleństwa?

Fiodor odgadł, że pytanie jest retoryczne, dlatego nie zdradził się ze swoją obojętnością wobec ziaren.

- W każdym razie - mówił Sowin - pewnie wiesz, co się stało później.
- Represje?
- Łysenko - podsunęła Galina.

Sowin wydawał się rozbawiony ich odpowiedziami.

- Oboje macie rację - powiedział. - Ale wcześniej był Genofond i Instytut Wawilowa.

Sowin zamieszkał w Leningradzie, gdzie pracował przy katalogowaniu i klasyfikowaniu nasion, badał ich genetykę, krzyżował odmiany. Jego filozoficzne wykształcenie nie tyle popadło w zapomnienie, ile drzemało, gdy skupił całą energię na zrozumieniu nasion i roślin, które z nich wyrastały, na określeniu i opisanu ich cech. Zbiór nasion, Genofond, obejmował wszelkie odmiany roślin uprawnych i rokował wielkie nadzieje. Dopóki Wawilow nie został aresztowany.

Sowin i inni kontynuowali swoją pracę, zaniepokojeni wojną i krucjatą Łysenki przeciwko genetyce i innym naukom z podejrzanym zagranicznym posmakiem. Sowin wyznał, że strach przed obozami pracy zmusił go do ponownego wstąpienia do wojska - przekroczył wiek poborowy, ale go wzięli. Jego dywizja stacjonowała pod Leningradem, gdy zaczęło się oblężenie.

Sowina dręczyły wizje głodujących ludzi i zbioru cennego ziarna z całego świata, i martwiło go ich bliskie sąsiedztwo. Czuł się rozdarty, gdy nocami modlił się o przetrwanie Genofondu.

- Nie chciałem niczyjej śmierci, rozumiecie - powiedział. - Po prostu... Chciałem, żeby ziarno też przetrwało. Dla ludzi to tylko chleb. Ale tam była cała historia ludzkości. Nawet gdy przenieśliśmy się na wschód, a potem z powrotem na zachód, wciąż o tym myślałem. Niektóre rzeczy po prostu są zbyt ważne.

- Większość przetrwała - powiedziała Galina.

Sowin pokiwał głową.

- Większość. Ale nie ludzie.

Nie było go w mieście podczas oblężenia, ale śnił koszmary o zamrożonych ulicach zasłanych trupami, o zaspach rosnących na zapadłych z głodu twarzach. Zaczął się zastanawiać, czy warto poświęcać teraźniejszość dla historii.

Po zakończeniu wojny nie mógł wrócić do Leningradu. Wstąpił na wydział Uniwersytetu Narodowego w Moskwie, gdzie wykładał podstawy biologii i botanikę, a także eksperymentował z genetyką roślin - potajemnie, bo Łysenko już opatrzył genetykę mianem burżuazyjnej pseudonauki, a Sowin dobrze pamiętał o własnych burżuazyjnych korzeniach. Pomimo tej ostrożności, w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym został zesłany do obozu pracy na Kółymie.

W młodości spotkał parę osób, które przeszły przez obozy pracy - łatwo ich było poznać, pobrużdzeni starcy z wypalonymi prochem więziennymi tatuażami, ordynarnym językiem, przypalający papierosa od papierosa. Nieważne, jak dobroduszni i wykształceni byli przed zesłaniem, odmieniały ich surowe warunki życia i ciężka praca, egzystencja sprowadzona do walki o przetrwanie, do najbardziej fundamentalnej zasady: pracujesz - jesz. Fakt, że wracali, oznaczał, że pracowali na tyle ciężko, by nie umrzeć z głodu. Fiodor próbował sobie wyobrazić, jak wyglądałby jego los w podobnych okolicznościach. Dochodził do nieuchronnego wniosku, że zginąłby, dlatego szanował tych, którzy byli lepsi w walce o życie. Może nawet im trochę zazdrościł.

Sowin został zwolniony w pięćdziesiątym ósmym, po dziesięciu latach ciężkich robót, i wrócił do Moskwy. Reputacja genetyka uniemożliwiła mu powrót na dawne stanowisko i wtedy zrozumiał, że w istniejącym świecie nie ma dla niego miejsca. Pomimo listu z wiadomością o rehabilitacji czuł się pusty i niepotrzebny. Przyjął pracę stróża nocnego w jakimś wielkim magazynie.

Nie interesowało go, co tam miało być składowane, i nie przeszkadzały mu kilometry drutu kolczastego otaczającego pusty plac, pośrodku którego magazyn rozsiadł się jak monstrualna ropucha. Plac wydawał się znajomy, szczególnie zimą, gdy wiał wiatr i ziemia zamarzała, pokryta zaspami, wyjąwszy wąską ścieżkę od zamkniętej bramy do magazynu i małej chaty, ogrzewanej żelazniakiem i oświetlonej gołą żarówką zwisającą z sufitu jak wabik żabnicy - jego domu.

Dni spędzał na spaniu i czytaniu - zainteresował się fizyką i inżynierią elektryczną - a nocami chodził pod rozbrzmiewającym echem blaszanym dachem wielkiego magazynu, pustego, jeśli nie liczyć stert śmieci po kątach. W magazynie mieszkały szczury, a on zostawiał je w spokoju, zastanawiając się, jak przetrwały w tym pustym zamarzniętym miejscu.

Szczury robiły się coraz śmielsze i w końcu wtargnęły do jego chaty. Zimą, gdy budził się po wczesnym zachodzie słońca, słyszał ich chrobotanie i dalekie wycie psów, a wówczas myślał, że wciąż jest w obozie, i musiał czekać, aż serce przestanie łomotać o kruche żebra.

Szczury swobodnie harcowały po chacie, a on ochoczo dzielił się z nimi swoimi skromnymi zapasami jedzenia. Z czasów na Syberii wiedział, że karmienie gryzoni zapobiega kradzieży żywności i niszczeniu worków z mąką i innymi delikatnymi produktami, choć więźniowie i strażnicy nie chcieli mu wierzyć; ich strata, pomyślał. Szczury nie ruszały tylko jego rzeczy.

W swoim nowym domu stosował tę samą zasadę i szczury dobrze się sprawowały. Nadał im imiona, a one nauczyły się przychodzić, gdy gwizdał cicho, i brały czerstwy chleb z jego palców. Szczury są przebiegłe i nieufne, dlatego czuł się trochę dumny, że zdobył ich życzliwość. Obserwowały go z kątów, milczące, z drgającymi wąsami, gdy czytał albo lutował. Składał radia i inne małe urządzenia, choć nigdy ich nie używał.

Wiódł odizolowane życie, nawiązując kontakt ze światem zewnętrznym tylko wtedy, gdy chodził po zakupy - wyrobił sobie ascetyczny smak, więc kupował wyłącznie nieoczyszczoną mąkę, z której po zmieszaniu z wodą piekł ciężkie płaskie podpłomyki, i czasami kartonik mleka, ryż, grykę, konserwy wieprzowe. W sklepie

miał okazję posłuchać, co się dzieje na świecie. Trwało wówczas to, co zwano „odwilżą Chruszczowa”, i młodzi ludzie rozmawiali o zmieniających się czasach i bezprecedensowej wolności lat sześćdziesiątych. Sowin nie wierzył w poprawę; nauczył się, że świat nie jest przyjazny, a wolność jest tylko iluzją. Słyszał o dysydentach, którzy wyemigrowali na Zachód, ale wiedział, że ich nowe życie i wolność też są iluzoryczne. Wyobrażał sobie świat jako ogromną maszynę, z zakrwawionymi fragmentami kości tkwiącymi w potwornych trybach, i jedyne okresy szczęścia czy pozornej wolności zdarzały się tylko wtedy, gdy koła nabierały rozmachu przed następnym miażdżącym kości obrotem. Był za mądry, żeby dać się uśpić chwilowej ciszy i wystawiać głowę.

Kupował potrzebne rzeczy i wracał, z nikim nie rozmawiając. Zawsze przynosił czerstwy chleb dla szczurów. Czekają na niego, ich oczy mrugały w cieniach.

Nigdy nie słuchał swoich odbiorników radiowych, ale szczury sprawiały wrażenie zadowolonych z szumów, głosów i przebijającej się od czasu do czasu ponurej muzyki, porozstawiał więc małe radia pod ścianami magazynu i w kątach swojej izby. Przypuszczał, że dlatego szczury dały mu prezent.

Pracowały w sekrecie i dowiedział się o wszystkim dopiero wtedy, gdy tak postanowiły. Odepchnęły arkusz blachy falistej i pokazały mu przegryzioną tylną ścianę magazynu. Przez dziurę o poszarpanych brzegach zobaczył dalekie nikle gwiazdy migoczące na czarnej przestrzeni zamrożonego nieba. Stał przez chwilę, patrząc na śnieżną równinę, słuchając cichego poszczekiwania psów i śmiechu, który wiatr niósł skądś z daleka, ze świata, który znał, ale do którego nie należał. Szczury zebrały się razem i popchnęły go.

Zrobił krok i zrozumiał, że dziura wcale nie wyprowadziła go na pusty plac - znalazł pod stopami suchą ścieżkę, przyprószoną kruszącymi się liśćmi, i poczuł wyraźny zapach jesieni i dymu. Szczury skupiły się za nim, popiskując z podnieceniem. Sowin westchnął. „Możemy uciec razem”, powiedział szczurom. „Nikt za nami nie zatęskni, jesteśmy niekochanymi dziećmi świata. Jesteśmy kątami, do których nie zagląda płynący czas, więc tylko gromadzimy kurz i bezużyteczne wspomnienia”.

Szczury dały do zrozumienia, że taki był zamysł, ich zamysł od samego początku. Niepewny, co czeka za poszarpaną dziurą, Sowin cofnął się i wrócił do chaty. Zapakował do worka termos z mocną słodką herbatą i tyle jedzenia, żeby wystarczyło dla niego i szczurzej armii. A potem odeszli, on na czele, szczury tuż za nim. Nie

obejrzał się, ale wyczuwał, że szczury idą w trop, ich lekko fosforyzujące oczy podskakiwały w fali brązowej sierści i ostrych pazurów, ich długie żółte zęby szczyrzyły się w radosnych uśmiechach.

Fiodor zasnął, a gdy się zbudził długo przed świtem, zobaczył, że wielki szczur siedzi mu na piersi, obserwując jego twarz ze skupioną, nieprzeniknioną miną.

- Cześć - powiedział. Przypuszczał, że gryzoń jest jednym z tych, które pokazały Sowinowi drogę do podziemia, i uśmiechnął się do niego. - Wciąż nad nim czuwacie?

Szczur poruszył nosem i obnażył długie groźne siekacze.

- Wszystko w porządku - zapewnił go Fiodor. - Jesteśmy przyjaciółmi.

Szczur powęszył, trzęsąc wąsikami, i podreptał po jego piersi na różowych nerwowych łapkach. Usiadł, wyciągając palce, zaskakująco podobne do ludzkich, ku jego szyi.

Fiodor zamarł, teraz przestraszony, ale nieskłonny zrobić czegoś, co zdenerwowałoby Sowina albo jego ulubieńców.

Szczur chwycił łańcuszek i wyciągnął go spod koszulki. Wytarta moneta zwisała z pazurków, chwytając światło z blaskodrzew za oknem., Szczur przyglądał się krążkowi, podczas gdy Fiodor czekał ze wstrzymanym oddechem. Wreszcie gryzoń zaspokoił ciekawość, zeskoczył z jego piersi, smyrnął po podłodze i zniknął w szczelinie w ścianie.

Fiodor odetchnął, zdarzenie zaniepokoiło go bardziej niż skok w okna jadącego pociągu i lądowanie w podziemnym świecie. Może Galina ma rację, pomyślał, może umarliśmy w czasie skoku i to jest życie pozagrobowe. Musnął palcami monetę, ciepłą od jego ciała. Może ta moneta miała obciążyć mu powieki, a może szczur sprawdzał, czy będzie miał czym zapłacić przewoźnikowi.

Ciche pukanie do drzwi przerwało mu tok myśli.

- Kto tam? - Wyszeptał.

- To ja. - Drzwi się otworzyły i do pokoju zajrzała Galina. - Nie mogłam zasnąć.

- Szczury?

- Nie, nie widziałam szczurów. - Weszła na palcach i zamknęła drzwi. - Jakow śpi jak kamień.

- Domyślam się.

Galina usiadła na podłodze przy prowizorycznym posłaniu.

- Słyszałeś, co powiedział David? O Berendeju?

Fiodor skinął głową.

- Las Berendeja. Pamiętam, był taki film czy coś.

- Też go widziałam, kiedy byłam mała. Jak może być prawdziwy?

- Pewnie nie jest - odparł Fiodor. - Albo przynajmniej jest inny. Myślisz, że cokolwiek tutaj jest prawdziwe?

- Takie sprawia wrażenie. Na czym oprócz zmysłów możemy polegać?

Fiodor musiał się z tym zgodzić - gdy ktoś raz zacznie wątpić we własne zmysły, późniejsze rozumowanie prowadzi prosto do mózgu w słoju.

- Na niczym. Jest prawdziwe. Sowiń na pewno.

Galina się roześmiała, zakrywając usta dłonią.

- Tak. Ja nie mogłabym go wyśnić. - Spoważniała. - Mogę cię o coś spytać?

- Jasne - odparł Fiodor i podparł się na łokciu.

- Skąd wiedziałeś, że można skoczyć przez odbicie? Skąd wiedziałeś, że się uda?

- Nie wiedziałem. Skoczyłem w ciemno, dosłownie.

Przyjrzała mu się z rezerwą.

- Ale nas pociągnęłaś.

- Musiałem. Gdybym był sam, zwątpiłbym. Biorąc na sumienie dwa żywoty, musiałem uwierzyć. W przeciwnym razie...

Galina potrząsnęła głową, jakby przepędzała wątpliwości czy ostre słowa.

- Udało się, i tylko to ma znaczenie. Jak myślisz, Berendej pokaże się jutro czy może będziemy musieli znowu przesiadywać w karczmie?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Ale jeśli chcesz wiedzieć, nie mam nic przeciwko karczmie. Zaglądają tam interesujący ludzie.

- Tak. - Galina westchnęła.

- Wiem, że chcesz odnaleźć siostrę - powiedział Fiodor. - Ale czasami po prostu trzeba czekać.

Skinęła głową.

- Miejmy nadzieję, że nie będę musiała czekać zbyt długo. Dzięki za rozmowę. Spij. - Podniosła się i wyszła równie cicho jak się zjawiała.

Fiodor nie spał. Czuł się tak, jakby tylko on był tu turystą, bez szczególnego rozkładu dnia, bez bolesnego przeżycia czy tragedii, przed którą musiałby uciekać. Poczł się podle i pomyślał o głośnych cudzoziemcach stłoczonych na Nowym Arbacie, targujących się o masowo produkowane matrioski z rumianymi policzkami,

odrażające w swoich przesadnie radosnych kolorach. Kupowali lalki z myślą, że jest w nich jakiś autentyzm, i wierzyli, że zabierając do domu małe drewniane okropieństwa, lepiej zrozumieją przygnębite dusze pijanych tubylców.

Fiodor zastanowił się, czy cierpienia, jakie znalazł pod ziemią, są takie same, nieco obsceniczne, masowo produkowane przez okrutny system, z głębią równą tej, z jaką rzemieślnik przyska farbą i lakierem na jasne brzożowe skorupy; może jego ciekawość miała tę samą wstrętą cechę, może była iluzją zrozumienia. Jego ignorancja w sprawach prawdziwego życia była teraz połatana obrazami zarośniętej, zapadniętej twarzy Sowina, ciemnej jak bizantyjska ikona; wciąż pozostawała ignorancją, choć teraz opancerzoną w arogancję iluzji.

Przez całą noc miał oko na szczury, ale już się nie pojawiły. Nie spał, gdy wstał rano - światło pod ziemią zmieniło się niepostrzeżenie, blaskodrzewa zapłonęły jaśniej i w stęchłym powietrzu zamigotał złoty kurz, jakby miliony motyli w locie zrzuciły łuski ze skrzydełek.

Sowin zapukał do drzwi i zawołał, że pora wstawać na śniadanie. Fiodor podniósł się i otrzepał dzinsy z siana. Galina i Jakow już czekali przy stole, gdzie na szorstkich deskach wśród wyszczerbionych kubków i cukiernicy królował staroświecki miedziany samowar. Sowin garbił się nad piecem, smażąc placki.

- Przepraszam - mruknął - nie spodziewałem się gości, więc nie mam sera ani mięsa.

Zapewnili go, że nic nie szkodzi, i podziękowali za gościnę.

- W każdym razie możecie zostać jak długo będzie trzeba - powiedział. - W końcu dostaniecie własne domy. Są dość prymitywne, ale przynajmniej ziemi tu nie brakuje.

Fiodor wymienił spojrzenie z Jakowem.

- Nie mam zamiaru tu zostać. A wy?

Jakow i Galina pokręcili głowami.

- Ha - mruknął Sowin. - Naprawdę nie słyszałem o nikim, kto by odszedł.

- Myślisz, że to niemożliwe? - Zapytał Jakow.

Podmuch wiatru wpadł przez okno, łopocząc białymi firankami. Sowin patrzył na ich gorączkowy taniec.

- Nie wiem. Nigdy nie pytałem. Chociaż, jak się człowiek zastanowi, dlaczego powstało to miejsce, to zaczyna wątpić w łatwe odejście.

- Mógłbyś wyjaśnić? - Poprosił Fiodor. - Wczoraj mówiłeś nam, kto tu mieszka, ale nie powiedziałaś, dlaczego.

Sowin postawił na stole gliniany talerz z kopą bezkształtnych placków i usiadł.

- Jedzcie. Napijcie się herbaty, a ja wam wszystko powiem.

Zaczęło się od miejsca ucieczki dla pogańskich istot. W roku dziewięćset osiemdziesiątym, gdy cała Rosja została ochrzczona ogniem i mieczem, gdy jeszcze nie było Moskwy, lesisty, pagórkowaty teren idealnie się nadawał dla szukających schronienia duchów i ich ludzkich sprzymierzeńców. Kiedy powstała Moskwa, stworzenia zamieszkujące lasy i bagna, stworzenia hukające po nocy i chichoczące na stryszkach z sianem, zostały pogrzebane pod fundamentami pierwszych budynków - każdy kamień był splamiony krwią pogańską, każdy kamień przygniatał ducha. Przynajmniej tak powiadali dawni, którzy wydrążyli w ziemi, w swoim grobowcu, to schronienie.

- Ktoś o nich wiedział? - Zapytał Fiodor.

- Oczywiście - odparł Sowin. - Dlatego zapieczętowali podziemie i znalezienie wejścia nie jest tak łatwe jak kiedyś. Co zaś dotyczy powrotu, przypuszczam, że ci, którzy stworzyli barierę, dobrze o to zadbali. Nie wiem jak ludzie, ale niektórzy ze starych mieszkańców chętnie by się stąd wyrwali, tylko że nie mogą, przynajmniej nie na długo. Dlatego ingerują pośrednio.

W trakcie rozmowy Sowin podniósł placek i rzucił go na podłogę. Natychmiast nie wiadomo skąd pojawiła się gromada wielkich szczurów, a za nimi przybiegł maleńki brodaty mężczyzna w tradycyjnym rosyjskim stroju, jaki można zobaczyć u kierownika objazdowej grupy tancerzy; innymi słowy, imitacja.

- Super - zachwycała się Galina. - Naprawdę masz domowika.

Sowin pokiwał głową.

- Każdy ma, zjawiają się w chwili, gdy zbudujesz dom. Nie można się ich pozbyć, ale bywają użyteczne, czasami myją naczynia i odkurzają.

Na podłodze panował impas, ale po chwili szczury zdecydowały, że domowik nie stanowi zagrożenia, i zaczęły pałaszować placek, oddzierając kawałki przednimi łapkami. Człowieczek miał żalostną minę, dopóki Galina się nie ulitowała i nie rzuciła mu swojego naleśnika. Domowik chwycił poczęstunek i pobiegł ku boazerii, ścigany przez jednego z roślejszych gryzoni.

- Tak - mruknął z zadumą Sowin. - Tak żyjemy.

W karczmie nie było wieści o Berendeju. Galina, z minuty na minutę coraz bardziej nerwowa, wstała w końcu i powiedziała, że chce się rozejrzeć, wypytać mieszkańców o ptaki, a także, co wiedzą o świecie na górze.

- Taka izolacja jest niemożliwa - oświadczyła. - Jestem pewna, że istnieje więcej wpływów i oddziaływań wzajemnych, niż Sowin nam powiedział.

- Rób co chcesz. - Fiodor usadowił się wygodnie. - Gliniarz pewnie zechce się spotkać ze swoim dawno utraconym dziadkiem, a ja zamierzam popatrzeć sobie na ludzi. I bogów.

- Baw się dobrze - powiedziała i wyszła, zatrzaskując drzwi z nieuzasadnioną siłą.

- Kobiety - mruknął Fiodor w głąb szklanki.

Czyżby myślała, że rzuci wszystko, żeby się włóczyć po wąskich uliczkach i rozległej ziemi niczyjej podziemia? Naiwna. Wolał znaleźć sobie dobry punkt obserwacyjny i czekać, aż świat przyjdzie do niego. Gdy człowiek wybierze właściwe miejsce i nie ruszy się z niego przez dłuższy czas, w końcu zobaczy wszystko co trzeba; wyczytał to w jakiejś książce.

Karczma była pustawa o tej wczesnej porze, ale wśród nielicznych gości wypatrzył wysokiego mężczyznę o niebieskiej nakrapianej skórze, nagiego, z wyjątkiem pasów rybich łusek na rękach i wzdłuż kręgosłupa. Przypuszczał, że to wodnik, duch wody. Podejrzenia się potwierdziły, gdy zauważył, że niebieski gość ciągle ocieka wodą. Woda wsiąkała w trociny na podłodze i ciemna mokra plama rozprzestrzeniała się jak wyjątkowo powolny krąg po wrzuceniu kamienia do wody. Od drzwi popłynął zimny przeciąg i Fiodor przyglądał się, zachwycony i oczarowany, jak ciemna woda zamarza w delikatne kryształki. Do baru podszedł krzepki mężczyzna w czerwonej szubie.

- Daj kielicha - powiedział do małego domowika, który kręcił wystruganymi z drewna kurkami i otwierał butelki. - Straszny dziś ziąb.

Faktycznie się oziębilo. Fiodor zadrżał w wiatrówce i koszulce.

- Ty jesteś Ojczulek Mróz! - Zawołał do nieznajomego. - Mam rację?

Starzec odwrócił się ze zmarszczonymi brwiami.

- Patrzcie tylko, następny młody mądrała. „Ojczulku Mrozie, czy następnym razem przyniesiesz mi noworoczny prezent?”. Pieprz się, młodzieńcze. Nie jestem Świętym Mikołajem, i nie próbuj mi wciskać tych swoich przebrzydłych zachodnich zwyczajów.

- Ja tylko chciałem postawić ci drinka.

Ojczulek Mróz uśmiechnął się szeroko.

- Aha, masz głowę nie od parady. W porządku, synku. - Potupał butami, otrząsając wyimaginowany śnieg, i usiadł przy stoliku Fiodora.

Domowik przyniósł dwa kieliszki cuchnącego samogonu z mocnym posmakiem benzyny.

- Niczego sobie gorzałka - pochwalił Ojczulek Mróz. - Rozgrzewa do szpiku kości, prawda?

Fiodor pokiwał głową, bo rzeczywiście czuł rozchodzące się ciepło.

- Nie zamrozisz mnie?

- Nie, dopóki będziesz stawiać. - Ojczulek Mróz skinął na barmana domowika. - Podawaj.

Fiodor przeszukał kieszenie i znalazł zwitek kilku rubli. Ojczulek Mróz spojrział sceptycznie na banknoty.

- Papierowy pieniądz to żaden pieniądz. A twoja moneta?

Fiodora zaniepokoiło, że wszyscy nagle okazują zainteresowanie jego talizmanem.

- Chroni przed złym okiem. Jest mi potrzebna.

Ojczulek Mróz wybuchnął ogłuszającym śmiechem, aż zatrzęsły się belki powały, co wystraszyło kilka płomyków, które się tam gnieździły.

- *To nierazmiennaja monieta* - wyjaśnił, gdy przestał się śmiać. - Moneta, której nie można rozmienić.

Fiodor tylko się uśmiechnął.

- Naprawdę?

- Śmiało, pokażę ci. Ach, ci ciemniacy z powierzchni, poźalcie się bogowie. Ciągłe trzeba ich uczyć, a gdyby nie ja, dziś wszyscy mówilibyście po francusku. Dupki. - Skinął na domowika i ponaglił Fiodora, żeby zdjął monetę. Gdy Fiodor podał ją domowikowi, moneta przeszła metaliczną mitozę, jedna pozostała przymocowana do łańcuszka, a druga zniknęła w maleńkiej, brudnawej garści.

- Super - powiedział Fiodor. - Czy to działa na powierzchni?

- Jasne - odparł Ojczulek Mróz. - Tyle że moneta jest bezużyteczna. Ironia losu, prawda?

- Niekoniecznie. A co z tymi Francuzami?

Ojczulek Mróz westchnął z irytacją.

- Czy wy, przygłupy, nie zauważyliście, że gdy tylko zaczyna się obca inwazja, macie rekordowo mroźne zimy? Jak myślisz, czyja to robota, co?

- Twoja? - Fiodor wypił następny kieliszek cuchnącego samogonu. - Dlaczego?

- Bo mi zależy - odparł Ojczulek Mróz; pijacka szczerłość zabarwiła jego głęboki głos. - Dbam o was, powierzchniowe skurwysyny, w przeciwieństwie do waszego głupiego mięczakowatego boga.

- Przez jakiś czas byliśmy ateistami. Nawet materialistami.

- Jak ja. To znaczy, jestem materialistą. Berendej też, bogowie natomiast są solipsystami. Zwłaszcza ten, którego wybraliście. Ci tutejsi są w porządku, ale w większości to duże ryby w małym stawie, półbożkowie i tak dalej. A wy, wy... Wy, głupi powierzchniacy, wszyscy jesteście albo przygnębieni, albo melancholijni. - Powiódł dokoła błędnym wzrokiem, wreszcie skupił go na barze. - Hej, co ci mówiłem? Podawaj.

Fiodor znów zapłacił nierozmienialną monetą. Domowik posłusznie wziął rozmnożonego miedziaka, jakby nie widział nic niezwykłego czy nieuczciwego w ponownym płaceniu tym samym pieniądzem.

- Jak powiedziałem - podjął Ojczulek Mróz - umiecie tylko niszczyć, co zbudowali inni, i rozczulać się nad sobą, jakbyście byli jedynymi pokrzywdzonymi. - Ojczulek Mróz splunął. Ślina zamarzła w powietrzu i roztrzaskała się o podłogę.

- Nie wszyscy - zaznaczył Fiodor. - Ale dlaczego nam pomagasz, skoro jesteśmy nic niewarci?

- Nie chodzi o was, tylko o ziemię. Jest moja, i tak będzie zawsze, bez względu na to, co z nią robicie i ile wyprzedajecie, kawałek po kawałku. W końcu nic wam nie zostanie, a wówczas zostaniemy tylko my, którzyśmy byli tu przed wami, trzymając ziemię niczym garść piasku w rzece, czując, jak wymywa się ziarnko po ziarnku, ale nigdy nie puszczając. Trzymamy ją razem, głupcze, więc nie pytaj mnie, dlaczego.

Fiodor wychylił następny kieliszek i czekał, by znajoma alkoholowa mgła zasnuła jego uczucie nienawiści do świata. Ojczulek Mróz miał rację - świat na powierzchni zawiódł swoich mieszkańców. A świat podziemny był tajemnicą, ukrytą przed większością, wpływającą na bieg wydarzeń w zawoalowany niepewny sposób. Ich zbawcy schowali się pod ziemią, wypędzeni i zapomniani. Fiodor nie był tym zaskoczony - Moskwa nie jest życzliwa tym, którym na niej zależy.

ŻONA

DEKABRYSTY

Galina wyszła z karczmy, stopy niosły ją niespokojnie. Nie mogła znieść myśli o zmarnowaniu kolejnego dnia, dlatego postanowiła na własną rękę znaleźć Berendeja albo któregoś z dawnych, o których wspominali Sowin i David. Jak duże mogło być to miasto?

Okazało się całkiem spore. Zabłądziła w labiryncie krętych ulic - zakładane najwyraźniej bez planu, wiły się wte i wewte, często zawracając, i niespodziewanie kończąc się ślepyimi zaułkami. Wytuczano je bez myśli o przyszłości i Galina szybko straciła orientację. Wokół nie brakowało ludzi, ale nie czuła się gotowa, żeby prosić o pomoc.

Wypatrywała pomiędzy budynkami przejścia wiodącego do lasu. Nogi ją rozbolały, gdy w końcu znalazła drogę, która biegła prosto jak strzeł, wyprowadzając ją z płątaniny krzyżujących się ulic. Niebawem domy zniknęły, a droga zwęziła się w dróżkę, z każdym krokiem coraz bledszą, co rusz ginącą w wysokiej bezbarwnej trawie i wśród nieśmiało migoczących blaskodrzew, jakby nieczęsto z niej korzystano.

Powietrze zapachniało błotem i rzeką, i niebawem ścieżka urwała się na moczarach. Czarne pnie powalonych drzew wystawały jak martwe palce z rozlewisk pomiędzy kępami, które wyglądały zbyt grząsko, żeby po nich stąpać. Galina zawróciła, szukając innej drogi.

Ktoś tam był - na ścieżce stała wysoka kobieta w długiej koszuli z surowego lnu. Jej twarz skrywały długie postrzępione włosy, pociemniałe od wody.

- Witam - powiedziała Galina. - Jesteś rusałką, prawda?

Kobieta nie odpowiedziała, tylko potrząsnęła głową - ruch był tak szybki i lekki, że Galina nie miała pewności, czy wyrażał przeczenie, czy potaknięcie.

- Możesz mi powiedzieć, jak znaleźć Berendeja? - Zapytała.

Usilnie starała się nie myśleć, że kobieta jest topielicą, duchem utopionej dziewczyny.

Kolejny szybki ruch, tym razem wyraźnie przeczący.

- Znasz kogoś, kto wie? - Pomyślała o mitycznych istotach mieszkających w lesie. - Może leszy?

Dziewczyna skinęła głową i dała znak ręką, żeby Galina poszła za nią.

Galina westchnęła. O ile dobrze pamiętała, tych istot lepiej nie darzyć zaufaniem; kradły dzieci i potrafiły załaskotać mężczyznę na śmierć. Odetchnęła z ulgą, bo nie przypominała sobie żadnych historii o rusalkach atakujących czy krzywdzących kobiety. Leszy jednakże byli mało wybredni, radośnie zwodząc z drogi każdego podróżnego. Galina zaczęła żałować swojej prośby, gdy rusalka wybrała boczną ścieżkę i powiodła ją przez zagajnik płaczących drzew - łzy spływały z ich kory nieprzerwanym strumieniem - do spokojnego jeziora z wodą czarną jak smoła.

- Gdzie jesteście?

Rusalka wskazała małą altanę po drugiej stronie jeziora. Galina westchnęła. Pawilon, pokryty ozdobnymi drzeworytami i maswerkiem pnączy, w niczym nie przypominał ciemnego lasu, gdzie człowiek spodziewa się znaleźć bóstwo, które odpowie na pytania o ludziach przemieniających się w ptaki. Chciała zapytać, kto tam mieszka, ale rusalka pchnęła ją ze zniecierpliwieniem i zanurkowała w ciemnej wodzie, a ta zamknęła się nad nią bez jednej zmarszczki czy plusku.

Galina ruszyła w stronę pawilonu, stopy zapadały się jej w żyznej luźnej glebie ścieżki. Kłaniały się jej irysy i pałki rosnące wokół jeziora, i ze zdziwieniem spostrzegła, że ich łodygi i liście są nie białe, lecz bladozielone.

Koronkowe ściany letniego pawilonu pozwoliły jej zajrzeć do środka, gdzie zobaczyła kobietę - młodą, w czarnej wieczorowej sukni - leżącą na niskim wiklinowym szezlongu, czytającą książkę i palącą długiego papierosa w cygarnicze z macicy perłowej.

Kobieta uniosła głowę i uśmiechnęła się do niej, pokazując białe zęby.

- Wejdz. Jestem hrabina Wygotskaja. A ty jesteś nowa?

Galina znalazła wejście - zwyczajny łuk - i usiadła na wskazanym stołeczku.

Kobieta sięgnęła do popielniczki i zgasiła papierosa, wciąż wydmuchując długie bliźniacze węże dymu przez wąskie nozdrza, idealne jak ona cała. Ramiączko sukni zsunęło się ze zbyt białego ramienia, a jej czarne loki wydawały się zbyt czarne, niemal granatowe. Galina czuła się onieśmielona - nie tylko arystokratycznymi korzeniami czy pięknem kobiety, ale również jej zachowaniem. Powietrze wokół niej zrobiło się zimne i czyste, usiane maleńkimi kryształkami lodu, i oddech uwiązał jej w gardle, jak w środku styczniowej nocy.

- Słyszałaś o mnie, oczywiście - powiedziała kobieta.
- Nie - przyznała się Galina cichym głosem winowajcy. - Ale jestem pewna, że...
- Oczywiście. Żony dekabrystów. Byłam jedną z nich. Galina skinęła głową.
- Nie zdawałam sobie sprawy.
- Ja też nie - powiedziała kobieta tajemniczo. Widząc jej zakłopotaną minę, dodała: - Jak trudno jest być bożyszczem.

Galina pomyślała o historii. Powstanie dekabrystów nie zrobiło na niej wrażenia, gdy w szkole średniej przerabiali tę część historii Rosji; nie przemawiał do niej bajroniczny apel i nieprzemyślany liberalizm bezsensownego zrywu. Teraz jednak musiała przyznać, że podziwiała, acz bez entuzjazmu, tych młodych oficerów, którzy wjechali na Plac Senacki w Sankt Petersburgu, by rzucić wyzwanie carowi Mikołajowi i monarchii absolutnej, i zostali powitani ogniem armatnim. W głębi duszy zawsze się zastanawiała, jaki los spotkał ich podkomendnych - zginęli, jak przypuszczała, jako mięso armatnie. Jedynie oficerowie okazali się dość ważni, by zająć miejsce w książkach historycznych. Zesłano ich na Syberię, z wyjątkiem pięciu straconych na miejscu. Galina mgliście pamiętała coś o linach, które pękły, i o bezprecedensowym drugim wieszaniu.

I tutaj pojawiły się ich żony - często wyobrażała je sobie, te piękne bogate damy, które porzuciły wszystko, żeby podążyć za mężami do zamarzniętych lasów i letnich miesięcy pełnych komarów, do miejsc odległych od cywilizacji i niepodobnych do niczego, co znały.

Dopiero później przyszło jej do głowy, że kobiety te stawiano za wzór bezinteresownego oddania i posłuszeństwa - z początku nie potrafiła pojąć, dlaczego tak postąpiły. Była za młoda, żeby rozumieć definicje miłości i tragedii, nierozzerwalnie wówczas powiązane. Obecnie sceptycznie podchodziła do obu. Pod tym względem różniła się od koleżanek z klasy, które zwykle słuchały historii o powstaniu i żonach dekabrystów z minami niemal religijnego uniesienia.

- Czy kiedykolwiek żałowałaś wyjazdu na Syberię? - Zapytała.

Kobieta zapaliła kolejnego papierosa i parsknęła gorzkim śmiechem.

- Ja? Nie wyjechałam. To znaczy, pojechałam do Moskwy. Nie mogłam znieść wstydu. - Spojrzenie jej dużych ciemnych oczu przywarło do twarzy Galiny. - Ale ty nie wiesz, co to znaczy się wstydzic, prawda?

- Wiem - zaczęła Galina. - Ja...

- Poczucie winy to nie to samo - przerwała jej żona dekabrysty. - Wstyd jest czymś, co rani cię od zewnątrz.

- W takim razie dlaczego nie pojechałaś?

Kobieta wzruszyła ramieniem. Zmysłowe, pomyślała Galina, tego słowa używano do opisywania kobiet takich jak ona.

- Ponieważ spodziewali się, że pojedę, jak sądzę. Ponieważ byłam tylko dodatkiem. Ponieważ nie miało znaczenia, czego ja chcę. Mężczyźni zawsze mnie pytają: „Nie kochałaś swojego męża?”. Kobiety nigdy tego nie robią, wyobrazasz sobie?

Po chwili przeniosła omdlewające spojrzenie z Galiny na rozżarzony koniuszek papierosa.

- Co myślisz?

- Nie chodzi o miłość. - Galina podjęła próbę wyjaśnienia i urwała, bo zabrakło jej słów.

- Te, które pojechały, porzuciły wszystko - powiedziała kobieta. - Te, które zostały, porzuciły swoich mężów. Ja porzuciłam jedno i drugie. Moja przyjaciółka pojechała i nigdy nie mogła napisać do swojej rodziny. Zostawiła dzieci i rodzina ją za to znienawidziła. Moja mnie znienawidziła, bo tego nie zrobiłam.

Miała na imię Elena i uciekła z domu w Sankt Petersburgu, który nagle rozbrzmiał pustymi echemi, gdy jej mąż, zakuty w dyby, został zesłany w jakieś niewyobrażalne miejsce. Zrozumiała, że nie może wygrać. Obojętne, co zrobi, będzie albo złą córką dla ojca, owdowiałego hrabiego Kliazmenskiego, albo złą żoną dla męża, Dimitrija. Prawda wyglądała tak, że miała dość obu mężczyzn swojego życia, dlatego spakowała do dwóch skromnych kufrów ubrania i bibeloty, z którymi jeszcze nie umiała się rozstać, dała gospodyni klucze od mieszkania na brzegu Newy i kazała stangretowi zawieźć się do Moskwy. Wszyscy założyli, że wybiera się na zakupy, i kątem oka widziała, jak - nawet słudzy! - z dezaprobatą potrząsają głowami.

Szczerze mówiąc, nie była pewna, co chce robić w Moskwie. Mogła odwiedzić dalekich krewnych, ale nie miała do tego serca. Mogła wynająć pokoje i odciąć się od świata. Zamiast to zrobić, spacerowała po bulwarze i patrzyła na zamarzną rzekę Moskwę, skutą zielonym lodem, w którym czerniały szczeliny leniwie płynącej wody. Drżąc w futrach, rozważała, czy woda jest równie zimna jak powietrze, w którym jej oddech przemieniał się w chmurę, gdy tylko opuścił usta. Została nad rzeką do nocy, kiedy wzeszły gwiazdy.

Noc miała inny kolor - tutaj, dalej na południe, granat nieba był głębszy, bardziej nasycony, a gwiazdy stały się wielkie i żółte, odmienne od białych punkcików znanych jej z Sankt Petersburga. Tęskniła za zorzą polarną.

Ruch na rzece przyciągnął jej uwagę - zmrużyła oczy, patrząc na niewyraźne sylwetki, zmartwiona, że ciemne chłopskie dzieci zapuściły się na lód, gruby wprawdzie, lecz gotów zarwać się w każdej chwili pod najlżejszą bodaj stopą. Chciała do nich zawołać, żeby zawróciły, gdy nagle jej oddech przestał zamarzać w powietrzu; zapomniała oddychać. Mroczne sylwetki wypłynęły na bulwar po jej stronie rzeki, oblepione błotem i nieczystościami, i wówczas ujrzała, że to wcale nie dzieci, lecz dorosłe kobiety. Blade i brudne, przyodziane tylko w cienkie lniane koszule.

Lazły na czworakach jak zwierzęta, aż dotarły do pierwszej łąty otwartej czarnej wody. Wsunęły się w nią, jedna po drugiej, bezszelestnie jak foki. Zanim Elena wyrwała się z osłupienia, pojawiły się znowu, smukłe i czyste, płótno przylegało do ich młodych ciał, mokre włosy oblepiały twarze i szyje. Zebrały się na lodzie, w miejscu gdzie wydawał się solidniejszy, i chwyciły za ręce, tworząc krąg jak wiejskie dziewczęta na weselach. I zaczęły tańczyć - wirowały w kręgu, coraz szybciej i szybciej, aż Elenie zakręciło się w głowie. A potem bose stopy oderwały się od lodu i kobiety zatańczyły w powietrzu. Woda na ich koszulach i twarzach zamarzała. Wyglądały jak rzeźby lodowe, cudownie ożywione.

Elena przechyliła się z walącym sercem głębiej ponad balustradą. W głębi duszy wiedziała, kim są kobiety - były rusałkami, duchami dziewcząt, które utonęły. Niczego bardziej nie pragnęła, jak do nich dołączyć. W pobliżu nie było nikogo, więc przeszła przez balustradę, niezdarna w ciężkich spódnicach i płaszczu, ale pełna chęci. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz odczuwała taką tęsknotę, takie pragnienie dołączenia do ludzi.

Zeszła na lód; kobiety zdawały się nieświadome jej obecności. Omijała z daleka przyprawiające o zawrót głowy czarne plamy otwartej wody. Lód trzeszczał pod jej

trzewikami. Była już blisko. Jakby na dany znak, wszystkie twarze zwróciły się w jej stronę. Usłyszała ogłuszający trzask, gdy lód pękł pod jej stopami, otwierając się w czarnej szczelinie. Straciła równowagę i nagle czarna woda sięgnęła w górę, zamykając jej pierś w lodowatym uścisku. Rzeka wdarła się w jej usta otwarte do krzyku, zalała oczy, okręciła włosy dokoła szyi. Elena poczuła dłonie na rękach i ramionach i chwyciła się ich kurczowo. Ale zamiast wyciągnąć ją na bezpieczny brzeg, kobiety ze śmiechem wlokły ją w dół, coraz niżej, głęboko w czarną wodę, dokąd nie zaglądało nawet światło gwiazd.

Płuca ją paliły, pierś wznosiła się ciężko w buncie przeciwko śmiertelności objęciom lodowatej wody. Otworzyła usta i odetchnęła wodą, czując, jak się w niej kłębi, czekając na nieuchronną ciemność. Ręce wciągały ją pod lód, gdzie nie sięga światło gwiazd, skąd nie można wypłynąć.

Skóra tak bardzo zdrętwiała jej od zimna, że dopiero po chwili zauważyła zmianę temperatury - woda się ociepliła, a blask gdzieś w górze wskazywał drogę ucieczki. Rzuciła się ku jasności i nie wierzyła zmysłom, gdy głowa przebiła powierzchnię, a płuca wyrzuciły lodowatą wodę rzeki Moskwy do nieznanego ciepłego jeziora i zassały stęchłe powietrze. Dziewczęta, które ją tu przywlokły, też wypłynęły, śmiejąc się i paplając. Nie miała pojęcia, dokąd trafiła, ale wiedziała, że dawne troski opadły z niej niczym bielmo z oczu uzdrowionego ślepeca.

- Podobnie jest w przypadku wszystkich innych, prawda? - Zapytała Galina. - Tak bardzo chciałaś uciec.

- I nie pasujemy nigdzie indziej - uzupełniła Elena.

Galina skinęła głową.

- Wiesz, zawsze miałam nadzieję, że jest dla mnie jakieś miejsce, ziemia obiecana... I znalazłam je dopiero wtedy, gdy zaginął ktoś, kogo kocham.

- Bo... - Zaczęła Elena i nieśpiesznie zaciągnęła się papierosem - ludzie z reguły nie wiedzą, czego naprawdę chcą. Poza tym to wcale nie jest ziemia obiecana. Zabawne, że pomyślałaś, że gdy upchniesz wszystkich odmieńców w jednym miejscu, w jakiś magiczny sposób stanie się ono rajem.

- Tak wygląda.

Głośny plusk i krzyki skierowały jej uwagę na jezioro; nawet Elena wstała i spojrzała, mrużąc oczy. Kilka rusalek cofało się z płaczem i krzykiem przed czymś, co wśród nich pływało.

- Co się dzieje? - Zapytała Galina.

- Nie mam pojęcia. - Elena starannie podniosła rąbek sukni, odsłaniając parę małych, ale mocnych wojskowych butów. - Chodźmy zobaczyć.

Rusałki wyszły na brzeg jeziora i stały, ociekając kropelkami wody, ze strachem w oczach, w których nie było widać białek. Elena szła wśród nich jak na przyjęciu, w drodze ku talerzom z tartinkami, a Galina podążała za nią. Zatrzymały się na brzegu, patrząc z zaciekawieniem.

Galina z początku nie rozumiała, co widzi. W wodzie falował ciemny materiał, skrywający coś, czego nie mogła rozpoznać, dopóki nie zobaczyła ręki. Wtedy, jak w łamigłówce, w której trzeba znaleźć ukrytą figurę, wszystko się ułożyło - dwie ręce i noga, i blada twarz z szeroko otwartymi oczami. Już miała zawołać do mężczyzny podskakującego na falach, gdy spostrzegła, że jego ręce są związane niebieską taśmą monerską, a głęboki niebieski cień wokół oka jest siniakiem rozlanym na lewą połowę twarzy. Ciemna smuga w kącie ust niewątpliwie była krwią, lecz w tym momencie Galina nie potrzebowała dalszych dowodów, że mężczyzna nie żyje.

- Kto to? - Zapytała Elenę, nie mogąc oderwać oczu od trupa, który przybliżał się do ich brzegu, nieuchronnie jak śmierć. - Skąd się wziął?

- Nie wiem. - Elena pochyliła się i zerwała długą grubą pałkę, którą przysunęła ciało. - Nigdy go nie widziałam. A jego ubranie... Czy wygląda znajomo?

Galina spojrzała na przemoczoną skórzaną kurtkę i spodnie dresowe, na krótko ścięte włosy.

- To bandzior - powiedziała. - Ktoś, kogo nazywa się reketierem. Jest ich mnóstwo na powierzchni.

- Rozumiem. - Elena chwyciła zwłoki za klapy i wyciągnęła je na brzeg. - Nigdy nie widziałam tu trupa. - Zwróciła się do rusałek, niespokojnych, wciąż zbitych w grupę jak sarny: - Wy go tu przywlokłyście?

Wszystkie jednocześnie pokręciły głowami i krzyknęły, załamując ręce.

To wygląda niemal jak rytualna żałoba, pomyślała Galina.

- Tak, to naprawdę dziwne - powiedziała Elena, z zadumą patrząc na mężczyznę leżącego u jej stóp. - Czyżby powierzchniowi uznali, że są dla nas za dobrzy, i zaczęli wyrzucać tu swoje śmieci?

- Nawet nie wiedzą o tym miejscu - przypomniała jej Galina.

Elena westchnęła.

- Wiem. Po prostu nie pojmuję.

- Na powierzchni też dzieją się dziwne rzeczy. - Galina opowiedziała jej o ptakach i swojej siostrze.

- Tak, to rzeczywiście dziwne - zgodziła się Elena. - Na powierzchni są czary, a trupy tutaj, na dole. To nie powinno się zdarzyć. Chyba ktoś przełamuje barierę. Lepiej porozmawiajmy o tym z kimś z dawnych.

- Szukałam Berendeja, gdy ruszka przyprowadziła mnie tutaj - powiedziała Galina. - Wiesz, gdzie można go znaleźć?

Elena parsknęła.

- Berendeja? Z pewnością pilnuje, żeby wszystko rosło. Nawet kradnie światło słoneczne z powierzchni dla moich roślin - widzisz, jakie są zielone? Ale czegoś takiego nie zrobiłby, nie mógłby zrobić, nawet gdyby chciał. Ani Ojczulek Mróz, ani żaden z innych - mają wprawdzie więź z powierzchnią, lecz jest ona subtelna. Nie, potrzebny nam ktoś, kto naprawdę wie co w trawie piszczy.

- Kto taki?

- Niebiańska Krowa Zemuna - odparła z powagą Elena. - Nawet nie próbuj się śmiać.

Galinie wcale nie było do śmiechu, nie nad trupem, który niemal dotykał jej tenisówek.

- Możemy najpierw porozmawiać z moimi przyjaciółmi? Jeden z nich jest policjantem, może dowie się czegoś o ciele.

- A co tu wiedzieć? Nie żyje. - Elena trąciła zwłoki czubkiem buta. - Ale jak chcesz. Idź po swojego glinę i wracajcie czym prędzej.

Galina znalazła Jakowa na zapleczu karczmy. Przystanęła w progu, wdychając słodki zapach tytoniu fajkowego i świeżych trocin. Jakow i David rozmawiali cicho, milczenie często zawisało pomiędzy nimi jak obłoki dymu.

Galinie było przykro, że musi przeszkodzić w rozmowie - nie słyszała słów, ale widziała, że łączy ich ciepła zażyłość, i westchnęła na myśl, że nie zna czegoś takiego. Chrząknęła.

- Jakow, musisz coś zobaczyć.

Drgnął z miną winowajcy.

- Przepraszam - rzekł do Davida. - Lepiej pójdę, przybyliśmy tutaj z określonego powodu.

- Nic nie szkodzi - odparł David i uśmiechnął się do Galiny. - Znalazłaś Berendeja?

- Nie. Tylko trupa.

Elena czekała na nich przy jeziorze. Po drodze Galina wyjaśniła sytuację Jakowowi, który na miejscu ukląkł przy zwłokach i poddał je oględzinom. Przyszło jej na myśl, że ten policjant, który zawsze wydawał się taki niepewny i przegrany, teraz naprawdę wie co robi - obejrzał skaleczenia i siniaki na twarzy i nadgarstkach, wywrócił kieszenie skórzanej kurtki.

Przemoczony dowód osobisty okazał się nieczytelny, ale kieszenie zawierały prócz niego notes z adresami i portfel z laminowaną kartą biblioteczną. Jakow chrząknął i umieścił dłonie za uszami trupa. Napiął mięśnie rąk i Galina cofnęła się odruchowo - zwykle łagodny Jakow nie wyglądał na człowieka zdolnego do stosowania przemocy. Z niepokojem patrzyła, jak szarpie zuchwą trupa.

- Co robisz?

- Próbuję otworzyć usta. - Wskazał plamę zaschniętej krwi w kąciку ust martwego mężczyzny i smugę na brodzie. - Przypuszczam, że był torturowany. Szukam śladów zębów na języku i policzkach, może połamanych zębów. To zwykle towarzyszy torturom.

Galina odwróciła wzrok, gdy twarz pod rękami Jakowa zachręściła i jakby się zapadła. Patrzyła na spokojną wodę, na rusalki wciąż drepczące na brzegu jeziora, na szeleszczące pałki. Gdzie bądź, byle nie na Jakowa, który robił coś martwemu człowiekowi, coś złego. Rozumiała konieczność takiego postępowania w świecie na powierzchni, tutaj jednak wydawało się to niemal świętokradztwem. Z drugiej strony, pomyślała, tak postępowali ludzie. Obojętne, jak dalekie i magiczne będzie jakieś miejsce, zawsze pojawią się trupy i potężnie umięśnieni brutale, którzy wszystko zepsują. Obojętne, jak piękny jest widok z dachu, zawsze splugawią go puste butelki, zgniecione filtry papierosów, brudne szmaty i zapach potu.

- W porządku - szepnęła do niej Elena. - Już prawie skończył.

- Wcale nie jest w porządku - odparła Galina. - Wiesz, mówią, że trawa jest zawsze zieleńsza po drugiej stronie. Jest zieleńsza, bo cię tam nie ma. A gdy pójdziesz, zdepczesz ją, zostawisz brudne odciski stóp i pewnie rozlejesz coś trującego.

Elena się uśmiechnęła.

- Nie sądzę, by tak to rozumieli.

- Wiem. Tylko że się myślą.

Starala się nie słuchać strasznych odgłosów trzeszczenia i mlaskania, wilgotnego szelestu materiału i cichego chrzęstu, z jakim ustępowało coś organicznego i niegdyś ludzkiego. A potem rozbrzmiało delikatne podzwanianie, które nie wiadomo dlaczego przywiodło jej na myśl ozdoby na choince i długie pasma srebrzystej lamety.

- Do licha, co to takiego? - Mruknął Jakow za jej plecami.

Elena uklękła obok niego.

- Nie mam pojęcia. - Jej głos wyrażał spokojne zdumienie i Galina się odwróciła.

Oboje patrzyli na twarz martwego mężczyzny z otwartymi ustami i żuchwą wykrzywioną pod nienaturalnym kątem. Patrzyli na coś, co znajdowało się w ustach, i Galina też spojrzała.

Pod spuchniętym fioletowym językiem, jak w koszmarnym gnieździe, leżała kulka wielkości wróblego jajeczka, jasnoniebieska z metalicznym połyskiem. Jakow wyciągnął rękę i dotknął, a wówczas kuleczka zadzwoniła i zaśpiewała. Galina wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby, próbując nie zwracać uwagi na zmasakrowane ciało wokół lśniącego błękitnego klejnotu.

Elena odepchnęła Jakowa na bok i wyluskała kulkę z makabrycznego miejsca spoczynku. Kulka potoczyła się po jej dłoni, wciąż śpiewając i strzelając lodowatymi iskrami w powietrze, które nagle stało się świeższe, chłodniejsze.

- Nie mam pojęcia, co to takiego - powiedziała Elena - ale na pewno nie należy do świata na powierzchni, tak jak trup nie należy do tego tutaj.

- Co masz na myśli? - Zapytał Jakow. Zdawało się, że dopiero teraz zauważył Elenę. Patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma, jak na cud większy niż niebieski klejnot.

- Zwykle podziemie było bardziej odizolowane niż teraz - wyjaśniła. - I to mi się nie podoba.

- Dlaczego? Czy nie będzie wspaniale, gdy ludzie na powierzchni dowiedzą się o tym miejscu i będą mogli je zwiedzać?

- Nie - powiedziała Galina. - Wcale nie będzie wspaniale. Jeśli do tego dojdzie, to miejsce upodobni się do powierzchni.

Elena przewróciła oczami.

- Patrzcie tylko! Dopiero co tu przybyliście, a już macie czelność decydować za nas. A teraz, czy możemy pójść do Zemuny?

- Kto to jest Zemuna? - Spytał szeptem Jakow.

Galina się odsunęła.

- Niebiańska Krowa - odparła. - Nie pytaj. To wszystko, co wiem.
- Lubię krowy. Ale co niebiańska krowa robi pod ziemią?
- Jak my wszyscy, jest wygnańcem.

Elena poprowadziła ich wokół jeziora w kolejny labirynt krętych drewnianych ulic. Galina wywnioskowała, że miasto nie ma prawdziwych granic - spływało niczym strumienie pomiędzy długimi spłachciami lasów i łąk na otwarte równiny, rozrastając się z każdym nowym przybysem. Nie chciała się zastanawiać, czy samo podziemie ma granice i czy nadejdzie dzień, gdy lasy będą musiały zniknąć, a głębokie bagna zostaną osuszone, żeby zrobić miejsce dla ludzi. Nie chciała spekulować, co się stanie z rusalkami i leśnymi duchami, gdy zabraknie wody i lasów. Nie chciała wyobrazić sobie podziemnego świata jako mroczniejszej, bardziej zakurzonej kopii tego, co leżało ponad nim. A jednak tylko o tym potrafiła myśleć.

TRUP

Zostawili trupa pod opieką rusałek, które przez chwilę piszczały z przerażenia, ale szybko zachichotały, podniesione na duchu szeptami Eleny, i jęły się nim bawić jak makabryczną zabawką. Jakow w pierwszej chwili chciał zaprotestować, ale potem uznał, że to nie ma znaczenia, i patrzył bez słowa, jak rusałki nurkują w jeziorze, zabierając swoją nową maskotkę. Potem odeszli na poszukiwanie Zemuny.

Żałował, że nie ma mocniejszych butów, gdy stąpali po mlaskającej łące, gliniastej i błotnistej, podmokłej po niedawnej powodzi. Trawa, zielona dzięki kradzionemu światłu słonecznemu, porastała nachylone łagodnie zbocze. W bujnej murawie mrugały drobne białe i żółte kwiatki, a wśród nich pasła się ospała Niebiańska Krowa. Jakow rozpoznał ją, bo emitowała łagodny, falujący blask, przywodzący mu na myśl światła zorzy polarnej, którą widział podczas wizyty u dalekich kuzynów w Murmańsku.

- Piękna krowa - szepnęła za nim Galina.

- Tak - zgodziła się Elena. - Wprawdzie na powierzchni nieczęsto widywałam inwentarz, ale ta sztuka mi się podoba.

Krowa podniosła głowę i popatrzyła na nich z miną, jaką Jakow mógłby opisać tylko jako „mądrą”.

- Cześć - powiedziała Elena. - Przyszliśmy po radę. Znaleźliśmy martwego człowieka, który przybył z powierzchni...

- Czy był martwy, gdy przybył? - Przerwała jej Zemuna powolnym, melodyjnym głosem.

- Tak - odparł Jakow. - Jestem Jakow, a to Galina. Szukamy ptaków, które były ludźmi. Martwy mężczyzna miał coś w ustach.

Zemuna pokiwała głową.

- Wysłucham waszych pytań, ale po kolei. Co znalazłeś w ustach martwego człowieka?

- To. - Elena otworzyła dłoń i błękitne jajko zaczęło pulsować, jakby ożywione jej ciepłem.

Zemuna powąchała klejnot, a nawet ostrożnie posmakowała go zaskakująco zwinnym koniuszkiem języka.

- Wiesz, co to jest? - Zapytał Jakow. - Elena myśli, że coś magicznego.

- Tak naprawdę nie wierzę w magię - odparła Zemuna i jeszcze raz obwąchała klejnot. - Ale z pewnością jest... Dziwne.

Jakow i Galina wymienili spojrzenia. Jakow nie był pewien, czego spodziewał się po krowie, ale liczył na większą wnikliwość.

- Możesz nam pomóc? - Zapytała Galina. - Jeśli nie wiesz, co to jest, to może znasz kogoś, kto mógłby wiedzieć?

Zemuna dumiała przez chwilę.

- Wiesz - zaczęła - to ja zrobiłam Drogę Mleczną.

- To... Miłe - powiedział Jakow i popatrzył na Galinę, szukając ratunku.

- Nie wierzycie mi. - Zemuna zrobiła zasmuconą minę. - Myślicie, że gwiazdy stały się tak po prostu, że nikt ich nie zrobił.

- Niekoniecznie - odparła Galina. - A co z ludźmi przemieniającymi się w ptaki?

- Opowiedzcie mi o tym - poprosiła krowa, wciąż nadąsana.

Jakow opowiedział, a Galina wtrącała się parę razy, mówiąc o swojej siostrze. Wolałby, żeby przestała mu o niej przypominać - był dotkliwie świadom, że zawala policyjną robotę i na dobitkę nie stawiał się w pracy; matka pewnie jest chora ze zmartwienia, a on w żaden sposób nie mógł pomóc Galinie.

Wrócił myślą do tej dziewczyny, Darii, i jej zaginionej matki. Chciałby przesłać jej wiadomość, by wiedziała, że szuka, że się stara, że o niej nie zapomniał. Czuł się jak w dzieciństwie, gdy doświadczał sennego paraliżu - był całkowicie bezradny, zrozpaczony i przekonany, że to jego wina.

Zemuna pogrążyła się w zadumie.

- Mogę wam pomóc - powiedziała po chwili. - Pomogę wam się dowiedzieć, dlaczego to wszystko się dzieje.

- To znaczy, że nie wiesz? - Jakow starał się ukryć rozczarowanie. Nic nigdy nie było łatwe. Nie był zachwycony, że jego wizyta w magicznym królestwie baśni obraca się w szereg wywiadów. I oględzin zwłok. Przypuszczał, że to nieuchronne, gdy się jest

gliną. Ale marzył o odrobinie wytchnienia - i żałował, że nie może nic w związku z tym zrobić.

Zemuna pokręciła głową.

- Podejrzewam, że zakłócenia, jakie widzimy, zaczęły się na powierzchni. Świat powierzchniowy się zmienia, i ten także.

- Nie rozumiem - powiedziała Galina. - Powierzchnia zawsze się zmienia, wybuchają wojny i rewolucje, zawsze dzieje się coś złego. Dlaczego teraz?

Zemuna uniosła głowę ku szarej mgle, która maskowała nieobecność nieba.

- Kto wie? Może nadszedł czas, by światy się połączyły, a może nie. Ale przypuszczam, że ktoś stąd pracuje z powierzchniowymi.

- Dlaczego? - Zapytał Jakow. - I nad czym pracuje?

- Chciałabym wiedzieć. Ale Kościej Nieśmiertelny powinien wam pomóc.

Jakow przewrócił oczami.

- Oczywiście. Kościej Nieśmiertelny. Wiedziałem, że w końcu się pojawi. Chcecie, bym znalazł jego śmierć? Wiem, gdzie jest, kiedyś widziałem na filmie.

- Nie - zamuczała Zemuna. - Po prostu go zapytaj. On się zna na czarnej magii.

- Myślałem, że nie wierzysz w magię.

Zemuna zmierzyła go leniwym spojrzeniem.

- A co moja wiara ma wspólnego z jej istnieniem?

- Chodźmy już - powiedziała Galina i pociągnęła Jakowa za rękaw. - Gdzie możemy go znaleźć?

- Spróbujcie w gospodzie. Tam wszyscy zaglądają prędzej czy później.

- Dobry pomysł - pochwaliła Elena. - Ja też pójdę.

Jakow przez całe życie starał się nie mieszać do polityki, choć musiał odsiedzieć swoje na różnych zebraniach i wykładach poświęconych teorii marksistowskiej, jednakowo nudnych i pełnych tej samej nużącej retoryki. Kiedy podrośł na tyle, żeby zostać członkiem Komsomołu - ochotnicza przynależność do organizacji była czystą fikcją - zabawiał się wycinaniem nieprzyzwoitych napisów na skraju wielkiego drewnianego stołu, wokół którego siedzieli, pod czujnym i ślepym spojrzeniem gipsowych popiersi Lenina i Marksa. Ich białe oczy śledziły go za każdym razem, gdy podnosił zielone sukno i starannie wycinał w drewnie słowa „kutas”, „kurwa” i „cipa”, proste zaklęcia chroniące przed gipsowymi bóstwami. Drżał z radości połączonej z

łękliwym oczekiwaniem, i kulił się na myśl o piorunach, jakimi go spala. Świństwa go ochroniły.

Nawet tutaj, pod ziemią, słowo „zebranie” nie budziło w nim nic prócz umiarkowanego znudzenia, nawet jeśli chodziło o zebranie zwołane przez Niebiańską Krowę. W gospodzie stał stół bilardowy pokryty zielonym suknem i jego polerowane bandy kusily Jakowa; żałował, że nie ma scyzoryka, żeby znów dla odparcia znudzenia rzeźbić swoje naiwne talizmany na odsłoniętym drewnie.

David krzątał się, przestawiał krzesła i zestawiał stoły, żeby wszyscy mieli wygodnie, łącznie z Zemuną. Sowin pomagał, jego stary grzbiet i ramiona sztywniały z wysiłku. Od czasu do czasu robił przerwy, żeby kaszleć i spluć, ale zaraz wracał do pracy. Klienci stali w grupkach, poszeptując. Jakow zastanawiał się, jak plotka mogła rozejść się tak szybko, dopóki nie zobaczył grupy rusałek. Przyniosły ze sobą trupa, woda ściekała w powolnych strumyczkach z jego ciemnych włosów. Jakow musiał odwrócić wzrok od rozdziawionych ust i wywichniętej zuchwy, sterczącej pod niepokojącym kątem. Rusałki wyprostowały ciało i machały jego rękami, jakby to była marionetka, podśmiewując się cicho.

Jakow rozpoznał parę osób i stworzeń; inni byli nowi; próbował odgadnąć, kim są. Dostrzegł mężczyznę w długim wojskowym płaszczu i czapce z wielką rozcapierzoną gwiazdą - ten styl pamiętał z filmów o wojnie domowej. Inny, z wąskimi oczami i ziemistą cerą, wyglądał jak postać z dramatu historycznego o Złotej Ordzie - uznał go za Tatara-Mongoła mniej więcej z trzynastego wieku. Inni nosili mniej charakterystyczne stroje, kraciaste koszule i ciemne spodnie, które mogły należeć do każdego okresu w dwudziestym wieku. Zasmuciła go myśl, że każdy może stać się taki oderwany i zagubiony w strumieniu czasu.

Wśród ludzi kręciły się dziwne istoty - poza łatwymi do rozpoznania wodnikami i leszymi były tam stworzenia, które wyglądały na wytwór koszmarów albo przynajmniej postacie z nieznanym mu baśni. Szczególnie zaintrygował go krępy jegomość z powiekami do samej ziemi. Towarzyszyło mu dwóch strażników uzbrojonych w żelazne widły, a obok niego na podłodze siedział wielki skrzydlaty pies, który chyba jednak nie był z nim powiązany. Szczury Sowina starały się nie kręcić pod nogami. Trzymały się blisko swojego dobroczyńcy i łypały gniewnie na małe stworzonka - jedne antropomorficzne, inne nie za bardzo - które przemykały z kubełkami trocin, zasypując ciemne miejsca zostawione przez wodę skapującą z trupa i stworzeń wodnych, a także krowie placki Zemuny.

David dotknął jego ramienia.

- Jak sobie radzisz?

- Doskonale - odparł Jakow i wskazał osobnika o długich powiekach. - Kim jest ten facet?

- Wuj - wyjaśnił David. - Co, nie czytałeś Gogola?

- Jasne, że czytałem. Ale myślałem, że tutaj są postacie mitologiczne, nie literackie.

- Wuj jest postacią mitologiczną. Jest generałem w rosyjskim piekle.

Podeszła do nich Galina.

- Mamy swoje specjalne piekło?

- Nie chrześcijańskie. - David dumiał przez chwilę, z roztargnieniem wycierając rękę w poplamiony fartuch. - Pogańskie piekło... Albo świat podziemny, jeśli wolisz.

Galina pokiwała głową.

- Zatem jest jedynym, który ma prawo tu przebywać.

Fiodor podszedł niespiesznie, a za nim stary mężczyzna w czerwonym płaszczu.

- Co się dzieje? - Wybełkotał.

Jakow cofnął się przed falą alkoholu w oddechu Fiodora.

- Zebranie. Czekamy na Kościeja Nieśmiertelnego.

Fiodor zaśmiał się i umilkł, gdy zdał sobie sprawę, że Jakow nie żartuje. Zwrócił się do swojego towarzysza:

- Wiesz coś o nim, Ojczulku Mrozie? Starzec nastroszył białą brodę.

- Nie jesteśmy przyjaciółmi, jeśli o to pytasz. Ale wiem sporo.

- Oto i on. - David zostawił grupę i ruszył do wejścia, by wymienić uścisk dłoni z bardzo wysokim, bardzo chudym mężczyzną w czarnym garniturze.

- Spodziewałam się, że będzie straszniejszy - szepnęła Galina do Jakowa.

Zgodził się z nią w duchu; czarny charakter z tyłu baśni czytanych w dzieciństwie, tyłu filmów oglądanych z zapartym tchem w sobotnie poranki, był przedstawiany jako postać nie całkiem ludzka, jako zdeformowany stwór opętany przez niezdrową fascynację młodymi kobietami, nieodmiennie pokonywany przez tych, którzy potrafili odnaleźć jego sprytnie ukrytą śmierć. Teraz wyglądał nie tyle groźnie, ile surowo.

- Spokój! - Zawołała Zemuna i potrząsnęła głową. Gwiazdki wirujące wokół jej karku zadźwięczały jak dzwonki, a potem zapadła cisza.

Usadowili się przy wielkim stole ustawionym pośrodku gwiazdzistej karczmy i przez chwilę było słyhać tylko stłumione pokasywanie i zgrzytanie nóg krzesel o

podłogę. Domowe duszki zaczęły śpiewać gdzieś w ścianach, ale przestały, gdy tylko Zemuna chrząknęła. Wszyscy milczeli, z wyjątkiem siedzących na belkach kawek albinosów, które nie przestały skrzeczeć.

Rusałki usiadły jedna przy drugiej i ostrożnie ułożyły na kolanach przyniesionego trupa. Jakow znalazł miejsce pomiędzy Fiodorem a Eleną, która przekładała błękitny klejnot z ręki do ręki; niebieskawe błyski igrały na jej wyraźnie zarysowanych kościach policzkowych. Kościej Nieśmiertelny, siedzący po jej prawej stronie, też spoglądał na kamień. Jakow zwrócił uwagę na jego oczy, głęboko osadzone, mrugające odbitym światłem w głębi ciemnych oczodołów.

- Spokój! - Ryknęła Zemuna. Zgrzytanie i pokasływanie ucichły. Na jej znak ruszałki wstały, żeby pokazać trupa. - To - zaczęła - wypłynęło dzisiaj w Jeziorze Rusałek. Ledwie dzień po tym, jak zjawiała się trójka tych nowych, w ślad za ptakami z powierzchni, które, jak się zdaje, latają swobodnie pomiędzy tym i tamtym światem. Co więcej, mamy powody wierzyć, że te ptaki są ludźmi, którzy niedawno ulegli przeobrażeniu. Tym samym jesteśmy zmuszeni konkludować, że na powierzchni jest magia i że martwe ciała są w stanie się tu przedostać.

Jakow uśmiechnął się pod nosem ze zdolności krowy do obywania się bez długich wstępów i całkowitego unikania wszelkiej dialektyki. Opierając się na swoim skromnym doświadczeniu, spodziewał się nudzenia o dialektyce na każdym zebraniu. Salę wypełnił szmer podekscytowanych rozmów, a pomocnicy Wija podnieśli mu widłami powieki, żeby mógł zobaczyć zwłoki.

- Nie ma obawy - szepnęła Elena do Jakowa i Fiodora. - Jego spojrzenie nie obróci was w kamień. To tylko plotka.

- Dzięki - odszepnął Fiodor. - Trochę się bałem.

- Czy ktoś wie, skąd pochodzi to ciało? - Zapytała Zemuna.

- Nie. - Głos Kościeja zabrzmiał jak trzask suchych gałązek. - Ale mogę się dowiedzieć.

Zbiorowy jęk wzniosł się ponad stołem.

- Tylko nie zaczynaj z tym swoim wskrzeszaniem umarłych - jęknął mokry niebieski wodnik, wytrzeszczając wielkie żabie oczy w łuskowatej twarzy.

- Czemu nie? Przynajmniej teraz mam trupa do wskrzeszenia. To zamknie ci gębę... A czy swoją drogą ryby nie powinny milczeć?

Wodnik naburmuszył się, ale zrezygnował z kłótni.

- Czy ktoś inny ma obiekcje? - Kościej popatrzył na Zemunę. - Może ty, befsztyku?

- Bodajbyś zdechł - mruknęła.

Pozostali półbogowie i duchy zachowali milczenie. Kościej zwrócił się do ludzi:

- Czy ktoś z was, worki mięsa, ma coś do powiedzenia? W dawnych czasach zrobiłbym tapicerkę z waszej skóry, zamiast pytać o zdanie, ale przypuszczam, że obecnie mamy pluralizm.

- Rób, co musisz - odparła Elena. - I nie ekscytuj się za bardzo, bo cię razi apopleksja.

Pozostali ludzie zachichotali i Jakow domyślił się, że śmierć Kościeja Nieśmiertelnego jest dla wielu ulubionym żartem.

Kościej wstał, wyjątkowo wysoki i chudy jak szkielet w światłach zorzy polarnej Zemuny i błękitnym lśnieniu klejnotu. Jakow zastanawiał się, czy rzeczywiście może wskrzesić umarłego.

- Daj mi to, skarbie - powiedział Kościej do Eleny i wyciągnął rękę.

Włożyła w nią klejnot, pytając:

- Wiesz, co to jest?

- Dość dobrze wypolerowana szklana kulka - odparł. - Ważniejsze, co jest w środku.

- A co tam może być? - Zapytał Jakow.

Kościej spojrział na niego po raz pierwszy i Jakow poczuł się tak, jakby insekty pełzały mu pod kołnierzem koszuli.

- Dusza tego człowieka, mój mięsisty przyjacielu. Widzisz, wiem całkiem sporo o ukrywaniu dusz.

- Myślałem, że to twoja śmierć była ukryta - wtrąciła Galina.

- Na jedno wychodzi, moja droga. Każda dusza zawiera nasienie własnego zniszczenia. A teraz, jeśli mogę...

Jakow nie mógł się otrząsnąć z wrażenia, że ogląda występ magika, gdy Kościej wcisnął błękitną kulkę pod język martwego i odwinął taśmę montera z jego nadgarstków. Nastawił mu szczękę, schował poczerniały język, który sterczał spomiędzy połamanych zębów niczym słupek kwiatu, i zamknął usta.

Kościej szepnął parę słów do ucha trupa i poklepał się po kieszeniach. Z irytacją przerwał swoje zabiegi.

- Czy ktoś ma dwie monety? - Zapytał. - Nie spodziewałem się, że będę przeprowadzać zmartwychwstanie.

- Proszę - powiedział Fiodor.

Wszyscy wstrzymali oddech, gdy podał Kościejowi startą monetę na cienkim złotym łańcuszku.

Kościej chwycił monetę, a Fiodor ją wyszarpnął. Potem znowu przeciągnął ją przez kościstą garść.

Jakow przyglądał się ze zdumieniem tym manipulacjom, dopóki Kościej nie otworzył dłoni i nie pokazał dwóch lśniących monet. Położył je na oczach trupa, zamykając powieki. Sine cienie rozpostarły się pod nimi, a Kościej podjął szeptane zaklęcia.

Jakow się znudził i zaczął wodzić wzrokiem po sali. Częściowo nadal oczekiwał, że zbudzi się w swoim pokoju, z mamą pokrzykującą w kuchni, żeby przyszedł na śniadanie; czuł się winny, że myślał o niej tak mało. Wyobrażał ją sobie taką, jaka zawsze była, z zaciśniętymi wargami, lekko zmartwiona, wiecznie czymś zaniepokojona, gdy podzwaniane przywołało go do chwili obecnej, do karczmy dziadka, do stołu otoczonego przez ludzi, którzy od dawna powinni być martwi, i przez istoty, które w ogóle nie powinny istnieć. Popatrzył na stół, z początku nie rozumiejąc, na dwie wypolerowane monety wirujące i tańczące po szorstkiej powierzchni. Potem spojrzął na trupa, który otworzył przymglone mleczne oczy, potarł nadgarstki i zadrzał w mokrym ubraniu, a następnie przemówił.

Siergiej nigdy nie przypuszczał, że zostanie bandytą, gdy dorośnie - w dzieciństwie bandytyzm nie był realnym fachem i marzenia chłopców w jego wieku rzadko wykraczały poza zawody kosmonautów czy strażaków, przynajmniej gdy już zrozumieli, że stanowiska bohaterów rewolucyjnych dawno temu zostały zajęte i nie ma wakatów.

Obsesyjnie uwielbiał kawalerię, Czapajewa i Budionnego, i przeczytał wszystkie książki w bibliotece o wojnie domowej i bohaterstwie Armii Czerwonej. Był zawiedziony, gdy się dowiedział, że kawaleria odeszła w przeszłość i że gdyby wstąpił do wojska, oglądałby złotą falującą trawę stepów przez wąskie szczeliny czołgu, nie z grzbietu wierzchowca, gdy gwizdże wiatr, a powietrze jest przesycone zapachem siana i końskiego potu. Miłość do koni i wojny sprawiła, że na przemian chciał zostać żołnierzem i weterynarzem; gdy skończył szkołę średnią, złożył podanie do instytutu weterynarii. Nie zdał egzaminów wstępnych i zaciągnął się do wojska.

Armia go odmieniła - po pierwszym roku, gdy był ofiarą fali, i po drugim, gdy rządził kotami, doszedł do wniosku, że weterynaria była przelotną fantazją, a życie

wiejskiego weterynarza wstydlwym dziecięcym marzeniem. Został w wojsku na trzeci rok i zaczął się starać o przyjęcie do akademii wojskowej.

A potem nastąpiły zmiany, wielkie zmiany. Obcięto wydatki na wojsko i został wysłany do domu z jednostki ochrony silosu atomowego. Krążyły pogłoski, że znajdujące się tam bomby jądrowe są przewidziane do zniszczenia, ale Siergieja to nie obchodziło. Rozpoczęła się prywatyzacja, prywatne sklepy wyrastały z dnia na dzień jak chybotliwe blaszane muchomory po deszczu, a dla niego coś stało się oczywiste: przywileje w czasach jego młodości zarezerwowane dla członków partii, a wcześniej zdobywane w bitwie, teraz mogli dostać za darmo ludzie, którzy mieli głowę na karku, zmysł do interesów, i nie grzeszyli nadmiarem skrupułów.

Wiedział, że nie ma ani tęgiej głowy, ani smykałki do interesów; miał tylko permissywne sumienie i dobrą zaprawę fizyczną. Sklepy potrzebowały ochrony, tyle że niektóre jeszcze o tym nie wiedziały, i Siergiej dołączył do grupy sympatycznych osobników, którzy wzięli na siebie przekonanie właścicieli, że warto płacić za ochronę przed konkurencyjnymi reketierami.

Nigdy nie osiągnął wysokiej pozycji w gangu, nigdy się nie interesował, dlaczego i jak; uważał się za zwykłego biznesmena. Gdy dłużnicy nie płacili, czuł się osobiście zraniony i zdradzony, przekonany o słuszności swojego postępowania, karał ludzi, którzy z jakiegoś powodu uznali, że nie muszą zwracać długów. Niektórzy nawet posuwali się do podważania sensu samej potrzeby ochrony - inaczej dachu, jak to nazywano. „Musisz mieć dach” - tłumaczył jednemu czy drugiemu. „Jeśli nie będziesz miał ochrony, inne gangi zrobią z tobą co zechcą, z twoją firmą, z twoimi pieniędzmi. Co wtedy? Pójdiesz na policję?”.

Wtedy klient pojmował swoją głupotę, zwieszał głowę i bulił, ile trzeba. Tylko ci najbardziej oporni wymagali stosowania fizycznych środków perswazji.

Siergiej pracował w swoim życiu z paroma prawdziwymi artystami - wyposażeni w żelazko elektryczne, obcęgi i rolkę taśmy monterskiej potrafili przemienić najbardziej pewnego siebie biznesmena w pochlipującego, podlizującego się robaka. Te prymitywne narzędzia jednak wypadły z łask, odkąd bandyci odkryli czary.

Babskie gadanie, myślał z początku Siergiej. Mikstury, talizmany, kabalistyczne symbole to jedno i to samo, co rzucanie klątw i zsyłanie błogosławieństw, składanie ofiar dawnym, nieznanym z imienia bogom - jedna wielka głupota, powiedział. Nie ma żadnej tajemniczej energii ani korzystnego ustawiania się gwiazd, które w ten sposób ułatwią rozstrzygnięcie sporu terytorialnego; żadna ilość suszonych ziół nie

pomoże zastartować rano jego prehistorycznej wóldze, smutnej spuściźnie po jakimś byłym funkcjonariuszu partyjnym. Tylko że pomogła.

Zrazu przypisał to zbiegowi okoliczności, i choć nie całkiem wierzył w magię, nie można powiedzieć, że zupełnie nie wierzył. Przełom nastąpił, kiedy jego koledzy otworzyli szklany interes.

Jeden z nich, Sława, wysoki chudzielec, który chodził z nim do klasy i załatwił mu obecną robotę, zabrał go na oddaloną, w znacznej mierze niestrzeżoną odnogę linii kolejowej - tor biegnący wśród sadów i przetrzebionych lasów Biriolewa, gdzie w letnim skwarze drewno podkładów kolejowych wydzielало zapach smoły i kreozotu, a żdźbła rzadkiej trawy porastały kamienisty grunt pomiędzy szynami. Z toru korzystały wagony pełne granulatu szkła - zielone, niebieskie i bezbarwne kulki, dwa centymetry średnicy - do pobliskiej huty szkła. Granule przewożono w otwartych wagonach, które jechały z prędkością energicznego truchtu, więc nietrudno było się do nich dostać.

- Po co nam te kulki? - Zapytał Siergiej. - Są gównno warte.

- Ale nie do tego, co można z nimi zrobić. Czeczeni się zesrają, gdy usłyszą, że mamy tę... Moc. Wiedziałaś, że w tych szkiełkach można uwięzić dusze? - Sława szybko stawał się ekspertem w okultyzmie.

- Nie. Skąd to wiesz, kurwa?

- Mam swoje źródła - odparł Sława z chytrym uśmiechem. - Wchodzisz czy nie? Jeśli usłyszą, że nie musimy ich zabijać, ale możemy uwięzić ich dusze na wieki, żaden nam nie podskoczy. Nigdy - powiedział z wyraźną satysfakcją, kopiąc adidasem szynę, która zaśpiewała niskim, rezonującym głosem. Siergiej wyobraził sobie, że dźwięk poniósł się daleko, do nieznanych krajów, może po całej Europie. - Czeczeni boją się o swoje dusze, są chrześcijanami.

- Muzułmanami - poprawił Siergiej. - Ormianie i Gruzini są chrześcijanami.

- Mniejsza z tym. Nieważne, kurwa, w co wierzą, byle wierzyli w niebo. Możemy je im odebrać. Czy to nie super?

Nadjechał pociąg. Sława czekał, kiedy ich mijał, a w pewnym momencie ruszył z kopyta i dopędził jeden z otwartych wagonów. Skoczył i chwycił się krawędzi. Nie wciągnął się, tylko sięgnął do środka i puścił, lądując w kucki przy torze. Wrócił i pokazał Siergiejowi garść zielonych kulek.

- To jest super. - Podał mu jedną, a drugą podniósł do oczu, patrząc na słońce.

Siergiej zrobił to samo. Małe dzioby i skazy na powierzchni kulki powiększyły się, miał więc wrażenie, że patrzy na powierzchnię Księżyca, tajemniczą i lśniącą

zielonkawą, zniekształconą przez lekką krzywiznę szkła, tłącą się kraterami. Odkrył, że jeśli obróci kulkę w palcach, zielony świat obróci się wraz z nią, ukazując mu ukryte góry i głębokie rozpadliny.

- Niezłe miejsce dla duszy, nie sądzisz? - Zapytał Sława. - Wchodzisz?

Tak oto Siergiej znalazł się w tym, co eufemistycznie nazywano szklanym interesem, i zgromadził ładną kolekcję dusz, gdy Sława i pozostali rozszerzali terytorium. To znaczy, dopóki nie znalazł się po niewłaściwej stronie szklanej kulki.

Coraz bardziej ciekaw źródła tajemnej wiedzy Sławy, zaczął zadawać pytania. Kiedy wypytywanie nie przyniosło żadnych rezultatów, zaczął węszyć. W tym czasie stać go było na rozwalenie wołgi, zardzewiałej i ciężkiej od konotacji klasowych, i kupno jeepa - używanego, a i tak w lepszym stanie niż wszystkie wozy, które miał do tej pory. Ale Sława przesiadał się z mercedesa do mercedesa, gdy tylko zapełniła się popielniczka, i Siergiej podejrzewał, że źródłem jego dochodów musi być coś więcej niż wymuszanie haraczy i więzienie dusz. Postanowił wytropić jego tajemne interesy.

Zajął stanowisko przy wejściu do porządnej starej kamienicy na Twerskiej. Na tę wyprawę pożyczył od kolegi skromnego zaporozca (markę tę w folklorze miejskim często porównywano do ciężarnej gimnazjalistki, gdyż jedno i drugie przynosiło równy wstyd rodzinie), i czuwał wśród równie skromnych aut zaparkowanych na podwórzu, z dobrym widokiem na rdzawoczerwonego merca Sławy. Dawno minęła północ, gdy Sława wyszedł z budynku, sam. Siergiejowi zamarło serce - nieobecność dwóch goryli, którzy ostatnio wszędzie mu towarzyszyli, sugerowała jakieś potajemne plany.

Siergiej zaczekał, aż Sława opuści podwórze, i zapalił światła. Jechał za nim wśród wolno poruszających się samochodów, przekonany, że zaporoziec znajduje się znacznie poniżej progu wykrywalności Sławy. Natężenie ruchu było duże i parę razy się zmartwił, że zgubił zwierzynę. Po wjeździe na Sadowoje Kolco śledzenie stało się łatwiejsze. Zmierzali na południowy wschód, ku Kołomienskoje.

Park był zamknięty, ale Sława zwinnie wspiął się na żelazne ogrodzenie. Siergiej zaparkował daleko od mercedesa i poszedł w jego ślady. Potykał się w ciemności na krętych ścieżkach, klnąc pod nosem, ale nie tracił z oczu latarki Sławy pomiędzy drzewami.

Wszedł księżyc i srebrzysta poświata pozwoliła odczytać pamiątkowe tabliczki. Siergiej domyślił się, że idą do domku Piotra Wielkiego - drewnianej chaty, którą

deska po desce przewieziono do Kołomienskoje, gdzie mogła zostać stosownie unieśmiertelniona. A teraz wyglądało na to, że stała się sceną jakichś konszachtów.

Latarka Sławy zniknęła w chacie Piotra Wielkiego i Siergiej podszedł bliżej. Wewnątrz rozbrzmiały głosy - najpierw Sławy, potem obcy. Siergiej czuł zimny pot na kręgosłupie, a na barkach ciężar otaczającej go ciszy. Gdy słaby wiatr poruszył liśćmi nad jego głową, był wstydliwie wdzięczny za znak, że wciąż jest w parku, w świetle ludzi, bo głos, który usłyszał, z pewnością nie należał do tego miejsca.

Nie mógł zrozumieć słów i był zbyt wystraszony, żeby zajrzeć do środka. Bezgłośnie oddalił się od domku, teraz jeszcze bardziej bojąc się narobić hałasu. Wiedział dobrze, do czego jest zdolny Sława, ale istota, z którą konferował, wydawała się jeszcze bardziej niebezpieczna, niepojęta i z innego świata.

Uciekł i więcej nie śledził Sławy w czasie jego nocnych ekspedycji. Kumple zauważyli zmianę w jego zachowaniu i teraz on był wypytywany. Udał, że chodzi o sprawy osobiste, i nawet wymyślił ciężarną dziewczynę, która nie chciała się zgodzić na aborcję.

- W porządku - powiedział mu Sława, z oczami wciąż ciemnymi z niepokoju. - Tylko nie zrób się niedbały.

Siergiej przysiągł, że to się nie stanie; czuł ulgę, że nie został zdemaskowany.

Koniec nastąpił, gdy Sława zadzwonił na jego komórkę.

- Musisz coś dla mnie zrobić. Bardzo dyskretnie. W mieście jest nowa kłątwa i musisz mi znaleźć obiekt do wypróbowania. Nie obchodzi mnie, kto to będzie, po prostu dostarcz mi ciało. Dopilnuj, żeby było żywe.

Siergiej pojechał ulicami swojej dzielnicy na targ pod gołym niebem, gdzie ciemnoocy przybysze z Kaukazu sprzedawali róże i arbuzy, pomidory wielkości główki niemowlęcia i pirackie amerykańskie thrillery. Zapadał zmierzch i klientów ubywało. Relacje z gangami kaukaskimi były napięte, więc postanowił wziąć na cel jednego z wychodzących klientów. Kobieta w średnim wieku, niosąca pękate reklamówki z egzotycznymi produktami, skręciła w wąską boczną ulicę. Siergiej ruszył za nią, wbił jej pistolet w zębra i kazał wsiąść do wozu. Nie martwił się, że rozpozna jeepa - obiekty eksperymentów Sławy rzadko miały okazję mówić później o swoich doświadczeniach.

Zadzwonił do Sławy.

- Mam - powiedział.

- Spotkajmy się przy centralnym wyjściu.

- Będę za pół godziny.

Siergiej pojechał do Kołomienskoje i zaparkował obok merca, który mruczał na jałowym biegu. Sława siedział w wozie, z papierosem tłącym się w wąskich wargach.

- Dobra robota - pochwalił, gdy Siergiej zaprezentował mu kobietę, oniemiałą ze strachu, ze śladami łez na policzkach. - Chodź. Chcę, żebyś to zobaczył.

Siergiej zabrał kobietę i podążył za nim. Turyści i wypoczywający obywatele już opuścili park, ścieżki przecięte przez długie cienie wyglądały wyjątkowo tajemniczo. Sława milczał i Siergiej poczuł niepokój.

- Co to za nowości? - Zapytał.

- Przemiana ludzi w ptaki - odparł Sława. - Tylko nie dla nas. Wyświadczam przysługę.

- Tym, którzy dali ci całą tę magię?

Sława zatrzymał się i odwrócił, trzymając ręce w kieszeniach rdzawoczerwonej kurtki.

- Tak. - Wyjął rękę z kieszeni i pokazał Siergiejowi niebieską szklaną kulkę. - A ta jest dla ciebie.

Kilku zbirów z taśmą i cęgami wyszło spomiędzy drzew osłaniających mroczną ścieżkę.

Siergiej szamotał się w ich rękach.

- Co zrobiłem? - Zapytał Sławę.

- Nienawidzę szpiegów.

- Nie jestem szpiegiem. Czemu tak mówisz?

- Nie powiedziałem ci, do jakiej centralnej bramy - odparł Sława. - Głupi suczy synu.

OKSANA

Należało zadać tyle pytań, a jednak Fiodor myślał o tym z niechęcią. Zdał się na Galinę i Jakowa; ten ostatni ciągle go zaskakiwał swoim pozornie poważnym zaangażowaniem w odkrycie, co się stało z ludźmi-ptakami. Od czasu wskrzeszenia glina siedział zamknięty na zapleczu karczmy, przesłuchując wskrzeszonego bandziora. Fiodor czekał z Galiną i pozostałymi w zatłoczonej sali, pijąc produkowane przez Davida piwo, które coraz bardziej przypadło mu do smaku.

Galina i Elena rozmawiały ściszymi głosami, zaczął się więc rozglądać w poszukiwaniu rozrywki. Kościej, wyraźnie zadowolony ze swojego wyczynu, chodził od stołu do stołu, z uśmiechem i kiwaniem głową przyjmując powściągliwe pochwały. Fiodor uśmiechnął się i pomyślał, że podziemie wydaje się przytulne, jakby naprawdę był u siebie. Kochał Kościeja i Zemunę, opierającą się o stół, przy którym kilka rusałek i wodników rozpijało dzban czegoś parującego i wyśmienitego; kochał średniowiecznego Tatara-Mongoła, który dwa stoliki dalej kłócił się z ożywieniem z czerwonoarmistą z około tysiąc dziewięćset dziewiętnastego. Przywykł do życia w zakamarkach, umiał się wygodnie wpasować w szczeliny, których większość ludzi nie zauważała, a podziemie było niczym więcej niżli zakamarkami i szczelinami. Z zadowoleniem zostawił Jakowowi i Galinie szukanie tropów i przesłuchiwanie martwych gangsterów. Z radością został w karczmie.

Wędrował wzrokiem od jednego stolika do następnego, zahaczając o plamy kolorów i niezwykle twarze, chłonąc wszystko. Myślał o historii, jakiej uczono go w szkole, i czuł głęboką wdzięczność, że istnieje podziemie, pozwalające uzupełnić suche fakty pasjonującymi opowieściami o podbojach i zwycięstwach, o rewolucjach i bohaterach, o udaremionych napaściach. To była ta ukryta strona, bez której nic nie miało sensu. Była tutaj przez cały czas i teraz Fiodor wiedział, dlaczego świat wydawał

się taki niepełny, przechylony, pozbawiony czegoś ważnego. Zastanawiał się, czy wszyscy czuli tę niesprecyzowaną tęsknotę za czymś, co uznali za stracone już dawno temu, ale co w rzeczywistości było tylko pogrzebane pod ziemią.

- O czym myślisz? - Zapytała Galina.

Wzruszył tylko ramionami, nie umiał ubrać w słowa głębokiego poczucia spokoju i satysfakcji z faktu, że wszystkie elementy w końcu wskoczyły na właściwe miejsce.

- O tym, że to miejsce jest super.

- Niedługo nie będzie takie przyjemne - powiedziała Elena. - Ciesz się, póki to trwa.

Fiodor wyprostował plecy.

- Dlaczego?

- Nie słuchałeś tego... Trupa? - Burknęła z irytacją Galina. - Skoro bandyci wiedzą, że coś tu jest, nie boisz się, że będą szukać głębiej? - Nie wspominając, że jeden z dawnych im pomaga i przemienia ludzi w ptaki - dodała Elena. - To poważna sprawa. I wciąż ani śladu Berendeja.

- Może tylko jest zajęty - powiedziała Galina.

Żona dekabrysty pokręciła głową.

- Gdy Zemuna zwołuje zebranie, przychodzą wszyscy dawni. Nawet Kościej się zjawiał, co mnie naprawdę dziwi.

- Myślisz, że to on im pomaga?

Elena wzruszyła ramionami.

- To leżałoby w jego charakterze, ale chyba nie należy wyciągać pochopnych wniosków.

Zemuna podeszła wolnym krokiem, jej szczęki poruszały się w trakcie niezmordowanego przeżuwania.

- Kto najwięcej zyska? Odpowiedzcie, a znajdę winnego.

- Zyska co i od kogo? - Galina z rozdrażnieniem odgarnęła z czoła kosmyk włosów.

- Nawet nie wiemy, dlaczego ktoś chciałby przemieniać ludzi w ptaki.

- Możemy się domyślać - powiedziała Elena, a Zemuna pokiwała głową.

Fiodor podjął obserwację karczmy. Kątem oka dostrzegł jasne miejsce zieleni, czerwieni i błękitu - ten sam wir intensywnych barw, jaki od czasu do czasu malował na płótnie, wspominając bransoletki na smukłych nadgarstkach i chmurę czarnych włosów opadających na ciemne uwodzicielskie oczy. Na myśl o niej świerzyły go palce, pragnąc namalować to co zakazane, niepojęte i niemożliwe do zdefiniowania.

Pociągnął kolejny łyk piwa i odwrócił się ostrożnie, spodziewając się, że wizja zniknie, gdy tylko wpłynie w pole widzenia. Nie rozproszyła się.

Fiodor potrząsnął głową, żeby się pozbyć nieproszonej zjawy. Powiedział sobie, że to nie może być ona - wyglądała tak samo jak wtedy, przed laty na moście. Ona też go zobaczyła i lekko zmarszczyła brwi, jakby próbując umiejscowić jego twarz w galerii wspomnień.

Uśmiechnął się do niej, a ona podeszła do ich stolika i z roztargnieniem poklepała Zemunę po pysku, wciąż wpatrując się w Fiodora.

- Wybacz - powiedziała - czy ja cię skądś znam?

Skinął głową.

- Byłem niegrzeczny wobec ciebie i niedźwiedzia. I namalowałem twój portret.

Jej mina nie uległa zmianie, ale wydawało się, że nagle dusza z niej wyciekła, zostawiając perfekcyjną, lecz pozbawioną życia, kruchą replikę twarzy.

- Co tutaj robisz? - Zapytała. - Myślałam, że cię zostawiłam w przeszłości.

Skinął głową.

- Zostawiłaś. Szukałem cię, żeby przeprosić. Od dawna jesteś w podziemiu?

- Odkąd wydałam swoje szczęście. - Wskazała złoty łańcuszek na jego szyi.

- Mogę ci go oddać, jeśli chcesz. - Czuł na sobie zaciekawione spojrzenia Galiny i Eleny. Chciałby, żeby dziewczyna po prostu usiadła.

Pokręciła głową.

- Nie mogę. Gdy coś dajesz, nie możesz tego odbierać.

- Przykro mi. Dlaczego mi to dałaś?

Wreszcie usiadła, wciskając się pomiędzy niego i Elenę. Patrzyła na niego jakby z wielkiej dali czasu i przeżytych doświadczeń, które ich oddzielały.

- Po prostu chciałam, żeby mnie ktoś polubił. Roześmiał się, zaskoczony.

- Polubił? Jak ktoś mógłby cię nie lubić?

- Ty nie lubiłeś - odparła i spojrzała z ukosa na Galinę.

- Byłem młody i głupi.

Popatrzyła na swoje dłonie, uśmiechając się leciutko.

- Więc tacy musieli być wszyscy inni.

- Co z twoim taborem?

- W tym rzecz. Zawsze traktowaliście nas jak robactwo i kazaliście nam trzymać się osobno. Dla was nigdy nie byliśmy ludźmi, byliśmy szczurami, które powinny być

wdzięczne za ochłapy i uciec z miasta w chwili, gdy uznacie, że nie odpowiada wam nasza obecność, albo gdy trzeba obwinić kogoś za suszę czy epidemię.

Fiodor chciał się sprzeczać, ale przypomniał sobie własne lęki i chorobliwą ciekawość, i wyraz twarzy matki, gdy powiedziała mu, że go ukradną Cyganie. Pokiwał głową.

Sowin spojrzął od swojego stołu, gdzie grał w szachy z drugim starcem, i pomachał ręką. Oksana odpowiedziała uśmiechem na powitanie.

- Gdzie twoje szczury?! - Zawołała, przekrzykując zgiełk panujący w karczmie.

- Tutaj - odparł. Kilka gryzoni wyskoczyło spod stołu, podbiegło do Oksany i zaczęło na wyścigi wspinać się po długiej spódnicy, jeden przez drugiego śpiesząc na jej kolana.

Pogłaskała je, jakby były kotami.

- Moi przyjaciele - wyjaśniła Fiodorowi.

- Rozumiem. Znają sztuczki?

- Parę. Pokażę ci, gdy będzie ich więcej, lepiej pracują w zespole.

Szczury usadowiły się, obwąchując Oksanę i czasami zwracając nosy w stronę Fiodora, wąsami sprawdzając jego zapach; wyczuwały talizman Oksany.

- Chcesz pójść na spacer? - Zapytał, chcąc uciec od dotkliwego zakłopotania, które zakłóciło jego idyllę.

- Jasne. Czy szczury też mogą pójść? Przydadzą się im ćwiczenia.

- Nie ma sprawy. - Skinął głową do Galiny. - Niebawem wrócę. Mam nadzieję, że twój przyjaciel czegoś się dowie.

Też skinęła głową, nie patrząc na niego. Elena objęła jej ramiona jedną ręką, szepcząc do ucha krzepiące słowa.

Na dworze było ciemno, blaskodrzewa przygasały, rozbłyskiwały na parę sekund i skrzyły się jasno, a potem znów ciemniały. Białe kawki i gawrony spały na gałęziach, tylko od czasu do czasu rubinowe oko otwierało się, by obrzucić przechodzących ludzi i szczury obojętnym spojrzeniem, po czym znowu się zamykało, przysłaniane skórzastymi powiekami.

- Chcesz mnie o coś spytać? - Zapytała Oksana.

Skinął głową.

- Chcę wiedzieć, jak tu trafiłaś... I wiesz... Jak ci się wiodło. Na powierzchni.

Oksana wiedziała, że na świecie nie ma dla niej miejsca, zanim jeszcze nauczyła się mówić. Jak sięgnąć pamięcią, знаła jadące pociągi i zmieniające się krajobrazy; jedynym stałym elementem wspomnień były kobiety siedzące na tobołkach i dzieci krzyczące i bawiące się pod czujnym okiem matek.

Miała szczęście, gdy jej rodzina dostała odszkodowanie za holocaust - miała nikłe pojęcie, co to takiego, choć właśnie przez holocaust jakaś zagraniczna organizacja humanitarna przysłała pieniądze, a jej dziadkowie ze strony matki zginęli w komorze gazowej. Pieniądze się przydały, kupili za nie dom - rudere bez bieżącej wody i kanalizacji, niemniej jednak prawdziwy dom, gdzie dało się osiaść na dłużej, a ona mogła chodzić do szkoły.

To doświadczenie tylko powiększyło konsternację - inne dzieci zadawały jej pytania, jakie nigdy nie przyszłyby jej do głowy, i miała kłopoty z udzieleniem odpowiedzi.

Musiała tłumaczyć, że jest Cyganką i że Cyganie mają prawdziwy język, nie jakiś tam złodziejski żargon. Wyjaśniła, że jej matka naprawdę umie wróżyć. Że filmy o Cyganach wcale nie są takie prawdziwe, podobnie jak piosenki sprzedawane na lśniących czarnych płytach winylowych, nawet jeśli nazywają się „Romanse cygańskie”. Każde pytanie zwiększało odległość pomiędzy nią i koleżankami z klasy. Zaczęła nienawidzić swojego ukraińskiego imienia, nadanego jej, bo urodziła się w Kijowie.

Potem pieniądze się skończyły i znów dołączyli do starego taboru. Matka zaniemogła, jej wróżby stawały się coraz bardziej dziwne i mroczne. Oksana musiała znaleźć źródło dochodów pewniejszych niż te, jakie zapewniał niedźwiedź prowadzony na smyczy. Zaczęła występować w drogich restauracjach, gdzie tańczyła, grała na gitarze i śpiewała cygańskie romanse. Te piosenki były tylko podobne do prawdziwych, pozbawione celu i duszy - nie mogła zrozumieć, dlaczego trzeba zabić zarodek czegoś żywego i szczerego we wszystkim, co jest przeznaczone do masowej konsumpcji. Podobnie rzecz się miała z matriszkami, bezdusznymi klockami drewna, które sprzedawali przedsiębiorczy rzemieślnicy; tak samo było z seksem.

Potrzebowali pieniędzy, ale z początku się wzdragała, gdy na przyjęciu jeden czy drugi pijany biznesmen, czerwony i spocony, z rozpiętą marynarką i bez krawata, pytał ją, czy ma wszy, a gdy przeczyła, proponował gruby plik banknotów za coś ekstra. W końcu nie mogła sobie pozwolić na odmowę i naprawdę nie było aż tak źle, po prostu szła z nimi do łazienki albo na zaplecze, zamykała oczy, zagryzała usta - i

naprawdę, czy to się różniło od tego, co robił Fiodor, sprzedając jej portrety - tylko smuga smagłej skóry, czarne oczy i czerwone usta, rozmyte przez powtarzalność ruchu - czym to się różniło? Czym się różniło od pękniętej igły żłobiącej rowek na starej płycie, dokoła, wciąż dokoła, nigdy niedocierającej do celu; czym się różniło od brzoźowego pniaka, wirującego pod ostrym siekaczem noża rzemieślnika, aż zyska gruszkowaty kształt głupiej pustej zabawki?

Świat obracał ich wszystkich dokoła, w kręgach, które nosiły iluzoryczne podobieństwo do spiral, aż wszyscy się ścierali, tracili cechy charakterystyczne, jak jej moneta, jak lizak w łakomych ustach dziecka. Obracała się w tańcu, spódnica wirowała wokół niej w jaskrawym rozpaczliwym kręgu, śpiewała, pozwalała brać się od tyłu, i wszystko to ze strasznym uczuciem, że została ciśnięta w szarą pustkę październikowego nieba.

Czuła się zrównowazona tylko tego dnia na moście, gdy ni z tego, ni z owego spojrziała ponad kanciastym ramieniem mężczyzny ze szkicownikiem i zobaczyła most i cerkiew odbite na papierze tak, jak odbijała je woda - takie same, a jednak inne, nie sprofanowane, lecz uhonorowane. I wtedy zapragnęła zobaczyć siebie tak, jak on ją widział, jak inni nie mogli zobaczyć.

I gdy ją namalował, poczuła się prawdziwa, nie tyle zlepek egzotycznych cech, ile pierwotna istota z koloru i światła, z płaszczyzn i ostrych kątów. Została rozbita i złożona na papierze, niezupełnie ona, ale realna, z ważkością, której brakowało jej prawdziwemu ciału, wolna od krępujących spiral i szorstkich jak papier ścierny pięści świata.

Dała mu swoje szczęście i pokazała Miszę, mając nadzieję, że Fiodor uzna jedno i drugie za to, czym było, że zrozumie, że Misza jest duszą na ostatnich etapach rozcierania do gołych kości, drzazg połamanych zębów i strzępów pazurów. Zamiast tego Fiodor odszedł, i nic już nigdy nie było dobrze.

Oksana nie obwiniła go, nie bezpośrednio; przecież nikt nie jest nikomu nic winien. Nie szukała zbawcy, tylko kogoś, kto by zrozumiał. Była wściekła na siebie, że nie umiała mu tego wyjaśnić. Jej śpiew zaczął brzmieć chrapliwie, gdy zaschło jej w gardle i coś pękło w piersi. Palce ślizgały się niemrawo po strunach gitary. Misza zdechł w październiku.

Wtedy wynieśli się z dworca i zamieszkali w Carycynie - w parku trwała budowa, wielkie fragmenty zostały zamknięte dla zwiedzających i tabor cygański z niedźwiedziem mógł tam czekać do zimy, zanim ruszą w cieplejsze strony albo

przezimują, zmarznięci i stłoczeni, ale uparci jak wrony. Najpierw jednak musieli się pozbyć martwego niedźwiedzia. Kremacja wydawała się najlepszym rozwiązaniem. Oksana, rozpaczająca bardziej niż pozostali, dostrzegła w tym coś stosownego, niemal poetyckiego.

Zbudowali stos pogrzebowy z gałęzi, a także paru brzózek i lip, których braku, jak osądzili, nikt nie zauważy, i wtoczyli na wierzch skurczone, wysuszone ciało niedźwiedzia. Zapadła noc, liście wciąż czepiające się gałęzi czerniały na tle indygowego nieba z wielkim bladym księżycem.

Żółte płomienie lizały z trzaskiem gałęzie, wysuszając soki w chmurze gryzącego czarnego dymu, który przesycił powietrze smakiem prawdziwej jesieni i goryczy. Ich jęzory okręcały się wokół pni brzóz, długie loki białej kory szeleściły i paliły się jak papier, przez chwilę obrysowane czerwienią, potem niknące w blasku czystego pomarańczowego ognia. Płomienie dosięgły martwego niedźwiedzia i zapach liści został zduszony przez swąd płonącej sierści.

Wszyscy wtedy się rozproszyli, radzi, że ogień jest gorący i jasny, więc rankiem nie zostanie nic prócz paru popielatych kości, łatwych do połamania na długie ostre drzazgi i pogrzebania. Została tylko Oksana, z oczami łzawiącymi od smrodu. Obejmowała ramiona, gdy fala żaru uderzała w nią raz za razem, a tłusta sadza siadała jak czarne płatki śniegu na jej włosach, rzęsach, policzkach, ustach. Niedźwiedź na szczycie stosu jak gdyby ożył - kończyny wykrzywiły się w żarze, jakby kiwały, by do niego dołączyła. Rozumiała, że ruch jest wynikiem skurczów wysuszanych mięśni, zanim obrócą się w popiół. Ale rozumiała też, że nie ma sensu czekać, aż zrobi się stara i schorowana jak Misza, aż jej ciało spocznie na własnym stosie pogrzebowym. A może ją pogrzebią - przepełnił ją niesmak, nie sprawiała jej przyjemności myśl o ciemnościach, wilgotnym zapachu ziemi i nieuniknionych robakach. Woląa odejść teraz, w wybuchu płomieni, jak wiele cygańskich kobiet w dawnych czasach. To będzie jej jedyny akt sprzeciwu wobec losu - pokrzyżuje mu szyki, przed czasem rzucając się w jego objęcia. Oksana odetchnęła głęboko parę razy, jak przed skokiem do wody, a nie w ryczące płomienie ze skwierczącym padłem niedźwiedzia. Płomienie skoczyły w górę, liżąc blady księżyc czerwonymi psimi językami, i zakrzywiły się do wewnątrz, otwierając ciemne rozjarzone przejście. Oksana zamknęła oczy i weszła, podnoszona przez nieznośnie gorące tchnienie z serca stosu. Jej stopy oderwały się od ziemi i unosiła się przez chwilę, otoczona lśniącymi ścianami ognia, jej rozpostarte ręce łopotwały jak ptasie skrzydła, aż podmuch z siłą oceanicznej fali rzucił ją w stronę

martwego niedźwiedzia i poczuła, że oboje - płonąc, płonąc - spadają w pusty ocean ciemnego październikowego nieba.

Fiodor milczał - co mógłby powiedzieć? Niczego nie obiecywał, był niewinny, a jednak wina gromadziła się tuż pod powierzchnią, gotowa wypłynąć. Patrzył na szczury omywające ciemnym strumykiem drobne stopy Oksany. Zdawało się, że kolejne wylazą ze szczelin w chodniku i z domów, dołączając do lśniącej chmury brązowego futra. Podniósł głowę, spojrzął na białe ptaki na drzewach.

- Widać tutaj tylko te albinosy - powiedział, żeby przerwać krępujące milczenie. - Ciekawe, co się stało z czarnymi.

- Nie ma tu takich.

- Chodzi mi o te, które przyleciały z powierzchni. Te, za którymi przyszliśmy.

Oksana pokiwała głową.

- Słyszałam, jak David i Sowin o tym rozmawiali, ale sama ich nie widziałam. Siostra dziewczyny, która przyszła z wami, jest jednym z tych ptaków, prawda?

- Podobno. Ale czy to nie dziwne? Przyleciały tutaj i zniknęły.

- Dziwne - zgodziła się i umilkła.

Wiedział, że Oksana nie chce rozmawiać o ptakach ani o gangsterach, o niczych sprawach. Rozpamiętywała osobisty ból, który wszystko inne spychał na drugi plan. Fiodor nie miał do zaoferowania pociechy, ale też wiedział, że ona nie chce, by ją pocieszano.

- Czy twoje szczury mają imiona? - Zapytał.

Skinęła głową.

- Ten to Aleks, a tu Sasza, i Sonia, Masza i Artiom.

- Potrafisz je rozpoznać?

- Różnią się. Poza tym powiedziały mi, jak mają na imię. Próbuje powiedzieć więcej, ale nie rozumiem.

- Jeden oglądał monetę, którą mi dałaś. Chyba poczuł twój zapach.

Rozbłysk blaskodrzewa przemienił jej uśmiech, nikły i smutny, w chwilowy trupi grymas.

- Lubią mnie, a Sowin nie ma nic przeciw temu, że spędzają ze mną czas. Chcesz zobaczyć ich sztuczki?

- Jasne. - Fiodor chętnie przystałby na wszystko, byle oderwała się od ponurych myśli i przestała uzalać nad sobą. - Muszą ich być setki.

Oksana zagwizdała na szczury, które utworzyły formację - niewyraźna plama szarych ciał uformowała się, gdy szczury się rozstąpiły niczym Morze Czerwone i utworzyły równe rzędy po bokach. Ich oczy lśniły w zmierzchu jak czerwone węgle.

Oksana znów gwizdnęła i szczury posłuchały - skakały jeden drugiemu na grzbiet, tworząc wysokie kolumny zamiast rzędów. Fiodor podziwiał ich organizację i architektoniczną pomysłowość - kolumny miały podstawy z kilku tuzinów szczurów i zwężały się ku górze, a szczyt każdej wieńczyło tylko jedno zwierzę.

- Ładne - pochwalił.

Uśmiechnęła się.

- Spójrz na to. - Zagwizdała długą smutną nutę, która drżała w powietrzu o chwilę za długo, i szczurze kolumny skrzyły się, runęły jedna na drugą.

Szczury utworzyły łańcuchy, łącząc się splecionymi ogonami i chwytając za przednie łapki; łańcuchy pogrubiały, wijąc się, odrywając od ziemi, przybierając kształt. Fiodor rozpoznał dwie grube nogi i pękaty tułów, dwie łapy i okrągłą głowę z długim pyskiem. Stworzenie stanęło przed nim, chwiejąc się lekko. Roześmiał się.

- To najdziwniejsza rzecz, jaką dotąd widziałem. Niedźwiedź ze szczurów. Umie chodzić?

Dzięki cudowi koordynacji, wysiłku i chęci sprawienia przyjemności, stworzenie zrobiło jeden mozolny, posuwisty krok. Łapy kołysały się swobodnie, niepokojąco sugerując połamane kości.

Oksana przekrzywiła głowę, krytycznie patrząc na stwora.

- Co myślisz?

- Robi wrażenie - odparł Fiodor. - Zawsze mnie zdumiewało, jak bystre są te stworzenia, szczury i wrony. A to tylko szkodniki, prawda?

- Prawda - odparła. Jej uśmiech zgasł. - Jak Cyganie, to chciałeś powiedzieć?

- Nie. Wiem, jak widzą was ludzie. Ale gdy byłem mały, mama wciąż powtarzała, że ukradną mnie Cyganie.

- Jasne. Zwalaj winę na wychowanie.

- Chyba chciałem zostać ukradziony. I tak, wiem, że nie kradniecie dzieci, ale nie o to chodzi. Skarżysz się, że traktowali cię inaczej...

- Ty też.

- Ja tylko chciałem czegoś magicznego. Przepraszam. Nie wiedziałem, że inny zawsze musi być zły.

- Oczywiście. Twierdzenie, że inność może być lepsza, jest w rzeczywistości uznawaniem własnej pośledności, a kto chciałby się na to zgodzić?

Niedźwiedź ze szczurów zrobił kolejny chwiejny krok. Oksana osądziła, że chodzenie jest bezpieczne, i pozwoliła mu podążać za nimi.

Śpiące ptaki albinosy zbudziły się i patrzyły podejrzliwie na niedźwiedzia błyskającego miriadami szczurzych ślepiów, obwieszzonego festonami nagich ogonów. Niektóre nawet ciągnęły w ślad za nim, przeskakując z drzewa na drzewo, cicho skrzecząc.

Zawrócili w stronę karczmy, białe ptaki za nimi.

- Przynajmniej ten niedźwiedź nie umrze - powiedział Fiodor. - Stworzyłaś sobie nieśmiertelnego pupila, który cię nigdy nie opuści.

Z uśmiechem skinęła głową i przyśpieszyła kroku, aż spódnica zaszeleściła wokół łydek. Dobrze, pomyślał Fiodor. Wreszcie znalazł właściwe słowa.

TIMUR-BEJ

Tej nocy Galina nie mogła zasnąć, a przecież w ciepłym domu Sowina, pachnącym zwierzętami, przesyconym ciężką, upajającą wonią siana, zaśnięcie powinno być łatwe. Jednak za każdym razem, gdy zapadała w półsen, śniła o Maszy, czasami dziewczynie, czasami ptaku. Masza płakała, wyciągała do niej czarne jak smoła skrzydła i wołała ją słodkim głosem.

- Gdzie jesteś, Gałka? Dlaczego po mnie nie przychodzisz?

- Jestem - odpowiedziała Galina. - Szukam cię.

- Nie zostawiaj mnie tutaj - błagała Masza. - Proszę, nie zostawiaj mnie, nie zapomnij o mnie.

- Nigdy cię nie zostawię.

- Znajdź mnie za śmiercią, za rzeką.

Oczy Maszy w ptasiej twarzy zrobiły się duże, szerokie i ludzkie. Galina zbudziła się z drżeniem, wciąż słysząc brzmienie jej wysokiego głosu. Usiadła na dmuchanym materacu, już miękkim; musiała być w nim dziurka. Miała pokój dla siebie - lata niedostatku i przyzwyczajenie do ciężkiej pracy skłoniły Sowina do budowania z rozmachem, gdy nadarzyła się okazja, więc jego dom był wielki, nieregularny, z labiryntem niedużych pokoi. Nagie belki ścian, ciepłe i pogryzione przez korniki, były pod jej palcami szorstkie i krzepiące.

Pomyślała o tym, co powiedział jej Jakow, i poczuła niepokój. Martwiła ją ciemność spowijająca plany współników Siergieja i ich podziemnych sprzymierzeńców. Już w dzieciństwie nauczyła się, że zasadniczo wszechświat jest przewidywalny, nawet jeśli życie nie zawsze układa się zgodnie z planem. Nie spodziewała się, że postawiona w liceum diagnoza uniemożliwi jej studia, ale sprawy przybrały właśnie taki obrót i nie mogła znaleźć pracy bez formalnego wykształcenia,

z samą tylko dobrą znajomością angielskiego, francuskiego i niemieckiego. Samodzielnie uczyła się języków, w szpitalu psychiatrycznym, po prostu dla zabicia czasu. Wtedy obce słowa i dziwne litery odpierały czyhające wokół łóżka bestie, dyszące i czarne jak smoła. Były jej talizmanami, te słowa, ich różne odcienie, które niczym maski skrywały tę samą treść. Na świecie panował porządek, nawet jeśli od czasu do czasu w przebraniu. Płoszył potwory.

Siedziała na podłodze, plecami przyciśnięta do drzwi, i szeptała swoje ochronne zaklęcia - szeptała słowa oznaczające chleb, ziemię, powietrze we wszystkich czterech językach po kolei. Woda. Szkło. Świat. Koszmary przycichły, pozostawiając tylko uczucie tęsknoty i konsternacji.

Zapukała do drzwi Sowina, który z dawnego nawyku nie sypiał po nocach; widziała nikły blask łojowych świeczek sączący się przez nierówną szczelinę pod drzwiami.

- Wejdz. - Nosił długą bliznę, a jego chude starcze nogi przywodziły na myśl bociana; kufajka narzucona na poplamioną koszulę zwisała jak para atroficznych szarych skrzydeł.

- Śniła mi się siostra - powiedziała. - Kazała się szukać za rzeką. Wiesz, co to znaczy?

- W pobliżu płynie rzeka - odparł i usiadł na zamkniętej na kłódkę skrzyni w nogach wąskiego, idealnie zasłanego łóżka, które przypomniało jej szpital.

- Skromnie mieszkasz.

Skinął głową.

- Im mniej masz, tym mniej stracisz.

- A może im więcej stracisz, tym mniej masz.

- Możliwe. Ale rzeka... Nie przekraczamy jej często, bo wodniki i rusalki nie lubią, gdy ludzie brudzą wodę. I przeprawa może być skomplikowana. Na drugim brzegu rośnie las Berendeja.

- Nikt go jeszcze nie widział, prawda?

Pokręcił głową i zaniósł się mokrym kaszlem.

- Przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Zemuna się martwi, a Kościej rwie się, żeby coś zrobić. Teraz każdy myśli, że on coś kombinuje, więc chce udowodnić, że zawinił ktoś inny.

- Myślisz, że to on?

- Nie - odparł Sowin. - Jest postacią chtoniczną, tacy zawsze demonizują bez powodu. Ludzie po prostu nie lubią niczego, co się kojarzy ze śmiercią i brudem. Czy masz pojęcie, jak ty i ja różnimy się od wszystkich na powierzchni? Większość ludzi wolałaby umrzeć niż żyć pod ziemią, bez słońca.

- Nie chcę zostać tutaj na zawsze. Tylko tyle czasu, ile będzie potrzeba na odnalezienie siostry.

Sowin otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale po namyśle zmienił zdanie i tylko westchnął.

- Dziękuję - powiedziała Galina. - Wiem, że to może zabrać całą wieczność. Po prostu nie chcę teraz o tym myśleć.

- To miejsce wsysa człowieka. Tu jest wygodnie, z początku jesteś ciekawa, co jeszcze można tu znaleźć, chcesz eksplorować, a potem po prostu osiadasz, budujesz dom i spędzasz dni na grze w warcaby.

- Mnie to nie spotka.

- Chyba nie. - Przeżuł powietrze bezzębnymi ustami. - Zakładam, że kochasz siostrę.

Galina pokiwała głową. Wybaczyła Maszy ślub i dziecko; teraz tylko chciała ją odzyskać.

- Tak mi przykro - szepnęła, zapominając o Sowinie. - To wszystko moja wina.

- Zachowaj ostrożność - przykazał. - Spójrz na Davida, gdybyś potrzebowała przypomnienia. Kochał żonę, a jednak nigdy nie zrobił nic, żeby wrócić. Teraz jest dla ciebie odpowiednia chwila, bo wszyscy rozmawiają o sądnym dniu i o tym, że powierzchnia nas zagarnie, wszyscy się boją. Może namówisz kogoś, żeby poszedł z tobą za rzekę. A jeśli chcesz mojej rady, idź jutro, idź, dopóki ból jest jeszcze dość świeży, żeby cię zagrzewać. W dniu, w którym cierpienie stępuje, zamieszkaż tutaj i będziesz pijać herbatki z jaśnie panią Eleną.

- Nie lubisz jej?

- Nie tylko jej. Nie cierpię arystokracji.

- Wydaje się miła.

- O tak, jest. Ale chodzi mi o zasadę.

- Jak możesz nienawidzić kogoś dla samej zasady?

Sowin westchnął i zamknął oczy.

- To łatwiejsze niż myślisz.

Galina wstała.

- Dziękuję. Jutro pójdę. Przypuszczam, że nie wybierzesz się ze mną?

Pokręcił głową, zniechęcony.

- Czuję się stary. Nie chce mi się eksplorować. Będiesz tu zawsze mile widziana, ale to wszystko, co mogę dla ciebie zrobić, przykro mi.

Wróciła do swojego pokoju, szepcząc *Je ne sais pas* i *Ich weiss nicht* do siebie, żeby się ustrzec przed chaosem. A więc rzeka istniała; czy to znaczyło, że postać Maszy w jej śnie była prawdziwa? Ale od samego początku spodziewała się rzeki, ciemnej, krętej, pachnącej kurzem, z samotnym wioślarem, który przyjmie miedzianą monetę w dłoń, krzepką i pomarszczoną, jakby wyrzeźbioną z ciemnego drewna - i czy to miało jakieś znaczenie? Ważniejsze były wskazówki i byłaby głupia, gdyby nie podążyła za nimi.

Z tą myślą przyszło ogromne zmęczenie, więc położyła się na prawie płaskim materacu. Jeszcze nim zamknęła oczy, zafalowała przed nią ciemna woda i mała plamka światła, rosnąca, gdy łódź podpływała bliżej, kierowana przez latarnię mrugającą na dziobie.

Nazajutrz rano zapytała Fiodora i Jakowa, czy chcą iść. Jakow chciał. Fiodor pomyślał trochę i pokręcił głową.

- Zemuna pójdzie z nami - powiedział Jakow. - Wczoraj z podnieceniem powtarzała, że trzeba coś zrobić. Jeśli ją poprosisz, będzie musiała pójść. Rozpytaj się, zobacz, kto jeszcze jest dzielny.

- Chyba musimy zabrać tego bandziora, Siergieja - powiedziała Galina. - Może rozpozna głos, który słyszał.

- Niezły pomysł. Tylko że jest niebezpiecznym człowiekiem, nawet jeśli niedawno został wskrzeszony.

- Zabierzcie tylko jego duszokamień - podsunął Fiodor.

- To na nic. Jak z tym czymś pogadasz? Za pośrednictwem medium?

- Może przełożyć duszę do czegoś innego? Może w szczura.

- One też nie mówią - zauważyła Galina.

- Kurwa mać! - Fiodor trzasnął pięścią w stół. - Ja tylko próbuję pomóc!

- Jeśli chcesz pomóc, chodź z nami - powiedziała Galina.

Fiodor się skrzywił.

- Robię, co mogę. Nie muszę was tam prowadzić, wiesz?

- Dość kłótni - oświadczył Sowin. - Zemuna i Kościej coś wymyślą.

Znaleźli wszystkich w karczmie. Galina zastanawiała się, czy ktoś poszedł do domu, czy może przez całą noc siedzieli za drewnianymi stołami, wyprostowani i cisi w ciemności.

- Odchodzę, żeby przebyć rzekę - powiedziała do Zemuny. - Szukam kogoś, kto pójdzie ze mną.

- Kogoś znajdziemy - obiecała krowa. - Pomyśleliśmy też, że musimy zorganizować ekspedycję na powierzchnię.

Galina przyznała jej rację, ale ten pomysł nasilił jej niepokój. Jeśli Siergiej powiedział prawdę - a nie miała powodu wątpić w jego szczerość - to kto wie, co knuli jego byli koledzy? Przyszła jej na myśl wizja pustego miasta, wyludnione ulice ze śmieciami niesionymi przez wiatr po chodnikach, stada ptaków siedzących na drutach elektrycznych i czerniących niebo; wyobraziła sobie, jak patrzą z dachów, zaglądają przez okna do swoich dawnych mieszkań, tęsknią za życiem, które musiały porzucić. Pomyślała o matce, starej siwej wronie, i o dziecku Maszy - byłoby ledwie pisklęciem, nieumiejącym latać.

A co z babcią, zamkniętą w szpitalu, wśród ścian pokrytych spękaną farbą w kolorze sików? Co ze starą samotną kobietą, z siecią zmarszczek wokół oczu i ust, siedzącą na szpitalnym łóżku, zastanawiającą się mętnie, dlaczego już nikt jej nie odwiedza, nawet córka - czyż nie miała córki? Pamięta mysie ogonki i tanie wzorzyste sukienki, pamięta cerowanie białych wywijanych skarpetek, ale dziewczynki zlewają się, córka, wnuczki, siostrzenice, bratanice i dzieci ich dzieci, liczna rodzina i przyjaciele; nie mogła zapamiętać imienia Galiny i zawsze najpierw musiała wypróbować kilka innych imion.

Galina współczuła babci w ten abstrakcyjny sposób, jaki rezerwuje się dla starych - generalna litość nad zniedołężnieniem i podupadaniem na zdrowiu, rozpoznanie własnego losu u innej osoby. Współczuła staruszkom, które nieśmiało czekały przy ławkach, gdzie młodzi ludzie śmiali się i pili piwo, żeby w stosownej chwili szybko pozbierać puste butelki i zamienić je w punktach skupu na drobniaki, by uciąć na butelkę mleka i trochę taniej ryby dla kota, by polepszyć nędzną egzystencję na rządowej emeryturze, która się nie zmieniała, podczas gdy ceny z dnia na dzień się podwajały, potrajały, wzrastały czterokrotnie. Współczuła starcom, którzy przypinali orderzy do wyświechtanych marynarek, żeby zakryć dziury w klapach, i którzy chudli z dnia na dzień.

Najbardziej żałowała chronicznie chorych, zagubionych, załamanych, niezdolnych zatroszczyć się o siebie, upchniętych po czworo czy pięcioro w szpitalnym pokoju. Z początku odwiedzała babcię, gdy wciąż była nadzieja, że wróci do domu. Gdy stało się jasne, że zostanie tam na zawsze, zakończyła wizyty, nie mogąc znieść poczucia winy. Teraz nie mogła przestać myśleć o tym, czy starzy ludzie też ulegną przemianie w ptaki, czy może będą tkwić w szpitalu, zapomniani, opuszczeni, z początku zastanawiając się, dlaczego nie ma obiadu, a potem po prostu godząc się z tym faktem, jak ze wszystkimi niepojętymi, lecz niebywale okrutnymi kolejami losu.

Jakow, Zemuna i Kościej odbywali naradę, a Sowin i David przysłuchiwali się pilnie. Fiodor błąkał się po karczmie, jakby kogoś szukał - Galina przypuszczała, że cygańskiej dziewczyny, którą wczoraj był tak zajęty.

- Przepraszam.

Odwróciła się i zobaczyła wojownika, średniowiecznego Tatara-Mongoła. Musiała patrzeć w dół, bo był niski, a na domiar miał pałakowate nogi, które jeszcze bardziej zmniejszały jego już mało imponujący wzrost. Rąbek długiego filcowego płaszcza muskał podłogę, niemal zakrywając buty o miękkich podeszwach.

- Słucham? - Zapytała.

- Nazywam się Timur-bej. Słyszałem o twojej siostrze - powiedział. - Przykro mi. Czy mogę jakoś pomóc?

- Możesz pójść ze mną. Ale dlaczego? Nikt tutaj, jak się zdaje, nie ma ochoty włączyć się po lasach Berendeja.

Spojrzał na nią pozbawionymi wyrazu wąskimi oczami. Galina zdała sobie sprawę, że człowiek stojący przed nią jest bardzo, bardzo stary - pięćset lat? Sześćset?

- Pokuta - powiedział. - Jeszcze nie odpokutowałem swoich zbrodni.

- Chodzi ci o Złotą Ordeę?

Wzruszył ramionami.

- Robiliśmy, co musieliśmy, ale są okrucieństwa, jakich dopuszczałem się bez przymusu.

Uśmiechnęła się do niego.

- Mam na imię Galina. Jestem wdzięczna za pomoc, bez względu na to, jakie zło wyrządziłeś.

Lekko skinął głową, przerzucając przez ramię długi czarny warkocz przetykany paroma srebrnymi nitkami. Galina pomyślała, że wygląda jak wódz tatarski ze słynnego obrazu przedstawiającego bitwę na Kulikowym Polu - brakowało mu tylko

miedzianego hełmu i zbroi. Wyobraziła sobie małego mężczyznę w bojowym rynsztunku, walczącego z rosyjskim mistrzem, ogromnym mnichem Pierieswitem. Wyobrażenie było niemal komiczne. Potrząsnęła głową. To wszystko działo się dawno temu, a jednak jej lekko skośne oczy i kości policzkowe zarysowane jak skrzydła stanowiły świadectwo powiązania ze Złotą Ordą. Masza była wolna od tego dziedzictwa, miała nos jak guziczek i szare oczy. Masza, przypomniała sobie. Nie wolno się rozpraszać, nie wolno poznawać dziejów innych ludzi i patrzeć, jak się dostosowywali; nie ma znaczenia, czy historia ich skrzywdziła lub o nich zapomniała. Oni nie wygrywali wojen, nie wykazywali się męstwem; zwycięzcy nie poświęcili im jednej myśli i ona też nie powinna. Masza była jej jedyną troską, jej siostra była jej jedynym obowiązkiem.

Niebawem nadeszła pora ruszyć w drogę. Galina, Jakow, Zemuna, Timur-bej i Kościej mieli pójść nad rzekę oddaloną, jak oceniła krowa, o niespełna dzień marszu. David zapakował im chleb, piwo i trochę suszonych owoców na drogę.

- Przepraszam - powiedział. - Nie mamy świeżych. Gdy nie ma tu Berendeja, nikt nie przyniesie światła słonecznego do mojego ogrodu.

- Nic nie szkodzi - zapewniła Galina. - Widziałeś Elenę?

Skinął głową.

- Odeszła dziś rano. Powiedziała, że chce porozmawiać o czymś z rusałkami i wodnikami. Spokojna głowa, powiem jej o was, gdy wróci. Może prześle ci wiadomość przez któregoś ze swoich wodnych przyjaciół. Wypatruj ich, gdy dotrzesz do rzeki. Roi się tam od wszelkiego rodzaju duchów wody, na pewno będą skore do rozmowy.

- Dziękuję.

Jakow wziął tobolek od Davida.

- Niedługo wrócimy - zapowiedział.

David pokiwał głową.

- Uważaj na siebie, wnuku. - Wyrzekł to słowo z pewnym wysiłkiem, jakby wciąż się do niego przyzwyczajał.

- Oczywiście. Mało prawdopodobne, by coś poszło źle, prawda?

David wzruszył ramionami.

- To miejsce nie jest bezpieczne. Nie ma czegoś takiego jak bezpieczne miejsce. Na tej samej zasadzie nie ma dobrego cara, niezależnie, jak bardzo ludzie chcą w to wierzyć.

- Co zrobimy z Siergiejem? - Zapytała Galina Zemunę.

- Zajęliśmy się nim zeszłej nocy. Idzie z nami, Kościej go unieszkodliwił. - Wielkie smutne krowie oczy zerknęły na Kościeja, który wbił rękę do kieszeni surduta i wyjął dużego gawrona albinosa. Ptak miał przycięte skrzydła, a w jego ślepkach błyskało oburzenie.

- Pierdol się! - Zaskrzeczał.

- Spokojnie - mruknął Kościej. - Mówiłem ci, to tylko na jakiś czas. I naprawdę, drogi chłopcze, powinieneś być szczęśliwy, że zmartwychwstałeś, zamiast gnić w tej rzece, z węgorzami wślizgującymi się w oczodoły. Przez jakiś czas będziesz ptakiem. Ciesz się nowymi perspektywami, jakie się przed tobą otwierają.

- Włożyłeś duszokamień w tego ptaka? - Zapytała Galina.

Kościej skinął głową.

- Obiecałem, że w końcu uwolnię jego duszę ze szklanego zamknięcia, ale na razie wolę go mieć w postaci... Przenośnej.

- Nie wkurzaj mnie - zakrakał gawron Siergiej.

- Bo co? - Kościej potrząsnął kościstym palcem przed jego dziobem.

Gawron podjął nieudaną próbę dziobnięcia.

- Mam przyjaciół.

Kościej zachichotał - nieprzyjemny dźwięk przypominał skrobanie paznokciami po szybie.

- Nie, nie masz. Zabili cię, pamiętasz? Twoją jedyną szansą jest dobre sprawowanie i służenie nam pomocą. Jeśli się spiszesz, może znowu będziesz mógł żyć w ludzkiej postaci. - Kościej wepchnął wzburzonego ptaka do kieszeni.

- Wszyscy gotowi? - Zapytała Zemuna. - W takim razie w drogę.

Ruszyła pierwsza. Galina pomyślała, że trudno traktować poważnie ekspedycję, której przewodzi wielka lśniąca biała krowa, z wymionami kołyszącymi się w rytm energicznych kroków. Zastanawiała się również, czy gadające inteligentne zwierzęta nie powinny nosić ubrań, bo Zemuna wydawała się dziwnie naga.

Jakow i Kościej szli za krową, a Galina i Timur-bej zamykali tyły. Przypominali szkolną wycieczkę i Galina miała ochotę złapać Timur-beja za rękę. Pohamowała się, bo choć był mikry, wyglądał dość onieśmielająco. Poza tym, pomyślała, jego nikt nigdy nie zaganiał z grupą dzieciaków do muzeum czy na wystawę rolniczych osiągnięć kraju. To frustrujące, że nie łączyło ich ani jedno wspólne doświadczenie; czy okoliczności i czasy mogą być tak odległe, żeby absolutnie nic się nie pokrywało?

- Nie podoba mi się tutejsza trawa - powiedział Timur-bej. - Jest taka biała i mokra. Wiesz, jaka powinna być trawa? Złota i sucha, szepecząca na wietrze, falująca, rozstępująca się przed galopującym koniem niczym zasłona z paciorków. Powinna pachnieć słońcem, piołunem i macierzanką. Widziałaś kiedyś stepy?

- W zasadzie nie - odparła Galina. - Tylko na Krymie, byłam tam w dzieciństwie. Ale pamiętam zapach macierzanki, w gorące dni był tak silny, że kręciło mi się w głowie.

- Zgadza się. Na stepie przeżyłem większą część życia.

- Kiedy... Żyłeś? - Galina skrzywiła się, ale nie mogła wymyślić taktownej formy pytania.

- Za chana Uzbeka. Zaczął panowanie w tysiąc trzysta dwunastym, gdy byłem dzieckiem.

Pokiwała głową.

- Wybacz, że pytam, ale czy ludzie tutaj, pod ziemią, dobrze się do ciebie odnosili? Nie żywili urazy?

Parsknął śmiechem.

- Nie do chana Uzbeka. Sprzymierzył się z Moskalami, nie wiedziałaś? Moskale i Tatarzy razem walczyli przeciwko Twerowi.

Galina postanowiła zmienić temat - wolała nie zdradzać się z nieznaną osobą co bardziej subtelnych szczegółów historii, a poza tym historia, o której była mowa, raczej budziła niesmak. Dla mnie nie powinno to mieć znaczenia, osądziła, a jednak niepokoiła ją myśl, że jej miasto sprzymierzyło się z najeźdźcami, nawet jeśli stało się to ponad sześćset lat temu.

- Co cię tu sprowadziło? - Zapytała. - Byłeś w Moskwie?

Skinął głową.

- Uciekłem tam po stłumieniu buntu przeciwko chanowi Uzbekowi. Zmienił religię naszych przodków na islam, czego nie mogłem znieść wraz z paroma innymi generałami. Jak mogliśmy porzucić głosy duchów, jak mogliśmy zdradzić żywy step, który do nas szeptał?

Timur-bej miał trzy żony, ale step kochał bardziej niż każdą z nich. Codziennie rano wychodził ze swojej jurty i uśmiechał się do złotych fal, które rozciągały się od obozu po sam horyzont. Pozostał na dalekim posterunku, choć jako jeden z głównych doradców wojskowych chana musiał często podróżować do Saraj Batu; źle znosił te okresy nieobecności na stepie. Uczestniczył w wielu ekspedycjach militarnych. Brał

udział w tłumieniu powstania książąt twerskich, był przy podpisaniu traktatu z Wielkim Księstwem Moskiewskim.

Chan Uzbek wiele zrobił, żeby zjednoczyć wojujące plemiona; problem w tym, że postanowił wyrugować wiarę, która była prawdziwa, co Timur-bej czuł całym sercem - nie z żarliwości czy boskiej inspiracji, ale ponieważ trawa, niebo i jego koń, krzepki gniadosz, mówiły do niego wieloma głosami. Nigdy nie postawił brudnej nogi w strumieniu, żeby nie obrazić duchów wody.

Przez kilka lat zmagał się z nową wiarą, ale w końcu postanowił odejść.

- Kłopot w tym - powiedział Galinie - że niełatwo odejść ze Złotej Ordy. Była ogromna. Jak można odejść ze świata? - Uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały smutne. - Moskale byli naszymi sprzymierzeńcami, pozostawali jednak w zależności, nie należeli do Złotej Ordy. Dlatego przybyłem tutaj.

- Jak długo wytrwałeś?

Wzruszył ramionami.

- Niedługo.

- Przykro mi.

- Ale czy można winić owce, jeśli wilk, który nocą wykradł ich młode, który żądał runa z ich grzbietów, przychodzi do nich i mówi: „Zmieniłem się, teraz chcę żyć wśród was jako brat?”. Czy można winić owce, gdy wilk mówi: „Nie będę jeść tego, co wy, ani czcić waszego Boga, ale chcę, żebyście mnie przyjęły?”. Czy można winić owce?

- Nie. Choć nie podoba mi się to porównanie do owiec.

Pochylił głowę.

- Nie chciałem cię obrazić. Ale masz rację, sądząc po paru moich przyjaciółach, metafora jest nieodpowiednia. Nie brakowało wilków wśród waszego ludu, i owiec gotowych do buntu.

- Kogo masz na myśli?

- Jest tu człowiek, który był opricznikiem - powiedział Timur-bej.

Galina skuliła ramiona, walcząc z chłodem, jaki niesło to słowo, tak stare, że niemal straciło sens. Pomyślała o armii Iwana Groźnego, o przytroczonych do siodła miotłach i psich głowach z czerwonymi jęzorami i mlecznymi martwymi ślepiami. W okresie, gdy uczyli się o opricznikach na lekcjach historii, miewała okropne koszmary, w których ją ścigali, z pyskami martwych psów ociekającymi śliną.

Timur-bej patrzył na nią spod ciężkich powiek.

- To straszne. Zło nie umiera, niezależnie jak bardzo je odpokutujesz. Stare zło zawsze jest świeże. Czteryście lat? Sześćset? Jakie to ma znaczenie?

- Ludzie powinni móc zapominać. Sprawy, które zdarzyły się dawno temu, nie mają znaczenia. Co by się z nami stało, gdybyśmy wciąż nienawidzili tych, którzy zrobili coś złego? Rosjanie nadal nienawidziliby Tatarów, Żydzi nienawidziliby Rosjan...

- Chcesz powiedzieć, że nie nienawidzą? - Przerwał jej Timur-bej. - A ciebie wciąż trapi myśl o opricznikach?

Skinęła głową.

- Po prostu jestem zaskoczona. Nie przypuszczałam, że znajdę tu kogoś takiego. To znaczy, dlaczego go wpuścili?

- Dlaczego ciebie wpuścili? - Timur-bej pokręcił głową tak energicznie, że warkocz chlasnął go po plecach. - Cnota nie ma tu nic do rzeczy. To miejsce mogą znaleźć tylko ci, których spotkała wielka krzywda. Żałuję, ale nie mogę ci powiedzieć, że cierpienie uszlachetnia.

- Wiem, że nie. Tylko...

- Chciałabyś, żeby uszlachetniało.

- To miałyby sens, prawda? Inaczej nie ma znaczenia.

- Ale jest szansa na odkupienie - powiedział Timur-bej. - A o więcej nie można prosić, prawda?

WIOŚLARZ

Jakow nigdy nie widział takiej rzeki. Czarna jak sadza, ze spokojną matową powierzchnią, lekko pomarszczoną, jakby w głębi narastało ogromne ciśnienie. Pasma mgły unosiły się nad martwą wodą, poruszając się z własnej woli, skręcając i rozkręcając jak wstążki; opadały ku powierzchni i płynęły w górę, zestalały się w gęste straszne chmury i rozpadały w bezustannym hipnotycznym tańcu. Jakow nie mógł zdecydować, czy bardziej niepokoi go pozorne życie mgły, czy jej bezmyślna stereotypia.

Nad rzeką brakowało roślinności, nawet blaskodrzewa nie ośmieliły się skolonizować jałowego bazaltowego brzegu, naturalnego czy sztucznego, nie był pewien. Nawet blada trawa odsuwała się od czarnej powolnej wody i kłębiącej się nad nią żywej mgły.

- Jak się przeprawimy? - Zapytał.

Krowa popatrzyła z zadumą na rzekę.

- Zaczekamy na wioślarza.

Jakow zerknął przez ramię na Galinę.

- Słyszałaś?

Skinęła głową.

- Mówiłam ci, że tu na dole jest gdzieś Styks. Powinniśmy zabrać ze sobą Fiodora i jego monetę.

- Kiedy zjawi się wioślarz?

Kościej wzruszył ramionami.

- Kiedy będzie chciał, cholera. Nie śpieszy się, ten wioślarz.

- David mówił, że Elena może przesłać nam wiadomość - powiedziała Galina. -
Przez rusalkę albo wodnika.

- A w jaki sposób mogłoby to nam pomóc w poszukiwaniach? - Zapytał Kościej.

- Na pewno nie przeszkodzi - mruknęła Zemuna.

Jakow obserwował mgłę, mając nadzieję, że wypłynie z niej łódź, sunąca po czarnej jak sadza powierzchni, kierowana przez wysokiego mężczyznę na rufie, z długą tyczką w pomarszczonych dłoniach. Potrząsnął głową, przepędzając tę wizję.

- Dlaczego pomyślałaś, że tu będzie rzeka? - Zapytał szeptem Galinę. - Skąd wiedziałaś?

Wzruszyła ramionami.

- W podziemnym świecie zawsze jest rzeka. Albo przynajmniej most.

Jakow zostawił ją, pogrążoną w rozmowie z Tatarem-Mongołem, i usiadł na brzegu, na wpół zły, na wpół zadowolony, że może pobyć sam.

Nie zawsze był taki, pokonany bez walki, obowiązkowy z nawyku. Kiedyś, świeżo po szkole, był rumianym młodzieńcem, który od dziecka chciał zostać policjantem, choć nie pamiętał, że pomyśli i marzenie o szaroniebieskim mundurze pochodziły z rymowanej ilustrowanej książeczki o bardzo wysokim policjancie, ratującym koty z drzew bez pomocy drabin czy żurawi.

Kiedyś był również kochankiem i mężem, optymistą. Patrzył w przyszłość ze swoją żoną Tamarą, dziewczyną tak różową i jasnowłosą jak on, pracującą w zakładach włókienniczych, dzielącą małe mieszkanie z ojcem alkoholikiem i cierpiącą bez skargi matką. Jakow pamiętał o teściowej tylko tyle, że miała najbardziej spektakularne ciemne kręgi wokół oczu, jakie kiedykolwiek miał nieszczęście widzieć.

Zakochali się i pobrali, i zamieszkali u matki Jakowa, którą Tamara chyba lubiła bardziej od własnej, choć czasami kłóciły się o drobiazgi. Jakow miał wrażenie, że obie są lekko zakłopotane, że tak dobrze się dogadują; przesądnie wszczywały zdawkowe utarczki (zwykle związane z zupą), żeby odeprzeć demony poważnej walki.

Nie lubił myśleć o tamtych czasach; gardził swoją naiwną głupotą i żałował, że ją utracił. Nienawidził siebie za tę zmianę, a jednak nie wyobrażał sobie, jak mógłby jej uniknąć. Wciąż pamiętał twarz Tamary, ale tylko dlatego, że jego matka nie zgodziła się, żeby zdjął ich zdjęcie ślubne ze ściany, gdzie wisiało obok ikony świętego Georgija. Nie potrafił zrozumieć słabości matki do świętego patrona miasta, smok czy nie smok. Smok zresztą był mało imponujący, chuderlawy, wielkości dużego psa, i nie miał skrzydeł. Mimo to spojrzenie Jakowa zwykle zatrzymywało się na nim, niechętnie przesunąć się w lewo, na zaróżowioną twarz Tamary, otoczoną chmurą białego welonu. W końcu zawsze spoglądał.

Teraz łatwiej było myśleć o tych czasach, tutaj, na solidnym bazalcie brzegu martwej rzeki, pod czujnym zadumanym spojrzeniem niebiańskiej krowy, która twierdziła, że stworzyła Drogę Mleczną; łatwiej było wierzyć w magiczną krowę niż we własną zdolność do szczęścia. Kościej Nieśmiertelny siedział opodal po turecku, drażniąc się z duszą przestępcy uwięzioną w tęgim gładkim ciele białego gawrona. Galina i Tatar-Mongoł sprzeczekali się o naturę pamięci i o to, czy można wybaczyć przewinę, wciąż o niej pamiętając.

Woda rzeki zafalowała. Mały pokryty łuską wodnik wynurzył się i ruszył do brzegu niezadarną żabką. Jego wodorostowe włosy rozkładały się niczym aureola, a ręce z błonami pławnymi, zielone i nakrapiane wielkimi trójkątnymi łuskami, rozbryzgiwały czarną jak smoła wodę. Wygramolił się na brzeg, jego wielkie wyłupiaste oczy badały ich twarze.

- Elena cię przysłała? - Zapytała Galina.

Mały wodnik nieśmiało pokiwał głową i przetrząsnął festony alg zdobiące jego ciało, by wyjąć zmięty, mokry list pokryty czarnymi wirami rzecznej wody, ale poza tym nieuszkodzony. Galina podziękowała mu i rozwinęła list.

- Co pisze? - Zapytała Zemuna, próbując wcisnąć wielki łeb pod jej łokieć, żeby lepiej widzieć.

- Że zastanawia się nad wysłaniem Fiodora, Wija i Oksany na powierzchnię. Radzi także zachować ostrożność.

- Doskonały pomysł - pochwalił Kościej. - Założę się, że wy, worki mięsa, nawet o tym nie pomyśleliście.

- Uważaj, nie jesteś taki niezniszczalny jak myślisz - mruknął gawron Siergiej. - Wiem, gdzie jest twoja śmierć.

- Ja też - dodał Jakow.

Gawron obrzucił go wyniosłym spojrzeniem.

- Oglądałeś kiedyś *W krainie baśni*?

- Tak, co sobotę rano... A może w niedzielę?

- W niedzielę. W sobotę była szkoła. Nie wiedziałem, że gliniarze lubili takie rzeczy.

- Miałem dziesięć lat - uświadomił go Jakow, ale się uśmiechnął. - Puszczali głównie filmy z lat czterdziestych i pięćdziesiątych.

- Te bajki były komunistyczną propagandą w przebraniu. Jakow przestał się uśmiechać.

- Nie sędzę.

- Jesteś taki naiwny - powiedział gawron. - Zrobili ci pranie mózgu i nawet o tym nie wiesz. Dlatego zostałeś gliną.

Jakow tylko wzruszył ramionami. Nie lubił, gdy niedawno poznane osoby wyrabiały sobie iluzoryczne wrażenie, że znają go lepiej niż on sam.

- Gdzie jest ten wioślarz? - Zapytał Zemunę.

Zamiast udzielić kolejnej wymijającej odpowiedzi, zalecającej cierpliwość i czekanie, Zemuna bez słowa podniosła kopyto. Przez mgłę, która dla odmiany wisiała nieruchomo jak kurtyna, Jakow zobaczył cień i usłyszał cichy plusk.

Mały wodnik zaskrzeczał i skoczył do rzeki, znikając jak kamień.

- Co w niego wstąpiło? - Zapytała Galina. Pomędzy jej ciemnymi brwiami pojawiła się pionowa zmarszczka.

- Boi się, że wioślarz weźmie od niego - wyjaśnił Kościej. - Głupie stworzenie. Wioślarza nie obchodzą duchy, bogowie i ci, którzy już zapłacili. Bierze tylko od mięsistych, a ten - wskazał ponurego gawrona, siedzącego mu na ramieniu - ten już nie żyje. Tym sposobem, jak myślę, zostajecie tylko wy dwoje.

Jakow i Galina wymienili zaniepokojone spojrzenia.

- Co zabiera? - Zapytał Jakow. - I dlaczego nikt nas nie uprzedził?

- Niebawem się dowiecie - odparł Kościej i uśmiechnął się drwiąco. - Może to was oduczy paplania o tym, gdzie ludzie chcą trzymać swoją śmierć.

- Kiedyś płynąłem przez rzekę - powiedział Timur-bej. - Bierze wspomnienia, nic innego.

Jakow chciał wiedzieć więcej - jakie wspomnienia i dlaczego - ale wąska łódź z szarego drewna dotknęła brzegu. Starzec popatrzył na nich, na łąki i lasy za ich plecami.

- Wsiadajcie - powiedział obojętnym melodyjnym głosem kupca - wsiadajcie, jedno wspomnienie od grupy za podróż w obie strony.

- Jakie wspomnienia zabierasz? - Zapytała Galina.

- Cenne. Będziesz za nimi tęsknić i zastanawiać się dzień i noc, co takiego zapomniałaś - odparł wioślarz. - Ty płacisz?

- Ja - powiedział Jakow. - Nie sędzę, żeby brakowało mi jakichś wspomnień.

Głęboko osadzone oczy w pomarszczonej, twardej niczym rzemień twarzy wpatrzyły się w niego. Rzadkie pasma białych włosów wioślarza powiewały na wietrze i stapiały się z mgłą.

Jakow poczuł w sobie nieprzyjemną obecność, jakby koścista ręka wioślarza sięgnęła w głąb jego duszy i przesiewała zawartość, wyplukując złote samorodki.

- To będzie dobre - usłyszał w końcu. Poczł ukłucie, gdy coś się w nim oddarło. - Chcesz pomyśleć o tym ostatni raz?

Jakow pokręcił głową.

- Bierz - powiedział i zamknął oczy.

Wioślarz widział mnóstwo wspomnień, ale to nowe stanowiło cenny dodatek. Miało skomplikowany bukiet - sugestia permanentnego przygnębienia tworzyła gorzkawe tło dla rozgrzanej do czerwoności furii i bezradności. Ta mieszanka sprawiła, że pod wioślarzem ugięły się kolana i chętnie by zapomniał o bieżącym zadaniu. Tyczka wbiła się w muliste dno, pchnęła, uniosła się w znajomym ruchu, który pozwolił mu skupić uwagę na delektowaniu się nowym nabytkiem. Dobry wybór, osądził, dobry wybór. Niezupełnie oryginalny, niemniej jednak ekscytujący. Głębia emocji. Smutek tak wielki, że jego martwe serce stało się nagle szkarłatne i ciężkie, jak róża perska ociekająca miodem i rosą.

Rozwód, powolny melancholijny żal, wir mlecznej bieli przysłaniający pulsującą czarną dziurę w środku pamięci. Wioślarz zdumiewał się, że nie ma tu imion i bezpośrednich nawiązań - tylko zawoalowane aluzje, spowite w wiele cienkich jak gaza warstw okoliczności i nieistotnych szczegółów. Drżąc z podniecenia, zerwał je niczym bandaż z rany, przygotowany na nieuchronny gorączkowy rozkwit gangrenowatego kwiatu.

Jest. Powijaki, niebieski kocyk w żółte kacuszki i czerwono-zielone arbuzy, wir puszystych białych włosów, skręcony zgodnie z ruchem wskazówek zegara na ciemieniu maleńkiej główki. Zdumienie, to samo u każdego dorosłego, na widok drobnych paluszków i paznokietków, maleńkich jak różowe muszelki znajdowane na piaszczystych plażach Bałtyku. Jakie małe, jakie ludzkie, jakie żywe - aż rozum nie chce dać temu wiary. I uznanie dziecka za własne wykraczało poza granice prawdopodobieństwa.

Wioślarz zdumiewał się przez chwilę zdolnością Jakowa do oszukiwania samego siebie - wspomnienie było pogrzebane tak głęboko pod stertami nieistotnych odpadków, że niemal je przeoczył. Nigdy nie nudziły go nowości, te dziwne samorodki radości i bólu, które ostrożnie, skrupulatnie wyluskiwał z dusz ludzi przychodzących

na brzeg jego rzeki; nie mógł zrozumieć, dlaczego z taką desperacją próbują je skrywać.

Jak dziecko, które obraca na języku twardy cukierek, rozkoszując się wyjątkowym smakiem i konsystencją, obracał w głowie obraz niemowlęcia, jego szczelnie zamkniętych oczu i zaciśniętych piąstek. A potem niemowlę zniknęło, tak po prostu, zostawiając po sobie zwinięty kocyk w czerwono-zielone melony i żółte kaczuszki, i wioślarz nie mógł zrozumieć, gdzie się podziało. Przetrzęsał wspomnienie, przekładając fragmenty i obrazy jak więdnące płatki, patrząc, szukając odpowiedzi, ale znajdował tylko kolejne woale, jedno wyrzucone opakowanie po drugim, a pomiędzy nimi tylko popiół.

Wreszcie spojrział na zewnątrz, na ludzi kucających w łodzi. Jakow, jasnowłosa mężczyzna, który parę minut temu zapłacił rachunek, trzymał się za głowę, a siedząca obok niego kobieta poklepywała go po ramieniu w słabym geście pocieszenia.

- Daj spokój - powtarzała. - Nie może być tak źle. Mężczyzna tylko kręcił głową i patrzył z udręką w oczach.

- Przepraszam - powiedziała kobieta. - Czy mogę coś zrobić?

- Nie.

Wioślarz wziął zapłatę i wiedział, że nie ma prawa prosić o więcej. Ale ciekawość wzięła górę. Przestał popychać łódź i zostawił tyczkę wlokącą się w czarnej wodzie za rufą.

- Co się stało z dzieckiem? - Zapytał Jakowa.

- Jakim dzieckiem? - Szepnął.

- Nie baw się ze mną w kotka i myszkę. Wiesz, co zabrałem. - Wspomnienia, które wyłuskiwał, nie znikwały, tylko traciły znaczenie emocjonalne; zostawały puste skorupy faktów.

- Nie muszę ci nic mówić - mruknął rozdrażniony Jakow. - Daj mi spokój.

Wioślarz wrócił do kontemplowania nowego wspomnienia. Było niepodobne do innych, małe, a zarazem zniekształcone i pełne zawilosci. Przebiegał ten labirynt, pokonując każdą przeszkodę, badając każdą ślepą uliczkę, każdy zakręt i ukryty zakamarek. Był w tym dobry - karmił się ich wspomnieniami, odkąd zaczęli tu przychodzić, i nie pamiętał co porabiał wcześniej; wspomnienia zabrane innym zastąpiły jego własne.

Pomyślał o amerykańskiej tancerce, o jej wspomnieniach otulonych warstwą obcego języka; rozpoznawał tylko jej wizerunki, gdy stała otoczona przez kilkoro

dzieci (Jej? Cudzych?), drżących w śnieżną noc, przy czarnym molo w jakimś nieznanym porcie, gdzie lód obrzeżał ciemną wodę morską i kry tarły o siebie z powolnym zgrzytliwym dźwiękiem. Pamiętał scenę i pełne napięcia twarze widowni, i czerwone draperie wirujące w jej polu widzenia, gdy z rozrzuconymi rękami kręciła pirueta przez wieczność. Pamiętał twarz jasnowłosego mężczyzny, niegdyś przystojną, ale teraz zniszczoną przez alkohol i zarywane noce, i tę samą twarz później, tłącą się ruinę, zgruchotaną strzałem z pistoletu. Te obrazy były symbolami tajemnicy, pozostały niewyjaśnione, lecz przez to nie mniej cenne.

Wioślarz zastanawiał się, czy ten wewnętrzny przymus smakowania wspomnień innych ludzi jest chorobą. Zastanawiał się, czy mógłby brać coś innego jako zapłatę, może jedzenie lub pieniądze, albo czy w ogóle nie powinien przewozić ich za darmo. Nie cieszyło go zadawanie bólu; dawniej wierzył, że im pomaga, uwalniając od tortur emocjonalnych i udręki niespełnionych pragnień. Dawniej myślał, że czyni dobro.

Obojętne jak bardzo dręczyły ich wspomnienia, cierpienie stawało się dotkliwsze, gdy zostały im odebrane - rana ropicie i zaognia się po wyjęciu drzazgi, aż człowiek zaczyna rozważać, czy nie byłoby lepiej, gdyby zostawił przyczyny jątrzenia. Wspomnienia stawały się ich częścią, przemienione z ciał obcych w integralne elementy duszy. Wioślarz nie umiał tego zrozumieć, ale nie mógł też przestać, przymuszony do wyłuskiwania i wchłaniania każdego bolesnego samorodka, dzięki czemu mógł się czuć prawdziwy jeszcze chwilę dłużej.

Łódź dotknęła przeciwnego brzegu, pustego, kamienistego i czarnego jak ten, który niedawno opuścili. Jakow miał wrażenie, że minęły wieki, choć wiedział, że upłynęły minuty. Wszedł na brzeg na niezgrabnych zdrewniałych nogach i się przeciągnął. Galina stanęła przy nim, milcząca, ale pełna współczucia i wyrzutów sumienia.

- Wszystko w porządku - powiedział do niej. - To nie twoja wina.

Zemuna wygramoliła się z łodzi, jej kopyta ślizgały się po mokrych skałach brzegu. Kościej i Timur-bej wysiedli za nią, uważając, żeby nie wejść w czarną wodę.

Przed nimi rozciągał się las - las Berendeja - i Jakow od razu się domyślił, że Ojczulek Mróz często tu zagląda. Drzewa i gałęzie były pokryte śniegiem, przybrane soplami, skrzące się szronem. W lesie Berendeja rosły prawdziwe drzewa - Jakow rozpoznał białe nakrapiane pnie brzoź, smukłe witki wierzb, kępy wysokich, wyprężonych jak struny drżących osik. Były tam krzepkie dęby i jesiony o popielatej

korze, czerwone klony, które sięgały w górę z gracją tańczących dziewcząt, gęste zielone świerki, wyniosłe majestatyczne sosny... Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo mu ich brakowało.

- Tu jest zima - szepnęła Galina. - Myślisz, że na powierzchni też panuje zima?

- Nie bądź niemądra, jesteśmy tu tylko trzy dni - odparł Jakow.

- A jeśli tutaj czas płynie inaczej?

- W takim razie niewiele możemy zrobić, prawda? - Burknął z irytacją.

- Chyba nie - przyznała i została w tyle, przy Zemunie.

Weszli do lasu i Jakow, choć zdenerwowany, poczuł się jak dziecko, które wkroczyło do prawdziwej bajki. Pomimo zamarzniętych drzew, powietrze było tylko trochę chłodniejsze niż w innych częściach podziemia, a w górze wisiał duch słońca, rozpalający w szronie na każdej powierzchni pryzmatyczne błękity, czerwienie i żółcienie. Delikatne maswerki szadzi tworzyły kwiaty i fantastyczne zwierzęta, które niczym magiczne obrazy wiły się wokół każdego pnia.

Pomiędzy drzewami wiły się zadbane ścieżki i Jakow zdał sobie z zażenowaniem sprawę, że wypatruje na nich stworzeń leśnych, które zwykle mieszkały w lesie Berendeja, przynajmniej w bajkach. Zauważył białego królika śmigającego wśród drzew i rogatą głowę łosia, lypiącego w gałęziach świerka.

- Mogę na chwilę pożyczyć twojego gawrona? - Zapytał Kościeja.

- Proszę bardzo - odparł Kościej i wyciągnął Siergieja z kieszeni. - Tylko nie pozwól mu uciec.

- Jak myślisz, dokąd miałbym pójść? - Burknął Siergiej i nastroszył pióra. - Boże, ale tu zimno.

- Nie jest źle - powiedział Jakow i ostrożnie posadził go na ramieniu. - Czy las wygląda tak, jak się spodziewałeś?

Gawron zamrugał w jasnym świetle i powiódł dokoła spojrzeniem czerwonych oczu.

- Wygląda jak plan filmowy.

- Tylko że jest prawdziwy.

- Albo tak myślisz.

Jakow zastanowił się, czy nie wepchnąć gawrona do kieszeni, ale postanowił dać mu jeszcze jedną szansę.

- Pamiętaj, jak znaleźć Berendeja?

- Jak go znaleźć? Widziałem go tylko w filmach. Jest zmiana sceny, cięcie, a potem się pojawia. Chyba czekamy na cięcie.

Jakow tylko pokręcił głową.

- W zasadzie on ma rację - zamruczała Zemuna za jego plecami. - Berendej wie, co się dzieje w jego lesie. Przybywa bezzwłocznie, gdy zjawiają się intruzi.

Szli kolejnymi ścieżkami, ponieważ spacer sprawiał im przyjemność, a las był taki ładny, że szkoda byłoby go nie zbadać, póki mieli okazję.

- Ile masz lat? - Zapytał Jakow Siergieja.

- Dwadzieścia pięć. A ty?

- Trzydzieści. Myślałem sobie... Jakie lody lubiłeś w dzieciństwie?

Gawron parsknął skrzekliwym śmiechem.

- Pamiętasz te wafelkowe rożki, ze śmietankową różą na czubku?

- Też je uwielbiałem. A pamiętasz te małe serniczki w polewie czekoladowej? Mógłbym jeść je na okrągło.

- Je też - przyznał Siergiej. - Dziwne, jakie dobre było jedzenie, gdy byliśmy mali. Teraz wszystko smakuje jak gówno. Ciekawe, czy to dlatego, że wszystko jest z importu i z puszki, czy może tak działają wspomnienia?

Jakow wzruszył ramionami.

- Pewnie po trosze jedno i drugie. I nie wszystko jest do chrzanu. Kurczaki z importu są całkiem niezłe.

W głębi ptasiego gardła zrodziło się pogardliwe burknięcie.

- Pomoc humanitarna? Nazywają je nogami Busha.

- Tak słyszałem.

- Te kurczaki to pieprzone mutanty. Czym oni je karmią w tej Ameryce?

- Nie wiem - odparł Jakow. A jednak czuł, że kolejne wspólne doświadczenie, choć nieznaczące, jakoś ich zbliżyło. Nie podobało mu się to uczucie, bo Siergiej był przestępcą i straconą duszą, wciśniętą na jakiś czas do ciała tłustego białego ptaka. Nie był podobny do niego, na pewno nie był kimś, z kim chciałby się zaprzyjaźnić.

Spojrzał przed siebie. Już się przyzwyczajał do kryształowego światła i magicznego lasu. Zastanowił się, dlaczego jeszcze nie ma Berendeja, a potem przypomniał sobie pogłoski o jego zniknięciu i spochmurniał. Zaczął myśleć, że na blakaniu się po tym lesie mogą spędzić całą wieczność. Wątpił, czy będą w stanie znaleźć drogę powrotną.

- Patrzcie! - Zawołała Galina, a Siergiej z podniecenia załopotał skrzydłami.

Ciemna chmura zestaliła się ponad drzewami, w powietrzu zabrzmiało krakanie i pohukiwanie. Czarne ptaki, brązowe ptaki, siwe ptaki. Jakow nigdy nie widział tylu ptaków naraz - przysłaniały niebo jak okiem sięgnąć.

- Skąd one się wzięły? - Zapytał.

- Nie wiem - odparł Kościej - ale mnie bardziej interesuje, co robią.

Ptaki, choć było ich nieprzebrane mnóstwo, leciały jak się zdaje w jedno miejsce, wprost przed nimi. Utworzyły nad nim wielki wir, krążąc z głośnym krzykiem.

Pobiegli przez las. Drzewa zrzędy, gdy się zbliżyli do polany.

- Jak z książki z obrazkami - powiedziała Galina.

Jakow przyznał jej w duchu rację. Kryta strzechą schludna chatka z czerwonych bali, z kominem, z którego płynęły kłęby białego dymu, byłaby jak najbardziej na miejscu, służąc za siedzibę cnotliwemu drwalowi lub jakiejś innej dobrodusznej, acz nieco mizantropijnej postaci. Dach, ganek, poręcz i trzy schodki wiodące do frontowych drzwi były szare i czarne od siedzących ptaków.

Siergiej zeszywniał na ramieniu Jakowa.

- Odpręż się - mruknął Jakow. - Nie wiedzą, kim jesteś. Może nawet to nie są te same ptaki.

- Oczywiście, że są - powiedziała Galina. Odepchnęła go na bok i wbiegła po schodkach. - Masza? - Pytała każdą wypatrzoną kawkę.

Ptaki spoglądały na nią lśnącymi, czarnymi oczami, przekrzywiały łebki porośnięte kępkami piór, ale żaden nie odpowiedział.

Zemuna i Kościej zbliżyli się do drzwi. Kościej szarpnął klamkę.

- Zamknięte na klucz.

- Może go nie ma - powiedziała Zemuna.

Timur-bej pokręcił głową.

- Droga Niebiańska Krowo - zaczął - nie możemy odejść bez sprawdzenia, czy Berendaja nie ma. Nie znam się na waszych bogach, ale duchy moich przodków mówią mi, że bogowie są śmiertelni. Musimy sprawdzić. Jeśli pozwolisz, z przyjemnością wyważę drzwi.

- Zapukajmy jeszcze raz - zaproponował Jakow. - Może nie usłyszał nas za pierwszym razem. - Nie wspomniał o czymś, co zaczęło trapić go w chwili, gdy zobaczył ptaki: a jeśli to Berendaj zmawiał się ze Sławą? Może to jego słyszał Siergiej? Należał do tych bardzo nielicznych mieszkańców podziemia, którzy często odwiedzali

powierzchnię, żeby kraść światło słoneczne; miał okazję, a Jakow wiedział z doświadczenia, że okazja często przeważa nad motywem.

Timur-bej uśmiechnął się drwiąco.

- Wiem, co mówią ludzie. „Nieproszony gość gorszy od Tatarzyna”, prawda?

- To tylko takie powiedzenie. - Galina uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

Ten uśmiech zirytował Jakowa - przypomniał mu o byłej żonie, o jej skłonności do łagodzenia każdego konfliktu, do wygładzania zmarszczek na powierzchni bez względu na to, jaka uraza wrzała w głębi. Odwrócił się do Timur-beja.

- A co, wolałbyś, żebyśmy mówili, że nieproszony gość jest lepszy od Tatara?

Ku jego zaskoczeniu Tatar-Mongoł parsknął śmiechem, pokazując drobne, nierówne i bardzo białe zęby.

- Rozumiem cię, choć nadal wątpię w celowość dokonywania takich porównań. Śmiało, pukaj.

Jakow zapukał i przez parę minut wszyscy - ludzie, ptaki, krowa - słuchali, czy z domu napłyną jakieś dźwięki. Nie napłynęły. Jakow pomyślał, że słyszy ciche brzęczenie, ale nie mógł określić jego pochodzenia, a nawet nie był pewien, czy nie jest po prostu wytworem wytężonego słuchu.

Po chwili kiwnął na Timur-beja.

- Na trzy.

Policzył do trzech i obaj uderzyli ramionami w mocne drzwi. Powiodła się trzecia próba - drewno przy zawiasach pękło i drzwi na wpeł wpadły do środka, wisząc na zamkniętym ryglu.

W środku dom pachniał wiórami i żywicą, słońcem i sianem. Ptaki wlały się do środka, jakby przymuszone jakąś niewidzialną siłą.

- Jest tu kto?! - Zawołał Jakow w głąb mrocznego korytarza, stojąc w przestronnej sieni.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, dał znać, żeby wszyscy zostali na miejscu. Nigdy w życiu nie nosił broni, ale teraz żałował, że nie ma pistoletu, gdy szedł korytarzem, lewą ręką muskając ścianę. Kopniakiem otworzył drzwi po lewej stronie. Była to kuchnia, sądząc po wypolerowanych miedzianych rondlach, i zastanowił się przelotnie, po co w ogóle bogom i półbogom kuchnia. Niedawno zamieciona podłoga pachniała świeżą sośniną, pękaty piec był wyczyszczony, bez odrobiny popiołu w przepastnym wnętrzu; obok leżał stos długich wiórów kory brzozonej na rozpałkę, a w kącie piętrzyły się starannie połupane szczapy.

Ptaki wpadające do domu omijały kuchnię, szturmując zamknięte pomieszczenie na końcu korytarza; machały skrzydłami, uderzały, padały na podłogę i podrywały się do kolejnego ataku. Kolejne czarne fale rozbijały się o drzwi i Jakow musiał się przedzierać między ptakami. Skrzydła biły go w twarz, a Siergiej wbijał mu pazury w ramię, jakby się bał, że obłęd otaczających ich ptaków oładnie jego ptasim ciałem i pchnie go do bezmyślnego ataku na zamknięte drzwi.

Jakow przesuwiał się wśród pisku i trzepotania. Miękkie puszyste pióra sowy musnęły jego policzek w nieomal czułym geście. Była to płomykówka, i jej widok przypomniał mu o dziewczynie, Darii, z zamierzchłej przeszłości, o jej małym ciemnym mieszkaniu z torami tuż za oknem... Z tymi samymi torami, uświadomił sobie, które mijają jego dom, z tymi samymi torami, którymi jeździły wagony ze szklanymi kulkami - duszokamieniami - do huty szkła. Pokręcił głową, gdy zrozumiał, że gra na zwłokę, niechętny otworzyć drzwi ze strachu, co może za nimi zobaczyć.

Przyłożył ramię do drewna i słaby zamek ustąpił po pierwszej próbie. Była to sypialnia, pełna łagodnego światła przesianego przez zaciągnięte zasłony. Na łóżku leżała pierzyna z zaskakującą górą ozdobnych poduszek, a spod niego wystawał lśniący mosiężny nocnik. Z ikon na ścianie spoglądały ciemne oczy świętego Nikołaja i świętego Gieorgija (i jego wszechobecnej jaszczurki). Na podłodze, równoległe do łóżka, leżały zwłoki, wyciągnięte jak we śnie. Wokół zebrała się kałuża ciemnej krwi, która ściekła z szerokiej klatki piersiowej okrytej kaftanem w kolorze mchu. W ranie nad sercem tkwił bagnet. Choć Jakow nie był ekspertem, rozpoznał, że bagnet jest stary.

- To broń z okresu wojen napoleońskich - powiedział usłużnie Siergiej na jego ramieniu. - Może chcesz ją zabrać, zanim obsiadą go ptaki.

Jakow pokiwał głową. Ptaki, mając wolną drogę, wlatywały do pokoju w niemal komicznie poważnej procesji. Siadały na podłodze, na pomarszczonej, sympatycznej twarzy martwego mężczyzny, na białej brodzie, rozłożonej wachlarzem na piersi i miejscami poczerwieniałej; siadały na zielonej czapce, na czerwonych sękatych dłoniach leżących na podłodze, na szpicach butów z cholewami, i na nogach.

Niewiele było do zrobienia, więc Jakow zawołał swoich towarzyszy. Kiedy stanęli z szacunkiem w półkolu przy zwłokach martwego półboga, Jakow wyszarpnął bagnet.

Kościej westchnął.

- Ostrzegałem go. Mówiłem mu, że lepiej ma ten, kto ukryje swoją śmierć. Strzepiłem język po próznicy.

- Zamknij się - powiedziała Zemuna z niezwykłą u niej stanowczością. - Okaż trochę szacunku. Zostało nas niewielu, a teraz jednego ubyło.

POGROM

Fiodor spędził cały dzień z Oksaną, cygańską dziewczyną, jak wciąż nazywał ją w myśli. Próbował jej wyjaśnić swój lęk przed Cyganami i wytłumaczyć, że to nie jego wina, ale nie okazała mu sympatii. Jakby nie zdawała sobie sprawy, ile wysiłku wymaga od niego tylko sama z nią rozmowa.

Znalazł się w kłopotliwym położeniu, bo Oksana, choć z niego pokpiwała, wciąż szukała jego towarzystwa, jakby na coś liczyła. Świta szczurów ciągnęła za nimi, gdy wybrali się na kolejny długi spacer. Wrócili w porze kolacji i stwierdzili, że trwa następne zgromadzenie.

Fiodor czuł gorycz - po tak wielu latach wreszcie znalazł swoje miejsce, był szczęśliwy, nie musiał użerać się z życiem, ale nawet tutaj odnalazły go duchy przeszłości w postaci Oksany. Świat powierzchniowy zdołał tu wtargnąć, zasypując go swoimi troskami, ani na chwilę nie zostawiając w spokoju.

Wśliznął się za stół obok Sowina.

- Co się dzieje?

Sowin przesunął się na długiej ławie, żeby zrobić miejsce dla niego i Oksany. Gdy usiedli ściśnięci, szepnął:

- Berendej nie żyje.

- Wrócili?

Sowin pokręcił głową.

- Przysłali list przez wodnika, jednego z kumpli Eleny, jak sądzę. Mówią, że chcą podążyć jakimś tropem. Przypuszczam, że napisał to twój przyjaciel gliniarz.

- Nie jest moim przyjacielem - zaznaczył Fiodor. - Lubię gliniarzy nie bardziej niż ty.

Sowin uśmiechnął się ironicznie.

- Na tym zawsze polegał problem, rozumiesz? Nie można lubić bandytów, nie można lubić prawa. Pewnego dnia rozmawiałem z paroma gośćmi, i wiesz co? Obojętne, jaki okres weźmiesz pod uwagę, gliny, tajniacy i bandyci pracowali razem, czasami niepodobna ich było rozróżnić.

- W dzisiejszych czasach nie jest tak źle - powiedział Fiodor. - Jasne, biorą w łapę... Ale daleko im do poziomu zła KGB.

- Poziomu zła - powtórzył Sowin. - Podoba mi się. I masz rację, jak sądzę. Ten Jakow wygląda na przyzwoitego faceta, na dodatek jest wnukiem Davida. Chce dobrze, kłopot w tym, że próbuje pracować ze spierdolonym systemem.

Nie było Zemuny, żeby pokierowała zebraniem, więc tej roli podjęła się Elena. Fiodor zazdrościł jej pewności siebie, gdy wstała i jak gdyby nigdy nic przemówiła do tuzinów ludzi, stworów i bóg tylko wie, czego jeszcze.

- Sytuacja jest znacznie gorsza, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. - Jej czysty głos niósł się w pełnym dymu powietrzu, docierając do każdego stołu we wszystkich zakamarkach karczmy. Nawet małe domowiki, które zwykle zajmowały się drinkami i kubelkami z trocinami, stanęły jak wryte, słuchając z powagą na małych brodatych obliczach.

- Wodniki donoszą, że znaleziono w rzece inne rzeczy z powierzchniowego świata: broń, noże, pistolety. Mówią mi, że codziennie przybywa duszokamieni, że rusalki już nie wychodzą na powierzchnię, nawet przy pełni księżyca, gdy powinny tańczyć na brzegu. A teraz słyszymy, że Berendej nie żyje.

Szept przemknął nad tłumem jak podmuch wiatru w trawie i znów zapadła cisza. Fiodor czekał, żeby Elena powiedziała, co trzeba zrobić - zejść głębiej pod ziemię, wycofać się i uciec w nieznanne, niezbadane miejsca?

- Jest jasne, co musimy zrobić - powiedziała Elena. - Musimy podjąć walkę z powierzchnią, nie po raz pierwszy i zapewniam was, że nie ostatni, przynajmniej jeśli odniesiemy zwycięstwo.

- Co to znaczy: nie po raz pierwszy? - Szepnął Fiodor. - Myślałem, że trzymanie się jak najdalej od powierzchni to podstawa.

- Prawda - przyznał Sowin. - Tak było, odkąd tu jestem. Dawni ingerują, ale zazwyczaj subtelnie. Ale słyszałem o czasach, kiedy ingerencja miała charakter bardziej bezpośredni, i byli w to zamieszani nawet ludzie.

Fiodor wsparł głowę na złożonych rękach, gotów wysłuchać kolejnej historii.

- Czego się na mnie gapisz? - Burknął Sowin. - Ich zapytaj. - Wskazał stół na wpół ukryty za rogiem.

Fiodor mógł zobaczyć tylko ciemny męski żakiet i sznurowane dziewczęce trzewiki, z których wystawały drobne palce stóp.

- Kim oni są? - Zapytał Oksanę.

- Żydami. Chodź, przedstawię cię. Zwykle siadam z nimi.

- Dlaczego? - Fiodor wstał i poszedł za nią.

- Dlatego. Gdy nie masz kraju, każdy sądzi, że nie masz prawa tworzyć narodu. Jakby brak ziemi odbierał ci prawo do posiadania własnego języka. Jakby to była twoja wina. Żydzi i Cyganie, nikt ich nie lubi.

Ludzie przy stole - rodzina, jak się wydawało, mężczyźni w długich surowych chałatach, dzieci w podniszczonych ubraniach po starszym rodzeństwie, kobiety w szarościach i czerni - spojrzeli na niego ciemnymi oczami i uśmiechnęli się, jakby niepewni jego zamiarów.

- To Fiodor - przedstawiła go Oksana. - Prawdopodobnie jedyny żyjący człowiek, który nie wie, co to jest pogrom.

- Słyszałeś o *Protokołach mędrców Syjonu*? - Zapytał mężczyzna z długą brodą i zmarszczkami wokół życzliwych oczu.

- Coś obilo mi się o uszy. Czy nie zostały sfabrykowane?

Mężczyzna westchnął.

- Czy to się nigdy nie skończy?

Mieszkali w strefie osiedlenia - wszyscy mówili „strefa” - w mieście Witebsku. Rodzina Herszela mieszkała w tym *sztetl* od pokoleń, od czasów powstania strefy. Byli kupcami i rzeźnikami, urzędnikami i czasem żołnierzami. Mieli liczne rodziny i byli pobożni, gdy okoliczności pozwalały - Herszel w młodości studiował Torę, a potem został przyjęty na uniwersytet w Kijowie. Wrócił do Witebska zaraz po ukończeniu studiów jako lekarz z dyplomem, gotów do dobrej pracy dla swojego środowiska. Niedługo później poślubił Rożę. Było to w tysiąc osiemset siedemdziesiątym szóstym; ich pierwszy syn urodził się rok później.

W osiemdziesiątym pierwszym wszystko się zmieniło. Herszel stwierdził, że spekulowanie, jak i dlaczego, jest raczej bezcelowe, ale fakt był taki, że Aleksander III, następca Aleksandra II, wyzwoliciela i generalnie dobrego cara, po prostu wziął się na Żydów. Co więcej, z nieznanых powodów wszyscy ich winili za zabójstwo

Aleksandra II. Herszel nie był zaskoczony - żył dość długo, by wiedzieć, że gdy zaczynają się kłopoty, prędzej czy później znajdzie się winny, zwykle pochodzenia semickiego.

Tajna policja, Ochrań, nigdy nie angażowała się jawnie, ale gdy w całym Witebsku zaczęto plądrować żydowskie sklepy, Herszel nie czekał, aż czarne sotnie wedrą się do prywatnych domów i zaczną bić i mordować mieszkańców. Postanowił przeprowadzić rodzinę do Moskwy w nadziei, że tam, wśród milionów, zdołają się ukryć przed nieszczęściem. Mogli się przechrzczyć albo wyemigrować na obiecane ziemie Ameryki, ale, podobnie jak Sowin, Herszel nie wierzył w emigrację. „Nie można uciec przed sobą”, powiedział żonie, gdy wspomniała o takiej możliwości, „i nie można uciec przed własnym przeznaczeniem”.

- Czy przeprowadzka do Moskwy nie jest ucieczką? - Zapytała sceptycznie i pogłaskała po włosach najmłodszą córkę, która czepiała się jej długiej spódnicy.

- Nie - odparł. - Rosja jest naszym domem. Przenosimy się do innego pokoju, ale pod tym samym dachem.

Roza mruknęła coś niepoehlebnego o wartości tego domu i zasugerowała, że gdy dom się wali, najmądrzej jest wyjść na zewnątrz. Herszel udał, że nie słyszy. Ameryka leżała daleko i nie był przekonany, czy naprawdę jest warta miesięcy podróży. Powiódł wzrokiem po schludnej małej jadalni, po świeżo bielonych ścianach, i zrobiło mu się przykro na myśl o pożegnaniu. Nie chciał zostawiać gadatliwych sąsiadów, którzy ostatnio zrobili się cisi i przygnębieni, i miał wyrzuty sumienia z powodu swojego przywileju - jako lekarz mógł opuścić strefę. Świat na wschodzie był nieznanym i przerażającym, ale teraz takie same stały się strome wzgórza i wąskie kręte uliczki Witebska.

Moskwa powitała ich zimnem i ponurymi lodowatymi murami. Osiedlili się nad rzeką, w wilgotnym małym domu. Tęsknili za czystym, suchym mieszkaniem w Witebsku, gdzie pomimo biedy Herszel cieszył się szacunkiem; tutaj mieli budować wszystko od nowa. W ich tutejszym sąsiedztwie mieszkało paru Żydów i Herszel opiekował się nimi, a także, od czasu do czasu, ich krowami i końmi.

Najmłodsze z sześciorga dzieci urodziło się jesienią roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego. W dziewięćdziesiątym pierwszym w Moskwie zaczęła się antysemitka czystka.

Dom ich sąsiadów został spalony, a na ulicy wymalowano popiołem gwiazdy Dawida. Poskarżyli się żandarmom, ale władze okazały ewidentny brak zainteresowania. Poradzono im się nawrócić.

- Może powinniśmy - powiedział Herszel.

Roza westchnęła i poprawiła najmłodszą córeczkę w ramionach, poklepując ją po plecach.

- I co to da?

- Dostaniemy nowe papiery.

- Och, mój drogi naiwny mężu. Czyżbyś nie wiedział, że nie pytają Żyda o papiery przed walnięciem go w twarz? A jeśli sądzisz, że nie wyglądasz na Żyda, to musisz spojrzeć w lustro.

Ameryka wydała się bardziej atrakcyjna, zwłaszcza gdy połowa żydowskich mieszkańców Moskwy została wyeksmitowana, w większości zakuta w łańcuchy.

Herszel uważał, że jego rodzina niczym się nie wyróżnia, dlatego wydawało mu się niesprawiedliwe, że oni ocaleli. Wyraźnie pamiętał ten dzień - Pascha, zimna wiosna, śnieg wciąż gruby, ale zapach wilgotnej ziemi, z dnia na dzień coraz silniejszy, zapowiadał wiosnę, prawdziwe ciepło, kwiaty i lepkie pierwsze liście, pyłek w powietrzu i puch z wysokich topoli, i słodką woń kwitnącej lipy. Był to czas, gdy każdy śni o krokusach kwitnących pod śniegiem, o nasionach nabrzmiewających w ciemnej glebie, gotowych wybuchnąć ze świeżą energią odnowionego życia; był to również tradycyjnie czas, gdy słowa „zabójca Chrystusa” padały częściej, niż Herszel mógłby sobie życzyć.

- Jestem pożytecznym Żydem - powiedział Rozie. - Nic złego nam się nie stanie.

Westchnęła i nic nie powiedziała, co samo w sobie było niezwykle - rzadko kiedy brakowało jej słów. Herszel przypuszczał, że widok tylu Żydów w łańcuchach i ignorowane przez policję pogłoski o tylu śmiertelnych ofiarach odebrały jej mowę; a może sprawił to wstyd, że oni uniknęli podobnej niedoli, wstyd, że są „pożyteczni”. Nigdy nie nazwała go zdrajcą, ale podejrzewał, że tak o nim myśli i to być może częściej, niż gotowa byłaby przyznać.

- Co mam zrobić? - Zapytał. - I co z dziećmi?

Pokręciła głową, wciąż milcząca i niepokieszona, i zostawiła go samego w ciemnej jadalni, która wciąż pachniała wczorajszą wieczerzą paschalną. Niski, mroczny sufit przytłaczał, płomień samotnej wysokiej świecy migotał, wąskie smużki sadzy przyciemniały i tak już beznadziejnie ponure mieszkanie.

Tej nocy, o czym Herszel dowiedział się później, mieszkańcy podziemia zrobili się niespokojni, poruszeni przez chmury rozpacz, które powoli przesączały się z powierzchni pod ziemię. Wyjaśnił, że to normalne - przeważająca atmosfera jednego miejsca udziela się drugiemu, ale zazwyczaj emanacje były na tyle słabe, że maskowały je miejscowe emocje i nastroje. Tylko w czasach wielkich tragedii stawały się tak potężne, że pobudzały podziemnych mieszkańców do działania.

- Nie rozumiem - przerwał Herszelowi Fiodor. - Bez obrazy, ale co wtedy było takie wyjątkowe? Zdarzyło się przecież mnóstwo innych tragedii.

- Nie wiem - odparł Herszel. - Wszyscy mamy swoje powody i domysły, ale czy to naprawdę jest ważne? Oczywiście były inne tragedie. Ale przypuszczam, że wtedy wszyscy już mieli dość.

Ich dom stał tak blisko rzeki, że Herszel miał prawo obawiać się powodzi. Wiosną, gdy drzewa wciąż były nagie, miał dobry widok na skutą lodem rzekę i martwił się o dzieci - zwłaszcza nieustraszonego, krnąbrnego pierworodnego Daniła - biegające po zielonym, niepewnym lodzie, który w każdej chwili mógł się otworzyć w czarnym lodowatym uśmiechu. Zawsze miał oko na rzekę, zwłaszcza wieczorem, licząc się z nieposłuszeństwem dzieci i niepojętymi zrządaniami losu.

Tej nocy wyszły z otwierających się w lodzie szczelin, skakały wśród drzew. Herszel patrzył, przerażony, a jednak nie zaskoczony, przekonany, że groteskowe stworzenia wylazące ze wszystkich zakamarków, z łąk świeżego śniegu, z każdego rozwidlenia gałęzi drzewa, mają coś wspólnego z exodusem jego ludu. Zrozumiał, że się nie mylił, gdy wielka, mała ludzka głowa wniknęła przez szybę w oknie jadalni, nie wytlukując jej, jak gdyby z niej pochodząc, i zapytała, gdzie są Żydzi.

Herszel nie wiedział co powiedzieć.

- Kim jesteś? Czego chcesz? - Szepnął.

Głowa przygryzła obwisłą wargę.

- Przyjacielem - zapewniła. - Nazywam się Pan. Przyszliśmy was zabrać, pomóc wam.

- Większość odeszła. Zabrano ich w łańcuchach do strefy, zostali tylko pożyteczni Żydzi. - Był zaskoczony pogardą, jaka zabarwiła jego słowa.

- A ci „pożyteczni Żydzi” - głowa powtórzyła słowa, nie rozumiejąc ich znaczenia - chcą tu zostać? Pomimo wszystkich krzyków i skarg, jakie słyszymy w podziemiu?

- Ja nie chcę - odparł Herszel - ale dokąd mamy pójść? Cierpienia są wszędzie, w dodatku jest ich za wiele. Co mam zrobić?

- Znajdź tych, którzy chcą odejść - poleciała rogata głowa. - Wrócimy jutro i zabierzemy was tam, gdzie cierpienia zelżeją. - Zagwizdała i roztopiła się w mrocznym szkle, a wraz z nią zniknęły pozostałe zjawy, jakby nigdy nie istniały.

Słowa o złagodzeniu cierpień podejrzenie kojarzyły się ze śmiercią, ale Herszel uznał, że nie ma wyboru. W końcu takie rozwiązanie udobrucha Rożę. Zawołał ją i dzieci i dopiero wtedy zrozumiał, że jeśli nie patrzyli przez okno w ciągu ostatnich dziesięciu minut, nie uwierzą w jego historię.

Niczego nie tłumacząc, kazał im zapukać do drzwi sąsiadów i zapytać, czy chcą odejść. Nie powiedział dokąd ani dlaczego, ograniczył się do stwierdzenia, że wszędzie będzie lepiej niż tutaj, gdzie mogli tylko czekać na wygaśnięcie ich pożyteczności. Czekać na śmierć albo nawrócenie, czekać na kolejną mowę Konstantego Pobiedonoscewa, nazywającego Rosję dziedzicem Konstantynopola i Bizancjum, a Moskwę trzecim Rzymem. Czekać, aż znów przypomni wszystkim, kto zabił Chrystusa i komu nigdy nie zostanie to wybaczone. Herszel założył, że kimkolwiek było rogate stworzenie, nie przyjaźniło się z Chrystusem, i w tym momencie to mu wystarczało.

Ale nie innym. To kara, podejrzewał, za jego dawne tchórzostwo i drobne, ale codzienne zdrady. Wszyscy mówili, że jest im dobrze, gdzie są, a niektórzy zagrozili napuszczeniem na niego Ochrony. Wszyscy chcieli wierzyć, że najgorsze minęło, że przeżyją, bo są albo zbyt ważni, albo zbyt niepozorni. Herszel uśmiechnął się smutno na myśl o ich złudzeniach i nagle poczuł się zakłopotany swoją zarozumiałością - przecież wcale się od nich nie różnił.

W końcu tylko jego rodzina zgodziła się pójść do podziemia. Była to lekcja, jak przypuszczał - smutna lekcja o smutnym stanie kraju, gdzie jedyna droga ucieczki prowadziła pod ziemię, gdzie na jego życiu zależało tylko pogańskim bóstwom, w które nawet nie wierzył.

Fiodor pokiwał w milczeniu głową. Siedział obok Oksany, która przytulała się do najmłodszej córki Herszela i Roży, wiecznego niemowlęcia w powijakach. Dziecko zaczęło radośnie gaworzyć i Oksana się roześmiała.

- Prawda, jaka milutka? - Zapytała Fiodora.

Wzruszył ramionami, nie chcąc podejmować tematu; dzieci były mu obojętne, zwłaszcza te, które jeszcze nie umiały mówić. Słuchał głosów wznoszących się dokoła. Skupiony na opowieści Herszela, stracił coś ważnego i teraz wytężył słuch, żeby to nadrobić. Elena zdecydowała, że wypad na powierzchnię jest najlepszym wyjściem, i pozostawało tylko pytanie, kto poprowadzi ekspedycję. Na pewno nie Pan,

oświadczyła. Pan, z rozłożystym porożem i smutnymi oczyma, dąsał się w kącie, wyzywająco krzyżując koźle nogi i ludzkie ręce.

To nie osobistego, wyjaśnił Wij. Zeszłym razem akcja przebiegała zbyt chaotycznie, była niezorganizowana. Nie możesz wypędzać wszystkich swoich sług na powierzchnię i ukazywać się w postaci kolorowej zjawy, bo zostaniesz wzięty za diabła lub halucynacje. Mogliby ocalić więcej ludzi, dodał, gdyby wysłali kogoś, kto bardziej przypominał człowieka.

- Jak ty - burknął z kąta Pan. Zawtórował mu powszechny śmiech, który ucichł, gdy tylko pomocnicy Wija podeszli z widłami, żeby podnieść jego straszne powieki.

- Wij ma rację - poparła go Elena - zwłaszcza że to będzie rekonesans. Powinniśmy wysłać ludzi. Może ty pójdziesz, Fiodorze?

Fiodor nie spodziewał się takiego obrotu sprawy.

- Ja?! Dlaczego?!

- Ponieważ niedawno przybyłeś z powierzchni - odparła Oksana. - Podobnie jak ja.

- Jeśli chcesz, możesz zabrać moje szczury - zaproponował Sowin. - Też chciałbym pójść, ale...

- W porządku - przerwała mu Elena. - Naprawdę nie musisz się tłumaczyć. Nie chcesz iść, nie idź.

- Ja też mogę? - Zapytał Fiodor.

- Nie. Ty jeszcze nie zapłaciłeś.

Za wszystko trzeba płacić, tyle Fiodor wiedział. Nie zdawał sobie sprawy, że jego cierpienia uznano za błahe, że został osądzony i stwierdzono u niego braki. Jego drobne pospolite udręki poczytano za afektacje zasadniczo zdrowej duszy, wolnej od ran i prawdziwego smutku. Pomyślał, że to dziwne, czuć się winnym i niedocenionym, podczas gdy całe jego życie było niczym więcej niż jedynie nieprzerwanym pasmem beznadziei i powolnym opadaniem ku najniższemu wyobrażalnemu stanowi energetycznemu. I co za to dostał? Miał być rzucony z powrotem w kotłujący się rynsztok, z którego zdołał uciec, z cygańską dziewczyną i stadem szczurów do towarzystwa.

- Nie jest źle - powiedziała Oksana i delikatnie poklepała go po ręce. Nagle to ona była tą silną, to ona dodawała otuchy i panowała nad sytuacją. - Jestem pewna, że wszystko pójdzie dobrze.

- Jak wrócimy na powierzchnię?

- Nie wiem. - Oksana popatrzyła pytająco na Elenę. Elena wzruszyła ramionami i spojrzała na Pana. Pan parsknął w piwo.

- Nie chcecie mojej pomocy, znajdźcie sobie kogoś innego.

- Ja was tam dostarczę - oznajmił Ojczulek Mróz. Choć siedział spory kawałek dalej, przy barze, trudno było nie zwrócić uwagi na jego dudniący głos i widoczną z daleka czerwoną czapkę. - O ile nie macie nic przeciw wczesnej zimie.

Fiodor pomyślał o menelach i żebrakach, o długich fluorescencyjnych tunelach podziemnych skrzyżowań i stacji przesiadkowych metra.

- Byle nie za srogiej - poprosił.

- Nie będzie za zimna - zgodził się Ojczulek Mróz. - Ale śnieżna.

Była noc i świecił księżyc w pełni. Wyszli z zamarzniętego lasu pełnego girland, kwiatów i niezwykłych drzew z czystego lodu, a gdy się obejrzel, zobaczyli, że las jest tylko warstwą szronu na oknie wystawy. Fiodor zadarł głowę, patrząc na duże wilgotne płatki śniegu sypiące się z niskich chmur, podświetlonych srebrzystą poświatą.

- Tego mi brakowało - powiedziała Oksana. Zadrżała, chowając ręce głęboko w kieszenie wyświechtanego paletka z nastroszonym sztucznym futrem na kołnierzu i łatami na łokciach. - Naprawdę.

- Mnie chyba też - mruknął Fiodor. Zastanowił się przelotnie, dlaczego nie jest poruszony pięknem śniegu i zupełnie niezwykłą ciszą nocy, i dopiero po chwili uświadomił sobie, że padający śnieg stłumił zwyczajny ryk samochodów i rozbrzmiewające od czasu do czasu pijackie krzyki. Podejrzywał, że ta niezdolność do odczuwania wzruszenia jest swego rodzaju wadą wrodzoną, i chciałby coś z tym zrobić, chciałby nauczyć się czuć coś poza upartym strachem przed Cyganami i całym światem.

Szczury otaczały ich jak ciemna kałuża - rozbiegały się i zbiegały, przyciskając się mocno do siebie i kolejno podnosząc różowe łapki, by chronić je przed kontaktem ze śniegiem.

- Lepiej chodźmy - powiedziała Oksana. - Marzną.

- Dokąd? - Zapytał Fiodor.

- Gdzie możemy się ukryć ze stadem szczurów? W taborze, jak sądzę.

Fiodor chuchnął na palce.

- Wiesz, gdzie są?

Pokręciła głową.

- To nie ma znaczenia. Możemy pójść na którykolwiek dworzec, zobaczyć, czy są tam Cyganie. - Popatrzyła na linię dachów na tle nieba. - Najbliżej jest Kijowskiej. Sprawdźmy, kogo tam znajdziemy. Jeśli wolisz, możemy spróbować w parku.

Fiodor ruszył z nią po zasypanej śniegiem ulicy. Słaby wiatr tworzył wiry śniegu; podnosiły się i upadały, obciążone grubymi płatkami. Zła pogoda dla narciarzy, pomyślał, śnieg jest za ciężki, za mokry. Będzie się przyczepiać do nart wielkimi grudami.

Szczury otoczyły szczelniej stopy Oksany, próbując schować się pod spódnicą i rąbkiem płaszcza. Niektóre ośmieliły się do tego stopnia, że wskoczyły na buty Fiodora i wcisnęły się w nogawki. Czuł na łydkach ich futro, zaskakująco ciepłe i miękkie. Z westchnieniem zgarnął kilka gryzoni i włożył do kieszeni. Inne uznały to za zaproszenie, błyskawicznie wspięły się na jego ramiona i wcisnęły pod grubą pikowaną kurtkę, którą pożyczył od Sowina, za ciasną, ze zbyt długimi rękawami.

- Polubiły cię - powiedziała z uśmiechem Oksana. Biały śnieg osiadał na jej czarnych włosach, tworząc grubą przejrzystą koronę, gdy się topił i znowu zamarzał.

„A ty?” - chciał zapytać, ale nie mógł zmusić języka do wypowiedzenia tych słów. Lepiej zastanawiać się w duchu niż raz na zawsze zyskać pewność, że przez swoją niezdolność do odczuwania jest antypatyczny; nigdy nie próbował rozważyć paradoksu swojej obojętności i silnego pragnienia, żeby ktoś go polubił, choćby Cyganka - zwłaszcza Cyganka.

PTAK GAMAJUN

Galina znów śniła o Maszy. Oczami duszy ujrziała kawkę, wielką i spuchniętą z powodu choroby, ale z ludzkimi rękami, całymi i gładkimi, jak je pamiętała.

- Siostro! - Wołała Masza. - Dlaczego mi nie pomożesz?

- Idę do ciebie! - Krzyknęła Galina i zbudziła się z dźwiękiem własnego głosu w uszach, czując drapanie w gardle.

Usiadła i spojrzała na zamrożony las za oknem domu Berendeja. Postanowili spędzić tu noc, ale Galinę drażniło każde opóźnienie, uwierało jak twarde, za ciasny but. Każdy dzień sprawiał wrażenie koszmaru, w którym brnęła przez melasę, choć każde włókno jej duszy wrzeszczało, by pędziła jak wiatr.

Przez całą noc chodziła od jednego ptaka do drugiego; wszystkie nadal siedziały wokół zwłok Berendeja, które Jakow okrył prześcieradłem. Przyglądała się każdej kawce, powtarzając imię siostry, ale żadna nie odpowiedziała, tylko patrzyły na nią lśnjącymi czarnymi ślepkami.

- To na nic - powiedział Kościej. - Prześpij się, rano jest mądrzejszy od wieczora.

Nie mogła powstrzymać się od uśmiechu, gdy usłyszała te znajome słowa - sprawdzały się w każdej bajce, gdzie bohater budził się i stwierdzał, że niemożliwe zadanie zostało wykonane. Może też powinna się zbudzić i znaleźć z powrotem w domu, z ciężarną Maszą, bezpieczną i zdrową; nawet przebudzenie w szpitalu nie wydawało się takie straszne. Przysłałaby na to z radością, byleby ocalić siostrę. Kochała ją tak bardzo, że chętnie oddałaby własne zdrowe zmysły za jej bezpieczny powrót.

Wstał rano, a ona wciąż była w lesie pod ziemią, ścierpnięta po spaniu na podłodze w kuchni Berendeja. „Boże”, szepnęła, „przysięgam, jeśli zapewnisz

bezpieczeństwo Maszy, nie będę miała nic przeciw spędzeniu całego życia w szpitalu i przysięgam, że nie będę się skarżyć".

- Z którym bogiem rozmawiasz? - Zapytała Zemuna z kąta, gdzie spała na stojąco. Galina wzruszyła ramionami.

- To chyba głupie. Czy jest jakiś bóg, który mógłby spełnić moją prośbę?

Zemuna pokręciła ciężką rogatą głową.

- Nie wiem, moja droga. Jesteśmy pod ziemią i nie możemy pójść nigdzie indziej. Nasz czas przeminął, nic nie wiem o nowych bogach.

- Bogu - poprawiła Galina.

Krowa skinęła głową.

- Bogu. Nie znam jego mocy, nie wiem, kim jest. Za moich czasów mogliśmy robić różne rzeczy. Ja zrobiłam Drogę Mleczną - czy ci mówiłam?

- Tak. - Galina zastanawiała się przez chwilę. - Dlaczego uważasz, że Maszy nie ma wśród tych ptaków?

- Tego też nie wiem - odparła z westchnieniem Zemuna. Galina poznała, że chętnie pomówiłaby o Drodze Mlecznej. - Mieliśmy tu wiele ptaków, był Ognisty Ptak, Gamajun, Ałkonost, Sirin...

- Dokąd poleciały?

- Może uciekły. Albo umarły. A może nadal gdzieś tu są.

- Chciałam cię o coś spytać. - Galina zawahała się, niepewna, czy nie rozzłości jej swoim pytaniem. - Zastanawiałam się nad bogami, tymi głównymi, jak Jariło, Bielobog, Swarog. Co się z nimi stało?

- Masz rację. Oni byli prawdziwymi bogami. I byli zbyt dumni i zbyt ważni, żeby udać się na wygnanie. To miejsce jest dla tych z nas, którzy nie mają nic przeciw swojej małości, którzy potrafią żyć niezauważenie. Dla tych, którzy nie wstydzą się chować. Ale nawet my w końcu przeminiemy, bo nie można wciąż maleć i nie zniknąć.

Galina skinęła głową na znak, że rozumie. Usłyszała hałasy w innych częściach domu i domyśliła się, że Jakow i Timur-bej też wstali. Kościej wcale się nie kładł, przynajmniej tak twierdził - czuwał przez całą noc, stojąc na straży. Nie chciał powiedzieć, dlaczego ani przed kim.

Niedługo później wyszli. Galina poczuła ulgę, gdy Kościej i Zemuna postanowili, że nie zawrócą, tylko pójdą dalej w las, by szukać sprawcy - wciąż musiał być po tej stronie, skoro wioślarz przysięgł, iż od jakiegoś czasu nikogo nie przewoził. Galina nie

traciła nadziei, że zobaczą więcej ciemnopiórych ptaków i że gdzieś wśród nich odnajdzie swoją siostrę.

- Opowiedz mi o tych ptakach, o których wspomniałaś - poprosiła Zemunę, gdy szły przez topniejący śnieg. Pierwsze zawilce wyzierały spod topiącej się przejrzystej skorupy, ich białe płatki i żółte środeczki nieśmiało zerkały na świat. Wyglądały nienaturalnie pod śniegiem i Galina pochyliła się, żeby odkryć kwiaty i cienkie, delikatne liście.

Zemuna czekała na nią, żując cierpliwie.

- Chyba mogę - powiedziała, gdy ruszyły dalej. - To pomoże nam zabić czas. Ałkonost i Sirin, tak, siostry, i Ognisty Ptak, pewnie o nich słyszałaś. Ale ja najczęściej myślę o Gamajun.

Galina zauważyła, że Jakow przyśpieszył, wyciągając słuch, żeby podchwycić opowieść Zemuny. Gawron albinos na jego ramieniu też słuchał. Galina uśmiechnęła się mimo ponurego nastroju - wszyscy byli jak dzieci, spragnieni dobrej historii.

- Zdarzyło się to dawno temu - zaczęła Zemuna. - W czasach, gdy niebo i ziemia miały znaczenie, gdy tylko umarli mieszkali pod ziemią.

Jakieś niejasne więzi pokrewieństwa łączyły Gamajun z Ałkonost i Sirin - nawet najbardziej niedbały obserwator zauważyłby, że wszystkie trzy istoty nie do końca były ptakami; miały kobiece piersi i kobiece twarze, surowe, ale piękne. A gdy otwierały usta, śpiewały kobiecymi głosami, głębokimi, bogatymi i gorzko-słodkimi.

Ałkonost, olśniewająca w białych piórach, śpiewała o radości, a gdy śmiertelnicy słyszeli jej głos, wszystkie troski i kłopoty spadały im z ramion, starzy czuli się młodzi, smutni się weselili, a zmęczeni odzyskiwali siły. Ałkonost mieszkała w Ogrodzie Irij, w gałęziach drzewa, które rosło korzeniami w niebie, konarami sięgając ku ziemi. Tam śpiewała bogom, a jej śpiew sprawiał, że było im lżej na sercach, ciężkich od zmartwień związanych z kierowaniem światem.

Sirin o ciemnoszarych piórach i długich zwiewnych skrzydłach śpiewała tylko dla świętych, bogów i świętych ludzi - jeśli usłyszeli ją śmiertelnicy, byli tak oczarowani pięknem jej głosu i spokojnej twarzy, że szli za nią ku śmierci; niektórzy tracili przytomność i nigdy jej nie odzyskiwali, na zawsze zatraceni w cudzie swoich wizji. Wielu powiadało, że mieszkała w Nawi, królestwie zmarłych i zagubionych. Inni utrzymywali, że mieszkała obok siostry, Ałkonost, w konarach niebiańskiego odwróconego dębu. Co noc śpiewały w duecie zachodzącemu słońcu tak słodko, że

nawet bogowie stawali się cisi i zadumani. Pieśni radości i smutku splatały się, a gdy ogromna płonąca kula słońca udawała się na nocny spoczynek, sam niebiański dąb zastygał w bezruchu, ani jeden listek nie śmiał zatrzepotać na jego gałęziach.

Ale Gamajun, z piórami czarnymi jak smoła, twarzą białą i zasmuconą, ani nie śpiewała, ani nie urządziła sobie domu w Iriju. Przeklęta darem wieszczona, fruwała z jednego końca świata w drugi, wykrzykując wizje zagłady każdemu, kto chciał słuchać. Czarne włosy na kobiecej głowie powiewały, pełne gracji skrzydła łopotały ciężko, szponiaste stopy chwytaly powietrze w daremnej próbie przytrzymania się czegoś, jak tonący, który bije rękami wzburzoną wodę, gdy nadzieja na poczucie czegoś solidnego w palcach maleje, a zarazem z każdą sekundą staje się bardziej desperacka. Taka była Gamajun o gromkim, chrapliwym i przeraźliwym głosie, gdy darła niebo w locie.

Gamajun nigdy nie odpoczęła na gałęziach niebiańskiego dębu, nigdy wraz z Ałkonost nie zaśpiewała zachodzącemu słońcu, a ludzie bali się jej bardziej niż Sirin. Sirin wróżyła pewną śmierć, ale obiecywała również przyjemne i słodkie wizje, ciche, pełne zadowolenia osunięcie się w nieświadomość. Głos Gamajun zwiastował tylko nieszczęścia, bez nadziei czy pociechy, bez możliwości uniknięcia przepowiedzianej zguby. Była gorsza niż Jednookie Licho, gorsza niż ślepy Zlyden, który przyczepiał się do ludzi, przynosząc im niedolę i biedę - każdy mógł pozbyć się Licha, wabiąc je do beczki, albo wymieść Zlydena z domu, ale przed prorocत्वami Gamajun nie było kryjówek. Unikali jej nawet bogowie, gdy zaczęła wieszczyć koniec ich czasu i ponury, długi upadek pod ziemię. I taki był los jej samej.

Wieszczu ptak wciąż prorokował, napędzany ogniem płonącym głęboko w sercu. Skrzydła Gamajun wciąż cięły powietrze, a głos, chrapliwy i straszny, wykrzykiwał prorocтва. Jej oczy stały się szalone i czarne, otoczone ciemnymi kręgami. Gdy udręczone przepowiednie się spełniły, Gamajun trafiła pod ziemię.

Ałkonost i Sirin umilkły i rozchorowały się z tęsknoty za słońcem. Już nie śpiewały, tylko stroszyły matowe pióra, siedząc wysoko na gałęziach blaskodrzewa. Ale Gamajun nie mogła przestać wieszczyć, choć jej zdarty głos brzmiał nie głośniejszy od chrapliwego szeptu. Syczała i charczała, i szeptała z uporem o strasznych rzeczach dziejących się na powierzchni, i o tym, co dopiero się zdarzy.

Gamajun mówiła o ogniu i popiele, wróżyła płomienie niewidziane w minionych stuleciach, wróżyła, że dumne miasto nad nimi strawi pożar większy od dotychczasowych; wróżyła krew i nieznane dotąd zniszczenia; wróżyła, że Moskwa

nad ich głębokim grobem przemieni się w kwiat ognia, piękny i straszny; wróżyła jego gorączkowy rozkwit i nasiona czarnego popiołu.

Bogowie i inni nie chcieli ignorować Gamajun, ale jej prorocтва były po prostu zbyt potworne, by przyjąć je do wiadomości. Mimo to mieszkańcy podziemia zwracali w górę zatroskane spojrzenia i wzdychali za każdym razem, gdy wyobrażali sobie tętent końskich kopyt i huk ognia.

Ojczulek Mróz szalał z wściekłości i zapowiadał wczesne, srogie zimy, a leszy zapuszczali się do powierzchniowych lasów, by zwodzić armie najeźdźców. Gamajun wciąż krzyczała, syczała i wieszczyla ogień, aż w końcu zniknęła w dniu, gdy Moskwa płonęła i dymiała, gdy Napoleon zajął miasto będące wówczas zaledwie garścią popiołów.

- A teraz bagnety napoleońskie i ptaki - powiedziała Galina do Zemuny. - Myślisz, że jest jakiś związek?

Kościęj uśmiechnął się drwiąco z wysoka.

- Sama to wszystko wymyśliłaś? A może naprawdę uważasz, że mówienie tego, co oczywiste, w jakiś sposób pomoże?

- Nie wiedzieliśmy o Gamajun - zaznaczył Jakow. - Jeśli to dla ciebie takie oczywiste, dlaczego o tym nie wspomniałaś?

- Bo wcale nie jest oczywiste - powiedziała Zemun. - Nie myślałam o tym od jakiegoś czasu.

Galina zwróciła się do Jakowa, bo choć wątpiła w jego ogólne umiejętności, był jej główną nadzieją na znalezienie Maszy.

- Co myślisz?

Otworzył usta, ale gawron Siergiej go ubiegł.

- Wyciągasz pochopne wnioski. Bagnety napoleońskie? Można je kupić, w dzisiejszych czasach wielu ludzi zbiera zabytkową broń. Dlaczego uważasz, że wszystko musi mieć związek z twoją prywatną obsesją?

Galina przełknęła ślinę i milczała. Siergiej ma rację, pomyślała; we wszystkim widziała znaki, osobistą wiadomość mającą doprowadzić ją do siostry. Nie różniła się od ludzi, których widziała w szpitalu, tych, którzy odbierali tajemne znaki i intonacje przez telewizor i każde drobne wydarzenie postrzegali jako przeznaczoną wyłącznie dla nich zaszyfrowaną wiadomość. Wspomniała kobietę, która w soboty czekała przed telewizorem na ogłoszenie zwycięskich numerów loterii. O ile wiadomo, nigdy nie

kupiła losu, ale zapisywała numery i próbowała je rozkodować, marszcząc czoło i poruszając ustami w pełnym udręki skupieniu. Galina uznała, że jest dokładnie taka sama jak ona. Znowu spojrzała na Zemunę i Kościeja, zastanawiając się, czy są tutaj naprawdę.

Jakow dotknął jej ręki, jego palce były twarde i szorstkie jak rzemień.

- Nie słuchaj go. Co on może wiedzieć?

- Oglądałem w telewizji ten sam program, co ty - powiedział gawron Siergiej. - Zawsze próbują ci wmówić, że rozumiesz, o co chodzi, a gdy już w to uwierzysz, okazuje się, że guzik wiesz i skutki są oplakane.

- Czy moglibyście przestać? - Zapytała Zemuna, tracąc cierpliwość. - Przestańcie zgadywać, to nie gra. Tu nie ma zasad. Chodzi także o nasze życie, równie ważne jak wasze.

Kościej pokiwał głową.

- Wy, ludzie, zawsze myślicie, że jesteście najważniejsi. Jakbyśmy byli tutaj tylko dla waszej rozrywki. Nie wpadło wam do głowy, że Berendej był moim przyjacielem, prawda?

- Nie wydawałeś się zbyt przejęty - zaskrzeczał Siergiej.

- Większość nas nie żyje. W pewnym momencie przedstawienie po prostu się kończy. To nie znaczy, że nikt nie rozpacza.

Galina spojrzała na rdzawe liście - zima się skończyła, albo wskutek śmierci Berendeja, albo nieobecności Ojca Mroza - i ziemię jak okiem sięgnąć okrywał żółtopomarańczowy dywan spadłego listowia. Wiewiórki, z kitami rudymi jak liście dębów i jesionów, biegały po pniach, przystając tylko po to, by skrzeczeniem wyrazić dezaprobatę dla przechodzących podróżnych.

Coś zaszeleściło w gałęziach drzewa, pod którym przechodzili. Galina uniosła głowę i napotkała spojrzenie pary niewiarygodnie dużych żółtych oczu przeciętych pionowymi źrenicami. Tygrys, pomyślała. Nie spodziewała się spotkać tygrysa w tej strefie klimatycznej, ale przecież przebywała pod ziemią, gdzie żyły znacznie dziwniejsze stworzenia. Nie była pewna, czy stworzenie na drzewie jest niebezpieczne, więc stanęła jak wryta.

- Dlaczego się zatrzymałaś? - Zapytał Jakow.

Wskazała ręką bez słowa. Zemuna spojrzała w górę i parsknęła śmiechem.

- To Bajun. Chodź, kocie, i powiedz nam, co widziałeś.

Kot Bajun zeskoczył z drzewa w dwóch pełnych wdzięku susach. Był znacznie mniejszy niż tygrys, ale znacznie większy niż kot domowy. Duży jak collie, osądziła Galina. Wyprężył pręgowany grzbiet i ziewnął, wbijając pazury w ziemię, jakby szarpał struny niewidzialnej gitary. Nie spuszczał z oczu Galiny, rozciągnął wargi, odsłaniając długie ostre kły z macicy perłowej.

- Nic nie widziałem - powiedział dźwięcznym, niemal młodzieńczym głosem. - Czego szukacie?

Galina słyszała o Bajunie, ale nie mogła sobie przypomnieć, czy jest dobry, czy zły. Podczas gdy Zemuna wyjaśniała mu sytuację, próbowała dojść, czy powinna się bać dziwnego gadającego kota - wydawał się groźny.

- Przepraszam - szepnęła do Jakowa - wiesz coś o Bajunie?

- Niewiele. Myślę, że jego śpiew może cię uspić, i podobno mieszka w królestwie za siedmioma górami, za siedmioma rzekami.

- Jest również związany z mitem skandynawskim - dodał Kościej. - Jego dziećmi są dwa koty, które ciągną rydwan Frei, przynajmniej wedle niektórych źródeł.

- Nie wiedziałem, że rosyjskie baśnie coś łączą z innymi religiami - powiedział Jakow.

Kościej się roześmiał.

- Żartujesz, prawda? Większość pogańskich bogów Rosji została zapożyczona skądinąd, ze Skandynawii, Fenicji, Grecji, Egiptu... Można wymieniać w nieskończoność. Tutaj jest niewiele oryginalnego folkloru.

Galina pomyślała, że to dziwne, że istoty mitologiczne dyskutują o własnym pochodzeniu. Ale z drugiej strony, dlaczego nie?

- Czy to prawda, że może usypiać ludzi? - Zapytała Kościeja.

Skinął głową, podniósł z ziemi zdrowy rdzawy liść i zwinął go w dwóch palcach.

- Chodzi nie tylko o usypianie - powiedział i uśmiechnął się blade. - Powinnaś zainteresować się snami. Bajun może sprawić, że twoje sny będą... Interesujące, skromnie mówiąc.

Kościej miał rację. Sny Galiny były niezwykle wyraziste i żywe, i we śnie naprawdę wierzyła, że jest z powrotem w domu, w ich małym mieszkaniu, z babcią, która w kuchni gotowała coś z kapusty, co wydobywało z niej zapach. Matka była w pracy, a Galina szykowała się na zajęcia w szkole wieczorowej, do której uczęszczała w czasie krótkich okresów jasności umysłu. Masza, która jeszcze chodziła do podstawówki,

siedziała w pokoju, głucha na ryk telewizora, z łokciami wspartymi na parapecie, z otwartą książką pomiędzy nimi.

Galina czuła się winna, ponieważ była złą starszą siostrą - nieobecną, daleką, kruchą, i niepewną, co jest prawdziwe, a co nie jest. Rozpaczliwie pragnęła być tutaj dla Maszy - takiej młodej, takiej różowej, tak pełnej zdrowia i nadziei. Ogromnie chciała, by Masza znalazła w niej bratnią duszę.

- Praca domowa? - Zapytała.

Masza podniosła głowę znad książki, jej wzrok na chwilę zatrzymał się na czymś za oknem i dopiero potem spojrzała na nią.

- Nie, tylko czytam.

- Co? - Dociekała Galina, podziwiając krągły kontur policzka siostry. Ile miała lat? Jedenaście, dwanaście? Coś koło tego.

Masza spojrzała na okładkę.

- Hamleta. Znasz to?

Galina się uśmiechnęła.

- Tak. Jak ci się podoba?

Masza zrobiła zadumaną minę.

- Wszyscy mówią wierszem... Ale mi się podoba. Szczególnie ten fragment o czterdziestu tysiącach braci... Całe mnóstwo, prawda?

Galina pokiwała głową. Rozumiała cichy podziw w głosie Maszy - żaden ze znanych im dzieciaków nie miał wielkiej rodziny, a dziewczynka była szczęściarą, gdy miała starszego brata. Powszechnie akceptowana prawda wyglądała tak, że bracia są lepsi niż siostry - potrafili być silni i opiekuńczy, i mogli zastąpić ojca dziewczynce, która go nie miała. Starsze siostry generalnie były niepotrzebne, ponieważ się wyprowadzały i miały własne dzieci, więc nie mogły zapewnić ochrony.

- Żałujesz, że nie masz brata, prawda? - Zapytała Galina.

Masza miała przez chwilę skruszoną minę, ale zaraz się uśmiechnęła.

- Chciałabym, żeby mieszkał z nami chłopak. A ty?

- Niezupełnie. Masz szczęście, że nie pamiętasz taty.

Masza spojrzała ukradkiem w stronę kuchni. Babcia była zajęta rozgrzewaniem oleju roślinnego, trzaskaniem drzwiczkami piekarnika, produkowaniem zapachów kapusty i smażonej cebuli.

- Babcia robi pierogi - zameldowała. - Opowiedz mi o naszym ojcu.

Nie było nic nowego do powiedzenia, ale ta rozmowa niosła komfort bliskości.

- Był draniem - powiedziała Galina.

- I pijakiem - dodała z przekonaniem Masza.

- Nie takim wielkim. Sąsiedzi mówili, że mama była głupia, pozwalając mu odejść.

Gdzie znajdzie trzeźwego mężczyznę, mówili. Ale on po prostu... Był nijaki. Chyba nigdy nie powiedział do mnie słowa. I babcia go nie cierpiała.

Masza pokiwała z uśmiechem głową.

- W takim razie chyba dobrze, że nie ma tu żadnych chłopaków.

- Skoro tak mówisz.

- Spóźnisz się do szkoły. Dlaczego chodzisz do szkoły wieczorem?

- To szkoła wieczorowa dla tych, którzy pracują - wyjaśniła Galina. - Jak ja.

Trochę mogę się spóźnić.

Masza przyjrzała się jej badawczo, tak idealnie naśladowując spojrzenie matki, że Galina musiała się roześmiać.

- Naprawdę musisz traktować to poważnie - powiedziała Masza. - Jeśli się nie zmienisz, nigdy nie zdobędziesz wykształcenia i pewnie wyjdę za mąż przed tobą.

- Oczywiście. - Galina wciąż się śmiała. - To ty chcesz mieć chłopaków w domu.

Masza wzruszyła ramionami.

- Gałka - zaczęła z zadumą - wolałabyś być głucha czy ślepa? Galina rozważyła możliwości.

- Chyba głucha. A ty?

- Ślepa. W ten sposób mama nie miałaby innego wyboru niż kupić mi psa.

- Widzę, że masz to zaplanowane. - Galina spojrzała na zegarek i westchnęła. - Muszę lecieć. Ale jeszcze nie ślepnij, może zdołamy namówić mamę na załatwienie ci szczeniaka.

Masza się rozpromieniła.

- Dzięki, Gałka. Wiesz, czego naprawdę chcę? To znaczy, poza szczeniakiem?

Galina spojrzała w okno i zobaczyła, że jedzie jej autobus. Będzie następny; usiadła na kanapie i zzuła buty.

- Czego naprawdę chcesz?

Masza wlepiała wzrok w przejeżdżający autobus.

- Chcę być kimś innym.

- Kim?

Masza wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Nie sobą.

Znowu poczucie winy; Galina nie mogła opanować uczucia, że to też jest jej wina. Kto chciałby być dziewczyną z siostrą wariatką, bez braci czy ojca? Kto chciałby być dziewczyną z taką surową matką i milczącą, pełną dezaprobaty babcią, która ciągle gotuje ziemniaki, pierogi, barszcz smakujący frustracją i tłumionym gniewem? Kto chciałby być dziewczyną w domu pełnym nieszczęśliwych kobiet, i bez nadziei, że kiedyś ona będzie inna?

- Przykro mi - powiedziała Galina. - Wiesz, wszystko może się zmienić. Nie musi być tak zawsze.

Masza pokiwała głową.

- Idź. Kocham cię tak bardzo, jak czterdzieści tysięcy braci.

Potem scena się zmieniła - znajdowały się w ciemnym pokoju z okopconymi drewnianymi ścianami. Masza była starsza, ale jej oczy wciąż patrzyły na Galinę z pełnym nadziei oczekiwaniem.

- Pomożesz mi, prawda?

- Jak zawsze - odparła Galina. - Jestem tutaj, szukam cię z głupią krową i Kościejem Nieśmiertelnym, podczas gdy mama siedzi w domu z twoim dzieckiem.

Przez chwilę Masza miała zdezorientowaną minę.

- Z dzieckiem?

Galina skinęła głową.

- Ale o tym porozmawiamy później... Osobiście. Teraz powiedz mi tylko, gdzie jesteś.

- W zamku. W zasadzie to nie wygląda na zamek, ale mówią, że mieszkał tu Piotr Wielki.

- Kim oni są? - Galina starała się panować nad głosem.

Masza wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Jest ich kilku, a może tylko jeden, codziennie z inną twarzą.

- Czego od ciebie chcą?

- Nie wiem. Trzymają nas tutaj i posyłają, zawsze nas posyłają, żebyśmy patrzyli i mówili im, co widzimy. Mają wiele ptaków, widzimy każdy kąt z góry i z dołu. Zabierają obrazy z naszych oczu i wspomnienia z naszych głów, dźwięki z uszu i głosy z języków... Proszę, znajdź mnie, zanim wszyscy ogłuchniemy, oślepnjemy i oniemiejemy.

- Kto ma wiele twarzy i zamek? - Zapytała Galina Zemunę, gdy tylko się zbudziła pod drzewem Bajuna. Patrzcie tylko, pomyślała, mówię przekłętymi zagadkami. I proszę o radę gadającą krowę. Rozmawiam z ptakami i kotami. Dobrze, że moja schizofrenia jest w remisji.

- Hm - mruknęła Zemuna. - Może Dwojedusznik. Ale kto wie, jakie inne stworzenia czają się w tym lesie?

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Wtrącił Jakow. - Myślałem, że znacie się wszyscy.

- Znasz każdą osobę w Moskwie czy choćby w swojej dzielnicy? - Zripostował Timur-bej. - Kiedy powstało to miejsce, niektórzy postanowili zbudować miasto. Inni zostali w lesie. Czy nikt ci nie powiedział, że tu nie jest bezpiecznie?

- David mówił - przyznał Jakow. - Nie wyjaśnił dlaczego.

- Jest też coś, co może chciałbyś wiedzieć - powiedziała do niego Galina. - Pamiętasz dom Piotra Wielkiego w Kołomienskoje, o którym wspomniał Siergiej? Śniłam, że był tutaj, w tym lesie.

Gawron Siergiej przeskoczył na ramię Galiny i spojrzał jej w twarz.

- Chcesz powiedzieć, że ten las to naprawdę Kołomienskoje?

- Nie sądzę. Ale może istnieje jakieś połączenie.

- Może - zgodził się Kościej. - Ale ze wstydem przyznam, że nie znam tu niczego, co należało do carów.

- Ja znam - powiedział Timur-bej. - Nawiasem mówiąc, to nie jest ten sam dom, co w Kołomienskoje.

- Skąd wiesz? - Zapytała Zemuna.

- Bo ten tutaj trafił pod ziemię po tym, jak wersja naziemna została spalona przez Napoleona.

Galina i Jakow wymienili spojrzenia. Jeśli nie wnikać zbyt głęboko, to prawie miało sens - Kołomienskoje, Piotr Wielki i ptaki - ale w chwili, gdy spojrzało się wprost, poszczególne elementy znowu się rozpadały; przypominało to kostki mozaiki, które tworzą obraz, gdy patrzy się z daleka, ale z bliska stanowią bezsensowną mieszaninę.

Jakow najwyraźniej miał podobne odczucia, bo pokręcił głową i westchnął.

- Myślisz, że się zbliżamy? - Zapytał Galinę.

Skinęła głową.

- Nie obchodzą mnie zagadki. Po prostu chcę odzyskać siostrę, ty weź sobie resztę.

Jakow uśmiechnął się niepewnie.

- To brzmi jak umowa - powiedział.

NAPOLEON

Świat zwykle ma sens; tyle Jakow pamiętał. A jednak tutaj, pod ziemią, nie mógł pozbyć się myśli, że widoczny sens i porządek jest tylko wytworem jego tęsknego optymizmu. Przyszło mu też do głowy, że im bardziej zbliża się do zła, tym trudniej zachować iluzję, że wszechświat jest sensowny.

Nie podobało mu się niejasne i abstrakcyjne pojęcie zła, zawsze występujące w liczbie mnogiej: bandyci, komuniści, terroryści czeczeńscy. Zło nigdy nie było konkretną osobą, którą można obwinić tu i teraz, zło mogło być zidentyfikowane i nazwane po imieniu dopiero po upływie dłuższego czasu, ale kto wtedy mógł w nie uwierzyć? A po życiu pod ziemią i wysłuchaniu historii mieszkańców zaczął wątpić, czy historykom na powierzchni kiedykolwiek udało się zrozumieć prawdziwe znaczenie jakiegokolwiek zdarzenia.

Teraz czuł się zagubiony pomiędzy snami i spekulacjami, w ciemnym lesie tak wielkim, że początkowo rozległe i przytłaczające podziemne miasto stało się ledwie plamką zagubioną w mozaice drzew - niektórych zamrożonych i bezlistnych, innych zaczynających wypuszczać pierwsze lepkie liście: mozaika pór roku i - jak podejrzewał - czasów. Gdzieś w głębi lasu wznosił się pałac cara, który porzucił Moskwę dla Sankt Petersburga. W pałacu były ptaki, niegdyś będące ludźmi, ujarzmione przez jakichś nieznanymi, groźnych wrogów - licznych, bez twarzy, jak każde inne zło.

Prowadził ich Timur-bej, kierując się punktami orientacyjnymi, jakie tylko on umiał wypatrzeć. Czasami przystawał, by spojrzeć z bliska na pień drzewa lub splacheć trawy, albo potrzeć delikatny szkielet spadłego liścia w drobnych suchych dłoniach.

- Co on robi? - Zapytał szeptem Jakow. - Czego szuka?

- Nie sędzę, żeby czegoś szukał - odszepnęła Galina. - Chyba się modli.

- Modli? Do kogo?

Westchnął i umilkł, gdyż przyszło mu na myśl, że tutaj, pod ziemią, nikt nie usłyszy jego modłów. Nigdy nie był szczególnie religijny, pomimo wysiłków matki, która kazała mu chodzić do cerkwi i zastanawiać się nad własną duszą. A jednak żywił przekonanie, że jeśli kiedyś będzie miał ochotę się pomodlić, to ktoś go wysłucha; przynajmniej matka zapewniała, że tak będzie. Tutaj pozostała mu ponura wiedza, że wszyscy bogowie, którzy kiedyś mieli moc, nie żyją, a on jest zdany na łaskę dziwnych stworzeń o niejasnych zamiarach. Nic dziwnego, że szukał wsparcia u Galiny.

Ona jednak wydawała się czymś zaabsorbowana. Odkąd zaczęła śnić o siostrze, stawała się coraz bardziej daleka i niespokojna, jakby jej część wybiegała naprzód, zostawiając za sobą resztę, która nie mogła nadążyć.

- To jak zły sen - powiedziała Jakowowi. - Znasz sny, w których próbujesz uciec, ale nie możesz albo poruszasz się bardzo powoli?

Pokiwał głową.

- Myślę, że każdy je miewa.

- To dziwne. Chyba nikt nigdy naprawdę nie biegał w melasie. Zastanawiam się, skąd się biorą takie sny.

- Z chodzenia w błocie. Tam, gdzie mieszkałem, jest takie błoto, zwłaszcza po deszczach. Wszędzie są budowy.

- Przypomina to moją okolicę. Kiedyś rosły tam sady jabłoniowe, a teraz jest tylko brud i linia kolejowa.

- Pamiętam - powiedział. - Mieszkam dwie ulice od ciebie, przy supermarkecie i sklepie monopolowym.

- I hucie szkła - dodała. - Tej, o której mówił Siergiej. To dziwne, mieszkaliśmy tak blisko, a nie mieliśmy pojęcia, co się tam dzieje, co bandyci wyprawiają z magią.

- Zgadza się. Ale czy nie jest jeszcze dziwniejsze, że pod naszymi stopami istnieje cały ten przeklęty Świat, a nikt o nim nie wie?

- Tak. - Czoło Galiny przeciął wzór wąskich linii, które zadomowiły się na stałe na jej gładkiej skórze. - Ale ktoś musi wiedzieć. KGB pewnie wie, jak mogliby nie wiedzieć?

Jakow wzruszył ramionami; nie podzielał tego przekonania, chociaż spotkał się z nim wiele razy - z gruntu rozsądni ludzie często wierzyli, że KGB było wszechwiedzące, i przypisywali pracownikom organu nadludzkie umiejętności. Przypuszczał, że w ten sposób łatwiej było się pogodzić ze złem; skoro było

wszechwiedzące i wszechmocne, nikt nie mógł mieć żalu do siebie, że padł jego ofiarą. Wiara we wszechmoc KGB niosła pociechę - może nie zawsze przyjemną, ale lepszą niż druga możliwość, bo kto chciałby żyć w strachu przed zaledwie cieniem?

Jakow westchnął.

- Może nie. To miejsce... Jeśli nawet ktoś o nim wiedział, kto by uwierzył? Chociaż tu jestem, wciąż podejrzewam, że lada chwila się obudzę. To takie dziwne, że przez większość czasu nawet nie wiem, jak się zachowywać... Poznałem niezwykłego dziadka, na litość boską. Nie mam pojęcia, jak ty możesz być taka.

- Jaka? - Galina spojrzała na ziemię pod nogami.

- Jakby to wszystko... Jakby to było prawdziwe. Bierzesz to na serio.

- Muszę. Tutaj jest moja siostra. A ty... Gdy zobaczyłam, co ci zrobił wioślarz... Myślę, że ty też traktujesz to całkiem poważnie.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

Jakow przyśpieszył. Patrzył na drzewa, na długie brody islandzkiego mchu falujące na wietrze, na ciemne igły czarnych świerków rzucające długie cienie na wąską ścieżkę, i czuł głęboki niepokój, jak pod nieruchomym spojrzeniem wioślarza, który lodowatymi palcami umysłu badał i przesiewał jego wspomnienia. I tuż na skraju wspomnień rozległ się dźwięk - cichy przenikliwy krzyk, rozdzierający ciszę nocy niczym ostra igła. Gdy umilkł, noc wydawała się znacznie cichsza i chłodniejsza, a luka zostawiona przez zabrane wspomnienie sprawiała ból, bolała jak fantomowa kończyzna kalekiego żołnierza.

Timur-bej chyba zbliżał się do celu, bo przystawał rzadziej na ścieżce zarośniętej przez jeżyny i kępy czyścica. Zemuna szła tuż za nim, tratując rośliny kopytami i torując drogę dla pozostałych, choć Jakow przypuszczał, że Kościej jest zbyt przyzwyczajony do takich drobnych przeszkód, by zwracać na nie uwagę, i że Zemuna stara się dla niego i Galiny.

Las wokół nich znowu się zmienił, jak wiele razy podczas tej podróży. Świerki ustąpiły brzojom i światło tańczyło po ich złotych liściach w kształcie serca. Ścieżka zrobiła się szersza, jakby ktoś niedawno z niej korzystał. Tutaj było więcej otwartej przestrzeni i dopiero teraz Jakow zdał sobie sprawę, jak się dusił pod szczelnym baldachimem świerków. Brzozy były znacznie ładniejsze, znacznie bardziej sielskie - przypominały mu o wszechobecnych sentymentalnie patriotycznych obrazach, zawsze z brzojami i błękitnym niebem, zawsze z tą nieuchwytną cechą rosyjskich lasów i innych środowisk naturalnych. Ale teraz cieszył się, że je widzi.

Polany otwierały się z prawa i lewa, miękkie soczyste łąki długiej gęstej trawy, ostra turzyca rosła w podmokłych miejscach wzdłuż strumienia, który gulgotał w swoim cichym języku idioty.

- Czekajcie - szepnął Timur-bej i ukląkł, żeby obejrzeć ślady stóp na miękkiej ziemi.

Jakow nie był doświadczonym tropicielem, ale nawet on zobaczył, że łąka jest tratowana.

- Bose stopy - wskazał Timur-bej. - A tutaj nie całkiem bose, ale prawie. Wygląda to tak, jakby buty się rozsypywały.

Siergiej zatrzepotał skrzydłami i niezdarnie opadł na ziemię. Na wpół skacząc, na wpół biegnąc, zbliżył się do Timur-beja i spojrzał na głębokie owalne zagłębienie wypełnione ciemną bagienną wodą.

- To kolba karabinu - oświadczył.

- Albo muszkietu - podsunął Timur-bej. - Czy nie mówili, że kula jest głupia, a bagnet mądry?

- Może muszkietu - zgodził się Siergiej. - Uważam, że powinniśmy być cicho, żeby nie przyciągnąć uwagi.

- Może są przyjaźnie nastawieni - powiedziała Zemuna.

- Mają broń - zaznaczył Kościej. - Mnie to nie trapi, ale wy, worki mięsa, powinniście mieć to na względzie. Bosi mężczyźni z wielkimi karabinami rzadko są w na tyle dobrym nastroju, żeby gawędzić przed oddaniem strzału.

- To mi się nie podoba - stwierdziła Galina. Gawron zaśmiał się skrzekliwie.

- Ten kawałek o karabinach czy o mężczyznach?

- Och, daj jej spokój - powiedział Jakow.

- Ja tylko mówię. Nie za bardzo lubisz mężczyzn, prawda?

Galina z zakłopotaniem poruszyła ramionami i zgarbiła się.

- Nie. Do czego zmierzasz?

- Dość - przerwał im Jakow. - Ta chwila naprawdę nie jest odpowiednia. - Oczywiście tak wyglądała prawda, ale też Jakowowi nieszczególnie podobał się temat rozmowy. Znał Galinę, wychowała się tak jak on - bez ojca, wśród kobiet zahartowanych przez gorzkie doświadczenia życiowe. Nie miała powodu być inna niż była, a jednak poczuł się winny, gdy powiedziała „nie”. Jakby to była jego wina - ale z drugiej strony, zostawił swoją żonę. A może to ona go zostawiła; już nie pamiętał, wspomnienia zatarły się, zasnute pajęczynami kłamstw, racjonalizacji i nowych wersji

tej samej historii, opowiadanych tyle razy, że szczegóły przybrały kształt jego słów, a same słowa stały się prawdą i nabrały treści, niczym maska pośmiertna.

Szli drogą pod skąpą osłoną drzew. Cienkie gałęzie i liście tkwały wzory światła i cienia, maskując sylwetki przesuwających się pod nimi ludzi i krowy. Łąki ustąpiły miejsca zbitym kępom zarośli - tarnina, nawłóć i wierzbówka porastały osmalone ruiny dawno zapomnianych domostw.

Drzewa zostały w tyle, gdy stanęli pomiędzy zarośniętymi ruinami i wysokim ogrodzeniem z grubych, długich kłód ustawionych jedna przy drugiej, z zaostrozonymi czubkami, które groziły, że przeszyją niebo. Nie mieli pojęcia, co się skrywa za częstokołem, widzieli tylko zakrętas dymu, a silna woń spalenizny aż drapała w gardle.

- Coś się pali - powiedziała Galina.

Timur-bej pokręcił głową.

- Nie. Spłonęło wiele lat temu, ale wciąż się tli. Jak oni. - Wskazał ruchem głowy.

W cieniu ogrodzenia siedziało i stało pięciu mężczyzn ubranych w łachmany, ze stopami okręconymi kawałkami szorstkiego płótna żaglowego, z muszkietami opartymi na ramionach. Ale Jakow patrzył na ich twarze, czerwone, jak gdyby oblane wrzątkiem, na osmalone albo całkiem spalone brody i brwi, na ślepe oczy, białe niczym ugotowane jajko. Paznokcie, obrzeżone żalobną czernią, były pełne bąbli, jakby się roztopiły i spływały z czubków palców. Łachmany pokrywała sadza, ale Jakow odgadł, że niegdyś były to mundury, choć niepodobna było zobaczyć dystynkcji. Przypuszczał, że żołnierze pochodzą z początków dziewiętnastego stulecia, nie mógł jednak określić ich przynależności. Przynajmniej dopóki się nie odezwali.

- Hej, Pietro! - Zawołał jeden z nich. - Która godzina?

- A kogo to obchodzi? - Odparł zapytany i splunął. - Czy czas ma jeszcze jakieś znaczenie?

Jeden z pozostałych pokiwał głową i usiadł, kładąc muszkiet na kolanach.

- Za jakie grzechy zostaliśmy tak ukarani? Jakie grzechy popełniłem, dobry Boże w niebiosach, żeby strzec ogrodzenia spalonego budynku przez całą wieczność? Jakie grzechy, jakie grzechy są tak wielkie, by zasłużyć na taką karę? Dobry Boże, wybacz mi przewiny, jestem drobnym grzesznikiem, i wybaw mnie od tej męki.

- Przestańcie gadać o swoich grzechach, kapralu - powiedział ze zduszonym śmiechem ten o imieniu Pietro. - Kto mówi, że grzechy mają coś wspólnego z tym płotem? I kto może wiedzieć, czyje grzechy są większe?

Pozostali żołnierze zamruczeli, przyznając mu rację.

- Boże, jak bardzo cierpię! - Zawołał kapral.

Odpowiedział mu zbiorowy jęk irytacji. Jakow uznał, że skargi kaprala, których żołnierze wysłuchiwali od stu osiemdziesięciu lat, mogły im działać na nerwy.

Wędrowcy doszli do wniosku, że bezpośrednie podejście byłoby najgłupsze, i postanowili uciec się do starego dobrego fortelu - a raczej postanowił Kościej z Zemuną, bo Galina i Jakow tylko przewracali oczami i z niedowierzaniem kręcili głowami. Timur-bej i Siergiej zachowali neutralne stanowisko w tej sprawie.

- Serio - powiedział Jakow do Zemuny. - Konie trojańskie są stosowane od wieków.

- To nie to samo - odparła. - We mnie nikogo nie ma. - Sprawiała wrażenie zranionej i Jakow przestał ją przekonywać.

Patrzyli, jak Zemuna zbliża się do bramy, rytmicznie poruszając szczękami, z pustką w oczach, jak zwyczajna krowa. Żołnierze odwrócili się i spojrzeli na nią ślepymi białymi oczyma.

- Co to? - Zapytał kapral.

- Wygląda jak krowa, kapralu - odparł Pietro i z zadumą pogładził pozbawioną zarostu twarz, jakby się spodziewał znaleźć brodę. - I to piękna.

Pozostali mruknęli, że w istocie krowa jest dość ładna, jak najbardziej, panie kapralu.

- Od wieków nie piłem mleka - powiedział Pietro. - Ani nie jadłem sera, skoro o tym mowa.

Kapral przestał pomstować na okrucieństwo losu i wreszcie się uśmiechnął. Zemuna pozwoliła im wprowadzić się do środka. Jakow odetchnął z ulgą. Miał nadzieję, że plan wypali.

Gdy zapadła noc, brama w wysokim ogrodzeniu się otworzyła, oświetlona od wewnątrz widmowym błękitnym blaskiem niebiańskiej krowy. Zemuna skinęła racicą, zapraszając ich do środka. Za bramą zobaczyli dziedziniec z mocno ubitej ziemi; wszystkie dolki i bruzdy odznaczały się w surowym reliefie, jak kraterzy na powierzchni księżyca, oświetlone kałużami światła. Na dziedzińcu leżały rozrzucone gwiazdy, ich niebieskie i białe promienie przeszywały ciemność niczym reflektory.

- Co tu się stało? - Zapytał Jakow, wskazując kule czystego światła na gołej ziemi dziedzińca.

- Próbowali mnie wydoić - odparła Zemuna i sposepniała. - Ale chyba niczego nie podejrzewają.

Galina zaśmiała się bez przekonania.

- Oczywiście, że nie. Dlaczego mieliby coś podejrzewać?

Jakow spojrział za rozrzucone gwiazdy. Zapomniał o niebezpieczeństwie i wszystkim innym, wlepiając wzrok w drewniany pałac, który się piętrzył nad nimi. Fasety wycięte w gładkich jasnych ścianach przypominały mu pałace Kremla, a cebulaste złożone kopuły na siedmiu smukłych wieżach wyglądały piękniej niż wszystkie inne, jakie dotąd widział.

- Co to jest? - Szepnął.

- To była jedna z najstarszych budowli Kremla - wyjaśnił Timur-bej.

- Teraz wszystkie są z kamienia - powiedziała Galina.

- Kiedyś były drewniane. - Migdałowe oczy Timur-beja były ciemne i surowe w blasku leżących na ziemi gwiazd. - Pamiętam, Tatarzy spalili kilka z tych pałaców... I płonęły na przestrzeni dziejów. Odbudowaliście je z kamienia, ale niektóre stare budynki znalazły się tutaj. Ten... Słyszałem, że spalił go Napoleon. Moskwa płonęła wtedy przez wiele dni.

Moskwa płonęła wtedy przez wiele dni. Historycy spierają się, kto wzniesił pożary. Niektórzy mówią, że sami Rosjanie, chcąc pozbawić najeźdźców żywności i schronienia. Puścili z dymem domy i spichrze, sklepy i magazyny; nie dbali, że niedostatek dotknie również ich. Inni powiadają, że żołnierze napoleońscy spalili Kreml celowo, a wszystko inne przez przypadek, gdyż pogoda była wietrzna, a w obozach płonęło zbyt wiele niestrzeżonych ognisk. Jakow nie wiedział, kto był sprawcą, i nie wydawało się to ważne. Wcześniej się zastanawiał, jak trafili tu żołnierze, których widzieli - Pietro, kapral i pozostali. Teraz mógł to sobie wyobrazić - poparzeni i ranni, duszący się od dymu, z popiołem w ustach, przedzierali się przez ogień i iskry, słysząc trzask potężnych belek płonącego wokół nich pałacu. Musieli zobaczyć wyjście, zniekształcone przez dym i gorąco, i przebiegli na drugą stronę. Byli żołnierzami, przywykłymi do walki, rozgramiania, strzelania i klucia, ale nie do tego, nie do uwięzienia w płonącym budynku o ścianach złożonych płynnymi jezorami ognia. Wyobrażał sobie rozpacz dość wielką, strach dość potężny, by podnieść ducha okazałej budowli, która z rykiem zapadała się w tornadzie płomieni i wyjącego dymu, i

zabrać go ze sobą pod ziemię... Choć podejrzewał, że znajdowali się nie tyle pod ziemią, ile po drugiej stronie, w jakiejś niewidzialnej podszewce znanego świata.

Zemuna zrobiła mały rekonesans - obejrzała szopy, stosy drewna opałowego na podwórzu i małe koszary, gdzie przez całą noc siedzieli bezsennie żołnierze ze spalonymi włosami i ugotowanymi białymi oczami. Wciąż nie wiedziała, kto jest w pałacu, gdyż pałacowe bramy były szczelnie zamknięte. Postanowili zaczekać do rana, ukryci w szopie pełnej na wpół spróchniałych kłód i zardzewiałych toporów.

Galina patrzyła, szukając czegoś w pokrytych pleśnią belkach stropu.

Jakow przypuszczał, że wypatruje ptaków.

- Nie ma ich tutaj - szepnął.

Skinęła głową, wciąż patrząc w górę, jakby liczyła, że zmaterializują się ze stęchłego powietrza. Jakow też spojrział, mrużąc oczy, na krokwie, gdzie cienie gęstniały w zakamarkach, spływając do grubo ciosanych słupów i oplatając je w wymyślnym *chiaroscuro*. Gdy zmrużył oczy i przekrzywił głowę, cienie się poruszyły i coś błysnęło pomiędzy powiekami, niewidoczne, gdy patrzył wprost, pomykające na skrajach pola widzenia, tańczące i szydzące, mrugające jak gwiazdy, które spadły z wymion Zemuny, jak wielkie krople czarodziejskiego mleka.

Galina też na to patrzyła.

- Miałeś kalejdoskop, kiedy byłeś mały? - Zapytała.

- Jasne - odparł Jakow. - Pokaż mi dzieciaka, który nie miał.

Gawron Siergiej zaskrzeczał twierdząco na jego ramieniu. Jakowa ogarnęło nagle głębokie współczucie dla tego człowieka, tego przestępcy uwięzionego w ciele ptaka, gdyż jego słowa znów mu przypomniały, że on też był dzieckiem i że łączyło ich wiele podobnych doświadczeń. Niewiele rzeczy było jedynych w swoim rodzaju w masowo produkowanym radzieckim dzieciństwie.

- Otworzyłaś go kiedy? - Zapytał Galinę.

Uśmiechnęła się, wreszcie odrywając spojrzenie od stropu i patrząc mu w oczy.

- Jasne. Każdy dzieciak to robi. Kto nie chciałby zobaczyć tych wszystkich ukrytych w środku skarbów?

Jakow uśmiechnął się do wspomnień. Nie znalazł nic ciekawego w tekturowej rurce z plastikowymi zakrywkami i małym okularem. W rurce było parę lusterek, a poza tym tylko guzik, szklany paciorek i kilka trójkątnych kawałków kolorowego papieru.

- Zepsułem zabawkę - powiedział. - Potem płakałem całymi godzinami.

Galina skinęła głową.

- Zabawne, że każdy sprawdza, co jest w kalejdoskopie. Myślisz, że dorośli dają je dzieciom umyślnie?

- Po co?

- Aby je czegoś nauczyć... Sama nie wiem. Siergiej sapnął.

- Czego nauczyć? Iluzorycznej natury świata?

Galina wzruszyła ramionami.

- Możliwe. Albo bezsensu piękna, albo czegoś równie przygnębiającego. Wciąż nie rozumiem dorosłych, chociaż do nich należę.

- Nie należysz - odezwał się Siergiej. - Nie masz dzieci. Ja też nie, więc się nie przejmuj. Przemyślałem sobie to wszystko, gdy pilnowałem silosu atomowego - zawsze się czułem jak rozbawiony dzieciak, wiesz, jakbym tylko udawał, że jestem żołnierzem z patykiem zamiast karabinu. Miałem mnóstwo czasu do myślenia, więc wykombinowałem sobie to wszystko. Jesteś albo rodzicem, albo dzieckiem. Dopóki nie masz własnych dzieci, jesteś dzieckiem. A ty, Jakow, kim jesteś?

Jakow nie mógł się zdecydować - nie czuł się ani dzieckiem, ani rodzicem.

- Nie wiem - odparł. - Ale tego dnia, gdy zepsułem kalejdoskop, przysięgłem, że moje dzieci nigdy nie dostaną tej zabawki. Cholernie przygnębiająca i zbyt straszna, żeby ją komuś dawać.

Nie będę jednym z tych głupich rodziców, którzy nie uczą dzieci niczego poza tym, że wszystko jest do dupy, a świat jest popieprzony.

- Bo jest popieprzony - stwierdziła Galina. - Na wypadek, gdybyś nie zauważył, jesteśmy pod ziemią. Z gadającą krową i Kościejem Nieśmiertelnym, gotowi pytać gromadę żołnierzy z około tysiąc osiemset dwunastego, dlaczego, do licha, zadźgali bagnetem ukochanego bohatera baśni. Poza tym moja siostra zaginęła.

- Przykro mi - powiedział Jakow. - Ta część jest rzeczywiście popieprzona. Ale wszystko inne... Nie jest tak źle. Mam rację?

- Masz - przyznała. - Nie jest źle. Zawsze marzyłam o takim sekretnym miejscu... Szkoda tylko, że nie znalazłam go w lepszych okolicznościach.

- Tu nie można trafić w lepszych okolicznościach - powiedział Timur-bej z ciemności w kącie szopy. - Jeszcze nie zauważyłaś?

- Może powinniśmy trochę się przespać - zaproponował Siergiej i schował głowę pod skrzydło.

- Nie chce mi się spać - oznajmił Jakow. Galina przytuliła się do boku Zemuny.

- Mnie też nie.

Krowa się uśmiechnęła. Wydawała się teraz zadowolona, spokojna.

- Po co spać, gdy można rozmawiać? Tylko ciszej. Wróg nie śpi.

Jakow przysunął się do Galiny.

- Przepraszam, jeśli to zbyt osobiste. Ale wspomniałaś, że byłaś...
Hospitalizowana?

Galina pozwoliła, by to na w pół pytanie, na w pół stwierdzenie wisiało w powietrzu przez kilka sekund, podczas gdy marszczyła brwi, jak gdyby zbierając myśli.

- Schizofrenia - powiedziała w końcu.

Jakow nie krył zaskoczenia. Nie wyglądała na wariatkę, przynajmniej przez większość czasu.

- Dla mnie wyglądasz normalnie - wymamrotał i skrzywił się. Teraz gotowa pomyśleć, że wątpi w jej prawdomówność.

- Dzięki - mruknęła. - Pojawia się i znika. Nazywają to schizofrenią bezobjawową. Słyszałaś o czymś takim?

Słyszał. O ile pamiętał, taką diagnozę stawiano malkontentom politycznym. Wygodny sposób represjonowania, niewymagający więzienia. Ze współczuciem popatrzył na Galinę - wydawała się taka mała, zraniona i załamana lękiem o siostrę, pełna rozpaczliwej determinacji, jak ktoś, kto miał w życiu niewiele wartościowych rzeczy i gotów był walczyć o zachowanie ostatniej, która mu pozostała.

Nie wiedział jak jej powiedzieć ani czy w ogóle powinien mówić, że zdiagnozowana u niej choroba naprawdę nie istnieje, że jest wymysłem. Rozważał, czy uświadamianie osoby uważającej się za upośledzoną, że wcale nie jest upośledzona, da coś dobrego - czy ta świadomość ją naprawi, czy stanie się miazdzącym brzemieniem? Próbował sobie wyobrazić, jak to by było, gdyby zrewidował pojęcie o sobie i odkrył, że nie jest taki, jak myślał - czy odkrycie dodałoby mu skrzydeł, czy go zdruzgotało?

- Tak - powiedział w końcu. - Słyszałem. Wydaje się, że radzisz sobie całkiem nieźle.

Galina uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Moja mama. To ona uznała, że coś jest ze mną nie w porządku, gdy byłam jeszcze mała. Dziwne, jak to przewidziała - zaczęłam mieć halucynacje, gdy powiedziała mi, że muszę pójść do szpitala.

- Niesamowite - mruknął Jakow. - Nie sądzisz, że pobyt w szpitalu nie musiał ci wyjść na dobre?

Jej uśmiech zgasł.

- Oczywiście, że o tym myślałam. Uważasz, że jestem głupia? Ale teraz to naprawdę nie ma znaczenia, prawda?

- Chyba nie. Przepraszam, że poruszyłem ten temat.

- Nic nie szkodzi. Ale jestem już zmęczona. Prześpię się trochę, dobrze?

- Jasne.

Galina wsparła głowę o bok Zemuny i z westchnieniem zamknęła oczy. Jakow siedział, słysząc gdzieś w głowie płacz wyimaginowanego dziecka, na samym progu słuchu, nie mógł więc nawet rozstrzygnąć, czy jest to wspomnienie, czy tylko jęk postrzępionych nerwów. Czekał na ranek.

KOŁOMIENSKOJE

W Moskwie jest wiele parków - te w starym mieście, białym mieście, służą rekreacji i rozrywce, niektóre z diabelskimi młynami i ze stoiskami z lemoniadą, pełne kiosków ze wszystkim, czego dusza zapragnie, łącznie z ginem z tonikiem w puszcze. Te na przedmieściach, Carycyno i Kołomienskoje, są inne. Sprawiają wrażenie prawdziwych, istniejących niezależnie od obecności ludzi. Cerkwie w Kołomienskoje i pałac w Carycynie również są prawdziwe - może zniszczone przez czas i zaniedbane, może upstrzone ptasimi odchodami i mrugające kawałkami potłuczonych butelek, ale dostojne w swej starości, rozmarzone, jak się zdawało Fiodorowi, śniące o mijających dniach, które szpecą ich fasady wykruszonymi ceglami i upartymi łatami porostów, o dniach, które odchodzą na zawsze, pozostawiając za sobą budynki podobne szkieletom dalekich wraków.

Popatrzył na odbicie w rzece - znajdowali się teraz w Kołomienskoje, a rzeka tutaj płynęła dość wartko, by stawiać opór sztywnemu uściskowi lodu, który zaczął się tworzyć przy brzegach. Pośrodku woda pozostała czarna i klarowna, jakby wczesne mrozy oczyściły ją z ropy i innych zanieczyszczeń. Prószył śnieg, płatki padały na czyste czarne lustro bez jednej zmarszczki, rozpuszczając się cicho w białej zjawie odbicia cerkwi.

Żeby się tu dostać, musieli przejść przez ogrodzenie. Oksana połamała parę smukłych brzozowych gałęzi i rozpałała niewielkie ognisko, które wytopiło w śniegu mały krater. Siedzieli, patrząc na rzekę i śnieg. Fiodor miał ciepłe ręce od płomieni, ale grzbiet drętwiał mu z zimna. Przysunął się do ognia.

- Uważaj - powiedziała Oksana. - Zapalisz się.

- Lepszy ogień niż hipotermia. Widziałem kiedyś takiego faceta, w szpitalu. Temperatura ciała spadła tak bardzo, że musieli umieścić mu rurki w klatce

piersiowej i przepuszczać przez nie ciepłą wodę. Leżałem na sąsiednim łóżku i pamiętam, jak woda gulgotała mu w piersi. Dziwny dźwięk. Niezbyt przyjemny. Jak siorbanie.

- Brzmi strasznie. Ja też widziałam ludzi zamarzniętych na śmierć. Najważniejsze to nie spać i podsycać ogień. Tutaj nie ma karetek i do rana nikt nas nie znajdzie.

- Żeby tylko do rana. Zimą nikt tu nie zagłada.

- Jeszcze jest jesień.

- Na jedno wychodzi. Kto chciałby spacerować w taką pogodę?

- Mam nadzieję, że kolesie Siergieja.

- Może. - Wrzucił gałąź w płomienie. - Gdzie twój tabor?

Z irytacją wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Może pociągnęli na Ukrainę albo gdzieś na południe.

- Dlaczego ich nie szukasz? Przeze mnie?

- Jesteś obcy - przyznała. - Większość Romów nie lubi obcych. Ale ze mną byłbyś w porządku.

- Dlaczego więc ich nie szukasz?

- Może rano. - Westchnęła. - To trudne. Tyle czasu spędzam wśród Rosjan, że sama czuję się jak obca. Kłopot w tym, że nie można żyć w dwóch światach, zawsze trzeba wybrać jeden, nawet jeśli się nie chce.

- Chyba wiem, o co ci chodzi. Często nawet człowiek nie wie, że już dokonał wyboru. - Umilkł, myśląc o lecie, gdy miał osiemnaście lat, gdy zawalił egzaminy i nie wrócił do domu. Nic nie stało na przeszkodzie, po prostu nie pojechał. Nie mógł. - Nie wie, dopóki nie jest za późno, żeby coś w związku z tym zrobić.

Oksana przygarbiła się jeszcze bardziej, wsuwając ręce pod zgięte kolana. Szczury przysunęły się do niej, w ochronny krąg ciepła.

- Jak wtedy, gdy jesteś dzieckiem, a potem nagle pewnego dnia uświadamiasz sobie, że wstydzisz się swoich rodziców, i nawet nie wiesz, jak do tego doszło. Chyba każdego kiedyś to spotyka. Nie wiem tylko, jak można się wstydzić całego narodu.

- Wiem, co czujesz - powiedział. - Chyba.

Oksana wzruszyła ramionami.

- Każdy wie, jak sędzę, do pewnego stopnia. Ale przez to wcale nie jest źle.

- Nie - zgodził się Fiodor i popatrzył na niebo, które szarzało nad rzeką.

Wstawał świt. Odwrócił się, żeby spojrzeć za siebie, na zarys ścieżki ledwo widocznej pod grubą warstwą śniegu, który czule otulał ziemię. Pomiedzy białymi

milczącymi drzewami krzyżowały się ślady ptaków, coraz lepiej widoczne, gdy światło dnia jaśniało, z początku niedostrzegalne, ale szybko nabierając siły.

Ognisko wygasło, czarny wypalony krąg na łagodnie nachylonym brzegu rzeki gapił się na nich jak pusty oczodół.

- Chodźmy sprawdzić chatę - powiedział Fiodor.

Znaleźli ją z łatwością - wszędzie stały przykryte śniegiem tablice, które podawały kierunek i informacje historyczne w dwóch językach. Naprawdę, pomyślał Fiodor, kogo obchodzi, skąd przywieziono chatę, kłoda po kłodzie? Jakie to ma znaczenie, że Piotr Wielki postanowił przenieść stolicę do Sankt Petersburga? Czy to ważne, że Piotr był pierwszym carem koronowanym koroną w stylu zachodnim, nie do odróżnienia od tych, które nosili monarchowie europejscy, i wzgardził czapką Monomacha? Pamiętał ten kołpak, wystawiony w jednym z muzeów Kremla. Wyglądałby jak zwyczajna czapka, gdyby nie obfitość klejnotów i wieńczący go krzyż. Przewodnik muzealny wyjaśnił, że czapka Monomacha symbolizuje przeniesienie ośrodka władzy z Bizancjum do Rosji, a ponieważ Bizancjum było dziedzicem cesarstwa rzymskiego, z tego względu Rosję uważano za trzeci Rzym. Mówił o spuściźnie wczesnego chrześcijaństwa, o tym strasznym i starożytnym spadku. Nieokreślony zwierzęcy instynkt podpowiadał Fiodorowi, dlaczego Piotr Wielki - nerwowy olbrzym o wąskiej klatce piersiowej - chciał uciec przed tym dziedzictwem, powielanym już w nieskończoność w kształtach cerkiewnych dachów i futrzanych czapek.

Nie chodziło o panowanie na morzu, myślał Fiodor, gdy dziewiczy śnieg chrząścił mu pod zmarzniętymi stopami z palcami podkulonymi w za dużych wojskowych butach. Kształcenie Piotra w Europie czy jego zauroczenie Zachodem nie miało nic do rzeczy. Chodziło o ucieczkę - ucieczkę z tego przeklętego miasta z jego straszną historią pogrzebaną głęboko pod ziemią, z jego dławiącą bizantyjską przeszłością. Piotr nie mógł znieść tego miejsca, zawieszzonego pomiędzy dwoma światami, dlatego wybrał nowe przymierze i zbudował nowe miasto, europejskie i czyste, gdzie ulice krzyżowały się pod kątem prostym, zamiast lawirować pijacko w górę i w dół, jak po siedmiu wzgórzach Moskwy. Piotr uciekł, pomyślał Fiodor, wiedziony instynktem samozachowawczym, w zimne, sterylne objęcia Bałtyku. Kto mógłby go potępić? Zobaczyli chatę pomiędzy nagimi drzewami, przybranymi skrzącym się lodem, z soplami obwieszającymi gałęzie jak cukierki. Fiodor czuł ich znajomy krystaliczny smak, niezapomniany od dzieciństwa.

- Myślisz, że ktoś tam jest? - Szepnęła Oksana.

Fiodor powiódł wzrokiem po śniegu na ścieżce prowadzącej do drzwi chaty.

- Z tej strony nic nie widać.

- To dobrze. Siergiej mówił, że tamten facet przychodził tu w nocy.

Zawiasy zaskrzypiały i pchnięte przez Fiodora drzwi się otworzyły. W powietrzu wisiał zapach zaniedbania - kwaśny smród rozlanego piwa i woń stęchlizny. Chata - mała izba z polepą zasłaną butelkami po piwie i szmatami - była pusta.

Fiodor odetchnął z mieszaniną ulgi i rozczarowania.

- Nie ma nikogo - powiedział i zaczekał, aż Oksana wejdzie, tupiąc nogami i zabijając ręce. Jej długie włosy zamarzły we frędzlach sopli. Kusilo go, żeby odłamać jeden i possać, jak w dzieciństwie.

- Powinniśmy przyjść tutaj w nocy - powiedziała.

- Powinniśmy - zgodził się - tylko że za bardzo się baliśmy, pamiętasz?

Oksana obrzuciła go złym spojrzeniem.

- Ja się nie bałam. Po prostu lezienie na oślepego prosto w niebezpieczeństwo nie wydawało się dobrym pomysłem. Teraz przynajmniej wiemy gdzie co jest, możemy się ukryć i czekać.

Fiodor pokręcił głową.

- Dlaczego nie poszukamy tego typka, Sławy?

- Gdzie można by go znaleźć?

- Siergiej powiedział, że lubi się kręcić przy targowisku w Carycynie. Chodźmy tam, sprawdzimy. Nie będę siedział w chałupie przez cały dzień. Może przy okazji znajdziemy coś do jedzenia. Zostawimy parę szczurów, żeby czuwały za nas, dobrze?

- Nie mam pieniędzy - powiedziała Oksana.

- Ja też nie. Będziemy improwizować.

- Jeśli myślisz, że będę kraść, to masz pecha.

Fiodor parsknął śmiechem, dźwięk odbił się od starych ścian.

- Nie. Jasne, że nie. Zdaj się na mnie.

Pojechali metrem - tylko trzy przystanki. Niespodziewanie kołowrót przy wejściu na stację przyjął niezmienną monetę i Fiodor po raz pierwszy od Bóg wie jak długiego czasu jechał metrem prawie legalnie. Godzina szczytu już minęła; znaleźli wolne miejsca i usiedli, choć jazda miała być krótka. Fiodor zawsze uważał, że rozmyślanie w pociągu jest łatwe i przyjemne, w ciemnym tunelu otulającym pędzące

wagony niczym rękawiczka, gdy światła na ścianach przemykają z krzepiącą regularnością. Pozwalał myślom błądzić, wyobrażenia i obrazy przepływały mu przez głowę - wyobrażał sobie, że pędzi jak pociąg, a myśli są tylko krótkimi błyskami światła, obdarzonymi iluzorycznym ruchem przez jego własny niepohamowany pęd.

Obserwował twarze ludzi siedzących naprzeciwko - głównie starsze panie, gdyż o tej porze wszyscy inni byli w pracy; starsze panie z oczami zagubionymi w sieciach zmarszczek, w grubych wełnianych chustkach na głowach; ich pociemniałe ręce leżały złożone na kolanach albo ścisnęły torby z zakupami. Byli tam również menele, śmierdzący moczem i alkoholem, i Fiodor pomyślał, że minęło prawie dwanaście godzin od ostatniego drinka. Ręce zaczęły go mrowić, zrobiły się niespokojne, ożywione jakąś fałszywą energią, która niedługo miała wprawić je w drżenie.

- Muszę się napić - szepnął do Oksany. Spojrzała na niego z umiarkowanym obrzydzeniem.

- To może zaczekać.

- Nie. - Podniósł rękę i rozcapierzył palce, ich drżenie teraz brzęczało poddźwiękowo.

- Naprawdę nie może.

Oksana westchnęła i odwróciła wzrok.

- Załatwimy ci coś na targu. Tylko się nie rozsyp, dobrze?

Skinął głową i spojrzał na dwoje nastolatków siedzących przy drzwiach na końcu wagonu. Reszta pasażerów za bardzo go przygnębiała.

Dezaprobatą Oksany go nie trapiła - przywykł do spojrzeń, w których pogarda mieszała się z litością. Był znudzony nawet żalem i nienawiścią do samego siebie, uczuciami powszedniejszymi do punktu banału u każdego znanego mu pijaka. Po prostu chciał się napić i wrócić do bieżącego zadania. To nie jest takie złe, naprawdę, bo przecież ilu ludzi musi codziennie brać lekarstwa? Ilu nie może wstać z łóżka bez pigułek i maści? Alkohol był jego lekarstwem i maścią, i nie widział w tym nic wstydliwego.

Wjechali na stację i Fiodor wysiadł za Oksaną na peron. Patrząc za odjeżdżającym pociągiem, rozmyślał, co by się stało, gdyby znowu skoczył w lśniące okna - czy zostałby przeniesiony pod ziemię, czy strzaskalby szybę i padł w wodospadzie ostrych odłamków na tory, które już mruczały, zapowiadając przyjazd następnego pociągu? Czy w ciągu dwóch minut dzielących pociągi zdążyłyby się wgramolić po wysokich

betonowych ścianach, które oddzielały je od peronu, czy też, oszołomiony, stałby na torach, patrząc w zbliżające się światła, słysząc ryk pędzącego elektrowozu?

Oksana pociągnęła go za rękaw.

- Chodźmy. Nie ma sensu czekać.

- Czekanie zawsze ma sens - powiedział, wspominając, ile razy czekał bez wyraźnego celu, na coś albo na kogoś, kto go porwie, ukradnie. Ale Cyganie nie przyszli po niego, więc poczłapał za nią do wyjścia, garbiąc się coraz bardziej z każdym krokiem, gdy jego umysł ogarniała gorączka wskutek braku lekarstwa.

Wyszli po schodach na powierzchnię w gęsty tłum - na targu panował ruch w interesie. Pomimo drżących rąk, Fiodor badawczo zlustrował tłum. Oziębilo się, więc ludzie włożyli obszerne płaszcze, dzięki czemu nawet niezdarne kieszonkowiec mógł liczyć na powodzenie. Gdy szli po schodach, ramię w ramię, ściśnięci, drepząc jak pingwiny, jego palce jakby same zanurkowały do ciepłej, przepastnej kieszeni jakiejś staruszki. Nie znalazły portfela, ale zamknęły się na kawałku papieru. Jeden banknot, ledwo starczy na drinka, ale więcej nie potrzebował. Wcisnął go do swojej kieszeni i zwolnił kroku na wypadek, gdyby ofiara odkryła kradzież.

Oksana pokręciła głową, ale nic nie powiedziała, nawet gdy stanął przy kiosku w podziemnym przejściu i kupił gin z tonikiem w puszcze. Wypił na miejscu, czując, jak drżenie palców ustaje prawie od razu. Rzucił pustą puszkę w stronę bezpańskich psów, śpiących spokojnie przy kiosku.

- To miłe - powiedziała Oksana. - W każdym podziemnym przejściu są bezpańskie psy i ludzie zawsze wymijają je ostrożnie. Nawet gdy leżą wyciągnięte, nikt nie nadeptnie na łapę.

- Szkoda tylko, że sprzedawcy je karmią. Spójrz tylko, jakie spasio. Jeśli nie przestaną ich podkarmiać, leniwe kundły nigdy się stąd nie wyniosą.

- A niby dokąd miałyby pójść?

Obojętnie wzruszył ramionami.

- Idziemy na targ?

Szczury wierciły się pod jego płaszczem, chętne zabrać się do pracy. Fiodor pomyślał, że wolałby solidniejsze wsparcie. Może pistolet? Tak pistolet byłby mile widziany, gdy ma się do czynienia z zawodowymi przestępcami.

Weszli po schodach. Tuż na lewo znajdowało się wejście na targ, otwarta brama z rurek aluminiowych. Zobaczyli śnieg zdeptany przez niezliczone stopy w brudną breję, prowizoryczne stragany z garstką nieforemnych, produkowanych spółdzielczo

ubrań i butów, zagubionych w morzu podrabianych firmowych koszulek, torebek i dzinsów ze słowami takimi jak „Nike” i „Jordache”, wyszytymi byle jak, bardziej w symbolicznym geście niż w rzeczywistej próbie oszustwa.

Oksana szła wzdłuż straganów, jej spojrzenie czasami zatrzymywało się na torebce czy bluzce; Fiodor martwił się, że rozproszy ją obfitość lśniących przedmiotów, lecz dobrze sobie radziła. Jego oczy przeszukiwały tłum, wypatrując obowiązkowych skórzanych kurtek i złotych łańcuchów. Nie widział przedtem Sławy, ale znał ten typ.

Tłum składał się głównie ze starszych kobiet i Fiodora zaczęło ogarniać zniechęcenie, gdy nagle jego uwagę przyciągnął zapach jagnięciny i kolendry. Jak większość pijaków, nie był szczególnie zainteresowany jedzeniem, ale buda z kebabem, z której płynęły zapachy, wyglądała na pewne miejsce spotkań reketierów.

Oksana widocznie pomyślała to samo, bo wciągnęła powietrze nosem i głośno przełknęła ślinę.

- Może są tam - powiedział Fiodor. - Sprawdźmy.

- Jestem głodna.

Powinien poczuć się winny. Zamiast tego zlustrował tłum, namierzając cele wśród kupujących pochłoniętych oglądaniem towarów i szwów na odzieży gotowych rozpruć się z byle powodu. Przechodził obok nich, jego pewne teraz ręce od niechcienia sięgały do kieszeni i torebek, aż w końcu trzymał w nich spocony plik zmiętych banknotów.

- Załatwione - powiedział. - Chodź, kupimy ci coś do jedzenia. I dla twoich szcurów.

Szczury odpowiedziały entuzjastycznym zamieszaniem pod jego kurtką, przeciskając się bliżej do wylotów rękawów.

Fiodor i Oksana weszli do budy, która nie różniła się od innych przybytków tego rodzaju. Za ladą tkwił spocony osobnik w podkoszulku, a w powietrzu gęste zapachy cebuli i jagnięciny mieszały się z bardziej delikatnym aromatem kolendry i szczypiorku. Plastikowe stoliki były puste, z wyjątkiem jednego w kącie, skąd płynął zapach tytoniu i niskie męskie głosy. Fiodor zauważył kącikiem oka smugę rdzawej czerwieni i błysk złota, i podszedł do lady, by złożyć zamówienie. Zabrali plastikowe talerze z kebabem - kawałki tłustego zwęglonego mięsa żałośnie przyprószone odrobiną ziół - do stolika przy drzwiach, skąd mogli dyskretnie obserwować bandytów. Fiodora kusilo, żeby zamówić kieliszek wódki, ale się oparł. Tym razem, osądził, trzeźwość będzie lepsza. Poza tym ostatnio gorzała była droga. Osobliwe

próby Gorbaczowa, mające na celu uszlachetnienie narodu przez zniechęcanie do picia, działały Fiodorowi na nerwy, i choć kampania promująca wesela bezalkoholowe (co, jak przypuszczał, doprowadziłoby w końcu do niepokalanych poczęć) w zasadzie się zakończyła, ceny nie spadły do poziomu sprzed ery radzieckiego prezydenta.

Najwyraźniej bandyci w kącie byli podobnego zdania. Prowadzili ożywioną dyskusję o wykorzystaniu szybkowaru do produkcji bimbrowu.

- Jest idealny - powiedział jeden z nich. Sądząc po spadzistych ramionach i zdeformowanych uszach, był emerytowanym bokserem. - W małym mieszkaniu, co nie? Można użyć cukru albo ziarna, albo ziemniaków, a potem tylko przedestylować w szybkowarze. Mam balon do fermentacji, wciśnięty za kanapę w kuchni, jakieś trzydzieści litrów. Destylacja w szybkowarze trwa może godzinę. Dobry samogon, prawie bez zapachu i farfocli, i nie ma po nim kaca.

- Mój sąsiad przepuszcza dwa razy - powiedział ten, który, jak domyślał się Fiodor, był Sławą. - Jest chemikiem, ma super sprzęt, palniki Bunsena i tak dalej. I te spiralne szklane rurki.

- Z szybkowarem nie trzeba destylować dwa razy - powiedział były bokser. - Towar jest czysty za pierwszym razem. Albo możesz robić wino, zaoszczędza kłopotu.

- Ale winogrona są drogie - zaznaczył inny.

Były bokser lekceważąco machnął ręką.

- Weź rodzynki. Nie kapuję, czemu są tańsze od winogron, ale są. I mają więcej cukru na kilo.

Fiodor przyjrzał się mężczyźnie, który według niego był Sławą - młodszy od towarzyszy i chudy, nie tyle dzięki uprawianiu ćwiczeń, ile raczej nieregularnym posiłkom; wyglądał na przywódcę rządzącego za pomocą mózgu, nie mięśni.

Sława sprawiał wrażenie roztargnionego - często spoglądał na ciężki metalowy zegarek, cichy symbol bogactwa, i pocierał twarz, za każdym razem błyskając kilkoma wielkimi pierścieniami. Fiodor zauważył lekkie drżenie jego smukłych palców, jasnych jak mankiet kremowej koszuli. Mankiet się zsunął ze zgiętej ręki, odsłaniając coś, co Fiodor wziął za tatuaż - ciemny trójkąt otaczający trzy koła - i Sława pociągnął go śpiesznie. Podniósł głowę i Fiodor w ostatniej chwili odwrócił wzrok. Mając jeszcze przed oczami rysunek na skórze, szepnął do Oksany:

- Widziałaś ten tatuaż?

- To nie tatuaż - odszepnęła z ustami pełnymi mięsa i kolendry. - To wypalone piętno.

- Skąd wiesz?

Wzruszyła ramionami, przeżuując z większą energią.

- Wygląda... Jak... Piętno. - Nie jadła chleba, wrzucała kawałki w rękawy, gdzie znikają błyskawicznie. Szczury też zgłodniały. Podała kromkę Fiodorowi, a on przekazał ją gryzoniom, które otulały go jak ciepły, oddychający całun, niewidoczne pod kurtką, ale wyrzuszające ją w pasie.

Bandyci jedli teraz w milczeniu, pośpieszani niecierpliwymi spojrzeniami i posapywaniem przywódcy.

Oksana szepnęła coś w rękaw i jeden z mniejszych szczurów wyskoczył na podłogę, najwyraźniej z kozaczka.

Fiodor rozejrzał się z niepokojem, ale nikt oprócz niego nie zauważył brązowej smugi futra przecinającej linoleum ozdobione kałużami stopionego śniegu i brudu. Fiodor wstrzymał oddech, gdy szczurek, wypełniając instrukcje Oksany, przemknął pod stół bandytów, wspiął się na nogę krzesła i wsunął na siedzenie obok Sławy. Bandyta był zbyt zaaferowany, żeby zauważyć różowy drgający nosek i małe, dziwnie ludzkie łapki sprawdzające zawartość jego kieszeni. Szczur odskoczył, gdy Sława rozchylił kurtkę i wyjął portfel z wewnętrznej kieszeni.

Bandyci uścili rachunek i wyszli, rozmawiając o względnej wyższości cukru nad rodzynekami. Fiodor i Oksana czekali, aż drzwi się zatrzasną, potem też zapłacili za posiłek. Szczur wrócił z wysoko podniesionym łebkiem, trzymając coś w pyszczku.

Oksana pochyliła się i podniosła zwiadowcę na dłoni. Wyjęła z pyszczka coś małego i dała to Fiodorowi.

Mała kulka zielonego księżycowego szkła potoczyła mu się po dłoni, ciepła i lekko wilgotna. Pomyślał, że pulsuje stłumionym oddechem i falującym życiem, i zadrżał, próbując sobie wyobrazić, co czuje dusza uwięziona w maleńkim szklanym kokonie jak mucha w bursztynie.

Wrócili do Kołomienskoje. Na drodze musiał panować tłok, bo bandyci wyprzedzili ich tylko o parę minut. Fiodor zobaczył ich po drugiej stronie ulicy, przy centralnym wejściu do parku, gdy wysiadali z rdzawoczerwonego, pasującego do koloru kurtek mercedesa, i rozprostowywali nogi.

- Jeżdżenie po Moskwie nie ma sensu - zauważył.

- Nie chodzi o prędkość - powiedziała Oksana. - Chodzi o pokazanie, że nie muszą korzystać z metra.

W tej chwili Fiodor ogromnie zatęsknił za starymi dobrymi radzieckimi czasami, kiedy wszyscy byli na tyle biedni, że musieli korzystać z metra, z wyjątkiem paru aparatczyków rozbijających się lśniąco czarnymi wołgami. Wspomniiał ojczyma, który podejrzliwie patrzył na każdego, kto miał auto, zakładając, że zdobył je nieuczciwie, na drodze przekupstwa czy złodziejstwa; zwykle miał rację, pomyślał Fiodor, choć nie lubił się z nim zgadzać.

Trochę nim pogardzał za to, że tak haruje, że marnuje życie na ponurą, niewdzięczną pracę w tej czy innej fabryce; nie nienawidził swojej roboty, ale też jej nie lubił, jakby skutek rutyny i nudy zostało w nim za mało życia, żeby wykrzesać bodaj odrobinę entuzjazmu do jednego czy drugiego. Życie Fiodora też było nie do pozazdroszczenia, ale pocieszał się, że przynajmniej nie jest takie smętne jak egzystencja ojczyma. Nie miał pojęcia, co porabia jego rodzony ojciec, ale miał nadzieję, dla dobra tego człowieka, którego nigdy nie poznał, że wie mu się lepiej.

- Musimy się dowiedzieć, czyja to dusza - oświadczyła Oksana.

- Jak to zrobimy?

Wskazała stado kawek pracowicie dziobiących śnieg.

- Myślisz, że się uda? - Zapytał.

- Z Siergiejem i gawronem się udało. Możemy spróbować.

- Jak złapiemy ptaka?

Oksana rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie obserwuje. Fiodor pomyślał, że dla przechodniów są niewidzialni, zbyt zwyczajni, żeby przyciągać uwagę. Gdy uznała, że nikt nie patrzy, wytrząsnęła kilka szcurów z rękawów i wskazała im ptaki.

Fiodor z początku był sceptyczny, ale szcury okazały się szybsze i lepiej zorganizowane niż przypuszczał. Podzieliły się na dwie grupy, okrążyły jednego ptaka i odcięły go od reszty stada. Kawka spostrzegła, że jest otoczona, i rozpostarła skrzydła, gotowa do lotu, a wówczas szcury rzuciły się na nią wszystkie naraz, jak skoordynowane stado małych lwic. Ptak zaskrzeczał i został obezwładniony, pogrzebany pod ruchliwą masą futra i zwinnych ogonów.

- Tylko go nie zjedzcie - przykazała Oksana surowo. Śnieg chrząścił pod jej butami, gdy zbliżała się do ptaka unieruchomionego przez szcury. Podniosła go, nastroszonego, ale bez szwanku, i wetknęła szklaną kulkę w szeroko otwarty, drgający ze strachu dziób.

Ptak przełknął i okrągłe ciało obce trafiło do wola. A potem przemówił.

Miał na imię Władimir i był biznesmenem - prawdziwym, nie jednym z tych bandziorów i reketierów, którzy tylko nazywali się biznesmenami, ale nigdy uczciwie nie przepracowali ani jednego dnia. Władimir należał do tych dzielnych nielicznych, którzy pierwsi otworzyli własne firmy - produkował skarpety i pseudoperskie dywany, i interesy szły dobrze. Jego historia była smutnie znajoma: kilka gangów zajmowało się wymuszaniem haraczu i pogrózkami, więc zrobił to, co musiał zrobić każdy inny - spośród wielu wybrał mniejsze zło. Nawet „mniejsze” było określeniem względnym. W zasadzie nie rozróżniał gangsterów, gdy przychodzili i wychodzili, rabowali i grozili, potrząsając łańcuchami i cęgami, swoimi ulubionymi narzędziami perswazji, służącymi do wydobywania pieniędzy, wyznań i czasami zębów. Nawet wyglądali tak samo: przed modą na rdzawoczerwone kurtki wszyscy paradowali z krótkimi włosami i w skórach. Dla wygody i swobody ruchów nosili spodnie dresowe, jak w czasach, gdy ich ulubionym zajęciem było golenie hipisów. Władimir chciał, żeby zostali na peryferiach, nieświadomi rozwoju prywatnych firm, ale byli tu, nie kryjąc się, grożąc z każdego kąta.

Zawarł układ ze Sławą, bo wyglądał na członka sfery inteligencji. Miał smukłe palce i zmęczone, ale życzliwe oczy, i dziwny nawyk - w trakcie wymuszania haraczu kiwał z zadumą głową. Lubił czytać, z upodobaniem cytował Johna Stuarta Milla i Jonathana Swifta; uwielbiał Thomasa Manna i Remarque'a. Władimir wybrał go na swoją ochronę - swój „dach” w żargonie, który stawał się niepokojąco znajomy - ponieważ uznał, że skoro musi komuś podlegać, to człowiekowi wykształconemu. Drobną próżność, myślał.

Ale niebezpiecznie było korzystać z ochrony człowieka, który lubił rozważać, czy osobiste doświadczenia są zależne od wyobraźni albo czy możliwe jest wymyślenie naprawdę nowej istoty, niebędącej amalgamatem znanych stworzeń. Niebezpiecznie było zależeć od kogoś, kto się zastanawia, czy smok w herbie miasta jest spokrewniony z waranem z Komodo, którego mocno przypominał, a jeśli tak, to kiedy święty Gieorgij miał okazję odwiedzić Malaje. Człowiek z taką fantazją mógł zauważyć magię, która wsączała się do świata, rzuconą mu pod nos jak okrągła lśniąca przynęta.

- Wiesz o czarach? - Zapytała Oksana.

Kawka załopotana skrzydłami.

- Oczywiście, wiedziałem od chwili, gdy zaczął o nich myśleć. Pożyczył ode mnie parę książek o Kabale, starych i cennych. Można powiedzieć, że moja babka była żydowską mistyczką. Nie znam się na tym, te bzdety wcale mnie nie interesowały.

- Ale teraz interesują - zauważył Fiodor. Rozejrzał się, sprawdzając, czy nikt nie podsłuchuje ich rozmowy z ptakiem. - Powiedz mi, dlaczego przyszli tutaj?

- Tego nie wiem - odparł Władimir. - Ale jeśli chcesz ich śledzić, to najwyższa pora. - Wskazał skrzydłem trzech mężczyzn, którzy przestali się przeciągać, palić i leniwie gawędzić, i ruszyli świeżo odśnieżoną ścieżką.

- Wiemy, dokąd idą - powiedziała Oksana. - Co ma do tego Kabała?

- Z tego, co zrozumiałem, Sława chce się nauczyć czarów. Kabała wydaje się dobra na początek. Wypalił sobie nowe symbole na skórze. Nie dały mu żadnych zdolności, ale powiedział, że są drogowskazem dla sił z drugiej strony, mogących go dzięki temu odszukać.

- Jakich sił? - Zapytał Fiodor, czując, że jeżą mu się włoski na karku.

- No wiesz. - Kawka w zasadzie nie mogła wzruszyć ramionami, ale Fiodor wyobraził sobie, że to zrobiła. - Zwyczajnych, szatana albo jakichś innych, jak sądzę.

- W porządku. - Oksana szarpnęła Fiodora za rękaw. - Chodźmy sprawdzić chatę.

- Dzięki za umieszczenie mnie w ptaku - powiedział Władimir - ale... Czy mógłbym znów stać się człowiekiem?

- Nie znamy się na czarach - odparła Oksana. - Przypuszczam, że gdyby umieścić twój duszokamień w osobie...

- Wątpię - mruknął Fiodor i ruszył ścieżką za bandziorami, którzy już zniknęli z pola widzenia. - Ale znamy kogoś, kto może ci pomóc. Jeśli nam pomożesz, porozmawiamy z nim o tobie.

- Propozycja do przyjęcia. Bardzo korzystna, szczerze mówiąc. - Kawka usadowiła się na ramieniu Fiodora. - W czym jeszcze mogę wam pomóc? I dokąd idziemy, nawiasem mówiąc?

- Do chaty Piotra Wielkiego - powiedziała Oksana. - A swoją drogą, wiesz coś o ludziach przemienionych w ptaki?

- Oczywiście - odparł rzeczowo Władimir. - Wiedzą wszyscy, którzy umieją patrzeć. Policja szukała osób zaginionych. Tam, gdzie mieszkam, w Biriulewie, zniknął nawet jeden z naszych gliniarzy. Pozostali potracili głowy, przesłuchali każdego Czeczena i Gruzina, wszystkich nielegalnych, jacy wpadli im w ręce. Zaczęli też wypytywać biznesmenów - kto zniknął, dlaczego i tak dalej. Nikt nie chce

wchodzić w drogę rekieterom, ale ludzie wiedzą swoje. Człowiek widzi, jak wmaszerowują gangsterzy, a zaraz potem jego kumpel macha skrzydłami... Można powiedzieć, że miałem nadzieję na taki los, gdy po mnie przyszli. Zawsze chciałem latać, od małego.

- A kto nie chciał? - Mruknął Fiodor.

W istocie, kto nie chciał? Nawet teraz, wolny od złudzeń dzieciństwa, od czasu do czasu śnił o lataniu. Ostatnio nie wlatywał wysoko nad ziemię, krążąc tuż nad kiwającymi się źdźbłami jesiennej trawy. W swoich snach zawsze szybował nad trawiastymi polami, żółtymi jak kredka na obrazkach, sięgającymi od horyzontu po horyzont, rozkołysanymi, szepczącymi. Gdyby zamknął oczy, mógłby usłyszeć szelest ocierających się źdźbeł, mógłby poczuć ich sztywne czubki łaskoczące dłonie i bosc stopy.

Wrócił na chrzęszczący śnieg, gdy z chaty popłynęły głosy. Słońce już zachodziło, długie cienie drzew sięgały daleko, niebieskawe, falujące na zaspach i w zagłębieniach. Było jeszcze za jasno, żeby podejść do chaty; zatrzymali się, a chwilę później głosy wewnątrz ucichły.

- Słyszałeś coś? - Zapytał jeden z mężczyzn w chacie.

- Szpiedzy - odparł szeleszczący, nikczemny głos, przykry jak dźwięk drapania paznokciami po szybie. - Idź po nich.

Nie mieli dokąd uciec. Fiodor spojrzał na Oksanę, szukając pomocy.

Zawahała się, a potem zagwizdała. Szczury wylały się z ich rękawów, nawet przybiegły z chaty. Do oswojonych dołączały dzikie, zniewolone wyjątkowym urokiem Oksany. Szczur przy szczurze, kolumna za kolumną.

W drzwiach chaty stanęli trzej mężczyźni w rdzawoczerwonych kurtkach. W ich oczach było widać niepokój. W rękach trzymali lśniące pistolety, ale nie strzelali, gdyż równie jak Fiodor byli zahipnotyzowani przedstawieniem szczurów - ogon spleciony z ogonem, łapki trzymające łapki. Nie oddali strzału nawet wtedy, gdy niedźwiedź złożony z gryzoni podniósł się na zadnie łapy i ruszył w stronę chaty.

JEDNOOKIE LICHO

Żołnierze zajmowali się swoimi sprawami - Galina słyszała ich kroki, którym towarzyszyło wesołe brzęczenie ostróg na kocich łbach dziedzińca.

Timur-bej pokręcił z dezaprobatą głową.

- Rozdzierali boki koniom, niedobrze. Koń jest mądrym zwierzęciem. To jak dźganie ostrogami rodzonego dziecka.

- Nie znam się na tym - powiedział Jakow. - Bądź cicho, próbuję usłyszeć, co się dzieje.

Głosy, które do nich docierały, były stłumione, słowa niezrozumiałe. A potem rozległ się inny dźwięk - zgrzyt, i okropne ciche siorbanie, i szepty, przenikliwie jak lodowe igły. Galina przygryzła kłykieć palca wskazującego, żeby powstrzymać się od krzyku i ucieczki w ślepym przerażeniu.

Straszne dźwięki - nie śmiała wyobrazić sobie ich źródła, ale wiedziała, że nie jest ludzkie - zabrzmiały głośniejsz. Miała wrażenie, że coś liże drzwi szopy chropawym, a zarazem wilgotnym jęzorem. Jej pamięć zalały opowieści - ongiś zapomniane ze strachu, gdy była jeszcze dzieckiem, teraz zaś świeże jak przed laty. Wiedźma, która lizała drzwi pieca wykute z siedmiu warstw żelaza. Stwory z jęzorami zwieszonymi na wysuszone piersi, szpony znajdujące oczy dziecięcych ofiar z bezlitosną precyzją przeznaczenia. Słowa jak igły, oczy jak węgle.

Węszenie przy drzwiach. Ogromny mokry nos przyciśnięty do kruchych desek, wyczuwający za nimi ludzkie ciało. Gorący cuchnący oddech omył jej twarz, płynąc przez szczeliny pomiędzy deskami, skąpał ją w smrodzie zgniłej cebuli. Zacisnęła zęby, żeby się nie zakrztusić.

Nawet Zemuna wyglądała na przerażoną - przytuliła do niej duże cielsko, szukając pociechy i niemal ją przewracając. Ciepło i mleczny zapach krowiej skóry na chwilę

podniosły ją na duchu. Zastanowiła się, co ma w sobie Zemuna - prawdziwe ciało czy tylko gwiazdy? Gdyby przedziurawić białą krowią skórę, czy wyrwałoby się oślepiające światło, spalając wszystko w pobliżu na gorący astralny popiół?

A potem, tak po prostu, coś rozerwało deski niczym strzał z obrzyna. Galina zobaczyła rozcapierzone pazury i ogromne oko, płonące niczym słońce w czasie astralnej burzy, i coś uderzyło ją w pierś, przewracając na ziemię. Jakow i Timur-bej chwycili intruza, a Zemuna stanęła dęba i młóciła powietrze kopytami. Nachyliła rogi i rzuciła napastnika na ścianę. Wylądował z głuchym łoskotem. Galina usiadła, oddychając urywanie i chrapliwie.

Stworzenie było mniejsze niż z początku myślała - wielkości człowieka, ale z ostrymi szponami i kępkami piór na nadgarstkach obciążniętych pomarszczoną siną skórą. Pozbawione warg usta skrzywiły się, odsłaniając duże żółte zęby, kwadratowe jak pola szachownicy. Jedno oko gorzało pośrodku czoła. Galina zrozumiała, kto ich zaatakował.

Zemuna odezwała się pierwsza.

- Jednookie Licho. Myślałam, że pozbyliśmy się was obu.

Galina słyszała opowieści o Lichu i jego towarzyszu, Zlydenie. Wiedziała, że te dwa pasożyty, ucieleśnienia wszelakiego nieszczęścia, przyczepiają się do swojej ofiary i odchodzą dopiero wtedy, gdy straci wszystko i w końcu zginie wskutek czystego zbiegu niefortunnych okoliczności. Licho dyszało ciężko.

- Głupia krowa - powiedziało zgrzytliwym głosem. - Myślisz, że zapakowanie do beczki i wrzucenie do rzeki wystarczy, żeby się mnie pozbyć? Zawsze znajdzie się jakiś biedny głupiec, który ją otworzy. Ludzie nie mogą znieść zamkniętych beczek, skrzyń i pudełek, jeszcze się tego nie nauczyłaś?

- A zatem wypuścili cię ci żołnierze - domyślił się Kościej. - Głupi śmiertelnicy.

- Owszem, wypuścili - zarechotało Licho. - A my przyczepiliśmy się do nich jak smoła do futra. Przyszliśmy za nimi do domu, tylko że są martwi i tępi, i tkwią po niewłaściwej stronie rzeki. Nie znaleźliśmy ich pobratymców, nie znaleźliśmy waszej głupiej miejsciny. Są zbyt martwi, żeby wiedzieć, jakiego mają pecha.

- W takim razie czemu z nimi zostaliście? - Zapytał Timur-bej. - I dlaczego ptaki?

Licho zachichotało obłąkańczo.

- Zbyt ciekawy, zbyt ślepy. Ślepy jak Berendej, głupi staruch, chociaż mógł nas zwabić z powrotem do beczki. Ale odmieniliśmy jego szczęście, odmieniliśmy. Wasze

szczęście też się odwróci, obłąkana dziewczyno, leniwy gliniarzu. Będzie wam tak źle, że wszystko, co was spotkało do tej pory, uznacie za dobre.

Żołnierze stłoczyli się w wejściu, z muszkietami w pogotowiu. Zemuna zamuczała i potrząsnęła rogami.

- Nie musicie robić tego, co wam każe Licho i Zlyden.

- Tak, musimy - odparł kapral. - Obiecali nam życie, obiecali, że znów będziemy chodzić po ziemi, uciekniemy z tego zimnego piekła i odzyskamy życie. Obiecali nam oczy i skrzydła ptaków, które latają, które widzą...

Gdy jego głos się wyciszył, bagnet wycelował w pierś Jakowa. Żołnierz zrobił krok do przodu. Przez otwór, w którym były drzwi, wpadało nieco światła. Spojrzenie Galiny powędrowało w górę ściany pałacu. Nie widziała dachu, bo był za wysoko, ale mogła go sobie wyobrazić, pokryty czarną masą biednych przesiedlonych ptaków.

- Masza! - Wrzasnęła.

Żołnierze podszli bliżej i zamarli, niepewni co zrobić - ostatecznie nie walczyła z nimi, tylko krzyczała.

- Masza! Masza!

Odpowiedział jej łopot tysięcy skrzydeł i krakanie, jej nawoływania spłoszyły ptaki. Wyobraziła sobie, jak krążą, rozkrzyczane - a potem wlały się do szopy pierzastym, czarnym jak smoła strumieniem.

Ptaki wydawały się zdezorientowane, najpierw zaatakowały żołnierzy, potem Galinę i jej przyjaciół. Zemuna odganiała je ogonem, ich ostre dzioby i lśniące oczy nie robiły na niej wrażenia. Jakow zakrył głowę rękami, ale patrzył spomiędzy palców w chmurę ptaków, podobnie jak Galina, oboje szukali, choć poszukiwania były z góry skazane na niepowodzenie - wszystkie kawki wyglądały jednakowo, wszystkie wrony były takie same. Może Masza była wśród nich, może nie. Galina przypuszczała, że Jakow chce odnaleźć swojego Carla, i może prosić go o wybaczenie.

Zerkając pomiędzy palcami chroniącymi oczy, widziała, jak żołnierze odpędzają ptaki. Kilka padło na ziemię, uderzonych kolbami muszkietów. Pióra fruwały w powietrzu. Jedno, lśniące czarne, zawirowało przed jej twarzą jak śmigło helikoptera.

- Proszę - szepnęła do obracającego się piórka, gdy szorstkie ręce i drewniane kolby muszkietów popychały ją do wyjścia - proszę, nie pozwól mi umrzeć, zanim jej nie znajdę.

Szeptwała do pióra, póki nie upadło na ziemię, jak spadająca gwiazda.

- Oczywiście, że nas nie zabiją - powiedział Jakow. - Nie słyszałaś? Dlaczego mieliby nas zabijać, skoro mogą zabrać nasze szczęście? Rusz głowę, chociaż raz.

Galina zagryzła usta i nie odpowiedziała. Odkąd żołnierze poprowadzili ich do pałacu, przez cały czas broniąc się przed oszalałymi, skrzeczącymi ptakami, Jakow wydawał się niespokojny. Jego zwykła apatia ustąpiła rozdrażnieniu okraszonemu jadowitą złośliwością.

Pomieszczenie, w którym obecnie przebywali, było prawdziwym lochem - podziemnym, z krzyżującymi się grubymi belkami i ciężkimi zaryglowanymi drzwiami z maleńkim okienkiem strzeżonym przez żelazne pręty. Było tu mnóstwo słomy do spania i odrobina światła, w którym twarz Jakowa miała zły, nawiedzony wyraz. Może to tylko broda, pomyślała Galina, nadaje mu taki wygląd, zdesperowany wygląd. Ale jego złe słowa wciąż dzwoniły jej w uszach, dlatego uciekła w kąt, nie pragnąc niczego więcej niż zagrzebać się w słomie i zniknąć.

Jakow krążył po lochu.

- Nie do wiary. To miejsce... Rabują człowiekowi wszystko w co wierzy, potem zabierają wspomnienia, a teraz nasze szczęście. Co to za miejsce?

- Elena mówiła, że to nie będzie utopia - odparła Galina.

Jakow potrząsnął głową, nie przestając krążyć.

- Dokąd zabrali Zemunę i pozostałych?

- Nie wiem.

- No to pomyśl!

Zakopała się w słomie i podciągnęła kolana do piersi. Zabiłaby za kąpiel i za możliwość posiedzenia w samotności, chociaż przez krótką chwilę. W towarzystwie Jakowa, który zachowywał się w ten sposób, na niczym nie mogła się skupić. Czuła się nieważna i mała, jak wtedy, gdy nauczyciel przepytывał ją przed klasą, a ona nie mogła podać właściwych odpowiedzi, i im bardziej się starała, tym bardziej się płątała. Zbierało jej się na płacz.

- Nie wiem - powtórzyła. - Przestań tak do mnie mówić.

Zatrzymał się i odwrócił.

- Jak?

- Właśnie tak. Zachowujesz się, jakby to była moja wina.

- A nie jest?

Z niedowierzaniem pokręciła głową.

- To ty jesteś gliną.

- I robiłem swoje. Robiłem dobrze, a potem ty się zjawiałaś i zaciągnęłaś mnie na spotkanie z tym swoim kumplem, który jest obłąkany, ale miał dość oleju w głowie, żeby się wymigać od tej przygódki, i teraz tkwimy w lochu. Skąd wiesz, że twoja siostra jest tutaj? Skąd wiesz, że ten rozgardiasz ma coś wspólnego z nami?

- Ptaki... - Zaczęła.

- Tak, tak, wiem. Ptaki są wszędzie. I co z tego?

- One są ich oczami. Widzą wszystko. Może, jeśli się dowiemy, co widzą ptaki...

- A niby jak?

Galina usiadła, wyprostowała plecy.

- Zostało jakieś jedzenie?

- Nie. Aha, mam kawałek tego okropnego keksu, który upiekł David. - Przelotny uśmiech rozjaśnił jego brodatą twarz, gdy pomyślał o dziadku, i Galina poczuła wyrzuty sumienia, że go od niego zabrała.

- Wystarczy - powiedziała. Wzięła ze stwardniałych palców Jakowa lepki kawałek ciasta oblepiony kłaczkami i brudem. Jej ojciec miał takie ręce, twarde i szorstkie jak rzemień. Myślała, że wszyscy mężczyźni mają takie. Pamiętała zaskoczenie, gdy podała rękę jednemu ze współpracowników matki i odkryła, że ma miękkie, kobiece dłonie. Co więcej, szybko się dowiedziała, że bardzo mało ludzi ma takie ręce jak jej ojciec; była to jedna z niewielu rzeczy, jakie wciąż o nim pamiętała.

Uklękła przy kracie w drzwiach i kruszyła placek na podłogę, gruchając cicho. Gdy wyciągnęła szyję, mogła zobaczyć kawałek korytarza i na końcu mały otwór strzelniczy, zbyt wąski, żeby zmieścił się człowiek, ale dość duży dla ptaka.

- Chodźcie - wabiła. - Chodźcie, ptaszki, mam dla was dobre ciasto.

Ptaka o czarnych, przylizanych piórach przysiadł na parapecie strzelnicy. Przekrzywił łebek, celując lśniącem koralikiem oka w okruszki na podłodze.

- To na nic - powiedział Jakow. - Nie przyleci.

- A skąd wiesz? - Zapytała Galina, nie odwracając się od drzwi.

- Nie mamy szczęścia. Nie rozumiesz? Kiedy Licho i Zlyden są razem, nie mamy szans. Gdy tylko coś może pójść źle, to na pewno pójdzie.

Galina nie odpowiedziała. Kucnęła niżej, palce jej zdrętwiały od kruszenia placka; ciasto kruszyło się i kruszyło, przemieniając w drobny proszek.

Karmiły gołębie, ona i Masza; Masza, wówczas malutka, z jakiegoś powodu niczego bardziej nie pragnęła, niż mieć w domu gołębia. Galina uśmiechnęła się, wspominając drewnianą skrzynkę, którą znalazły przy tylnych drzwiach pobliskiego

sklepu monopolowego, pachnącą świeżymi wiórami i kwaśnym rozlanym piwem; jak znalazły patyk i pożyczyły kłębek włóczki od jednej z posepnych starszych pań, które lubiły robić na drutach, siedząc na ławce przy wejściu do ich bloku. Jak podparły skrzynkę na patyku obwiązany jasnobłękitną włóczką i nakruszyły wczorajszego chleba. Jak czekały z zapartym tchem, chichocząc, na gołębie, które stłoczą się pod skrzynką, jakby nie mogły się doczekać ich schwywania.

Galina chciałaby czuć to samo, co tamtego dnia - lekkie podenerwowanie z odrobiną poczucia winy, gotowa podać wymyślony powód każdemu dorosłemu, który zapyta, dlaczego chcą łapać gołębie, ale drżąca z radosnego oczekiwania, szczęśliwa, że siostrzyczka patrzy na nią z podziwem, że jest zachwycona, że Galina, generalnie niepotrzebna i niezdarna, posiada wiedzę tajemną umożliwiającą budowanie pułapek na gołębie. Zwykle Masza, wówczas pięcioletnia, traktowała ją z życzliwością i delikatnością, jaką dorośli okazują chorującym dzieciom. Galina nie okazywała niewdzięczności - przeciwnie, była przekonana, że Masza jest jedyną osobą pod słońcem na tyle wspaniałomyślną, by kochać kogoś, kto jest antypatyczny - ale wolała pielęgnować te nieliczne strzępki wspomnień, które świadczyły o jej kompetencji.

Ściągnęła brwi na myśl o gołębiu, którego udało im się zwabić wraz z szalejącą garstką innych ptaków. Pamiętała, jak skrzynka opadła z łoskotem, jak ptak bił skrzydłami o drewniane listewki swojego więzienia, niemal podnosząc je z ziemi. Skrzynka podskakiwała na rozgrzanym asfalcie podwórza jak opętana, a one śmiały się, trochę zawstydzone. Wreszcie pobiegły obejrzeć swojego więźnia. Gołąb był zwyczajny, szary, ale lśniący metaliczną zielenią i fioletem, jak plama oleju w kałuży, gdy promienie słoneczne padały na pióra pod odpowiednim kątem. Masza, zachwycona, pogłaskała ptaka.

- Serce bije mu tak mocno - powiedziała. - Czuję, jak skacze pod moimi palcami.

Wtedy Galina zauważyła, że ptak nie jest całkiem zdrowy - nóżki, zakończone pazurkami, łuskowate i gadzie, wydawały się większe niż powinny, opuchnięte i sine.

Masza też to spostrzegła i głośno wciągnęła powietrze.

- Patrz. - Wskazała brudny kawałek sznurka zwisający z nóżki i wybuchła płaczem. Galina z trudem powstrzymała łzy, gdy zrozumiała, że ktoś - pewnie chłopcy, którzy terroryzowali zabłąkane koty i spędzali większość czasu na zabawie w betonowych rurach na pobliskiej budowie - wcześniej schwytali ptaka, przywiązali go sznurkiem i puszczali jak latawiec. Zawiązany za ciasno sznurek odciął krążenie w ptasich łapkach - dlatego gołąb tak łatwo dał się złapać za drugim razem.

Galina otarła łzy Maszy i zaprowadziła ją do domu. Masza niosła biednego gołębia, który już nie walczył o wolność. Wyraźnie pamiętała ptaka z opuchniętymi nóżkami, leżącego biernie na otwartych dłoniach pięciolatki, tak idealny obraz klęski, że lepszego nie można sobie wyobrazić. Próbowaly zdjąć sznurek, ale opuchlizna była zbyt duża - łuskowata skóra wybrzuszyła się i gołąb drżał za każdym razem, gdy dotykały zranionej nóżki. Niedługo później już nie mógł się podnieść. Pojechały autobusem do weterynarza. Gołąb zdechł w drodze, więc wysiadanie przy klinice nie miało sensu. Pojechały na ostatni przystanek i czekały, aż autobus zawróci, by zabrać je do domu. Pochowały gołębia w ostatnim ocalałym sadzie i nigdy więcej nie próbowały złapać innego.

Ptak zeskoczył z parapetu na podłogę korytarza, z wahaniem przypatrując się Galinie i okruszkom, najpierw jednym okiem, potem drugim.

- Nie ruszaj się - szepnęła Galina do Jakowa. - Błagam, tylko się nie ruszaj.

Nie odpowiedział, ale przestał chodzić. Galina nie widziała jego twarzy, ale wyobrażała sobie, że obserwuje zbliżającego się niepewnie ptaka z takim samym przejęciem jak ona.

Ptak czujnie dziobnął okruszki, zerkając z ukosa na otwartą rękę Galiny leżącą na podłodze.

- Wszystko w porządku - szepnęła. - Śmiało, jedz.

Ptak jadł, szyja podskakiwała mu z każdym dziobnięciem. Okruszki placka wypełniały wole, ptak wydawał się całkowicie pochłonięty kolacją. Galina przesunęła rękę, centymetr po centymetrze, aż niemal dotknęła ptasiej nogi. Ptak przestał dziobać i przyjrzał się dłoni, która znów znieruchomiała.

Galina przygryzła wargę, czując, jak sucha skóra łuszczy się jej pod zębami, ustępując delikatnemu ciału i gorącej słonej krwi.

- Nie ruszaj się - szepnęła - stój spokojnie.

Ptak zastygł w bezruchu i Galina rzuciła się ku niemu. Uderzyła głową w metalowe pręty drzwi - zupełnie o nich zapomniała - i skrzywiła się z bólu. Wyciągnięte palce musnęły skrzydło w chwili, gdy przerażony ptak zerwał się do lotu, bez większego wysiłku unikając pojmania. Zniknął w otworze strzelnicy na końcu korytarza, a ona wciąż chwyciła puste powietrze, wyciągnięta ręka niemal wyskakiwała ze stawu, poskrzypywała w łokciu. Poczwała dłoń na ramieniu.

- Uciekł - powiedział Jakow. - Głowa do góry, prawie go miałaś.

- Prawie to zawsze za mało - szepnęła. W każdym razie tak mawiała jej matka.

- Co zrobiłabyś z tym ptakiem? Pomyśl o tym, Licho może rozmawiać z ptakami, ale to wcale nie znaczy, że ty też.

- Musimy spróbować. Co, chcesz tu zgnić?

Jakow otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale przeszkodził mu łopot skrzydeł. Tłusty biały gawron przecisnął się przez strzelnicę i omal nie spadł, niezdarnie machając skrzydłami. W krótkich podskokach zbliżył się do celi.

- Nareszcie - powiedział. - Szukałem was całe wieki.

- Siergiej! - Galina podniosła i przytuliła ptaka, opierając się chęci ucałowania dzioba. - Jak nas znalazłeś? Dlaczego cię puścili?

- Udawałem głupiego - wyjaśnił gawron i nawet jego wysoki ptasi głos nie zdołał zamaskować zadowolenia. - Uznali, że nie jestem dość ważny, by mnie ścigać. Zajęli się Zemuną i Kościejem.

- A co z Timur-bejem? - Zapytała Galina.

- Z nim? Nie wiem. Jest człowiekiem, więc pewnie gdzieś go zamknęli, żeby mu zabrać szczęście, o ile jakieś mu zostało po wszystkich tych latach pod ziemią. - Siergiej zachichotał, zadowolony z dowcipu. - Więc poszedłem was szukać, ale nie uwierzycie, co znalazłem.

Siergiej nie mógł latać; przycięte skrzydła wystarczały, żeby złagodzić upadek, ale były za krótkie i zbyt postrzępione, żeby umożliwić prawdziwy lot. Podskakiwał i podfruwał w drodze z szopy do okna na parterze pałacu; dostał się do środka i rozpoczął wędrówkę z jednego pokoju do drugiego. Znalazł wiele ptaków i więcej żołnierzy, niektórych francuskich. Żaden nie zwrócił na niego uwagi, a on szybko zrozumiał dlaczego - wśród czarnopiórych przybyszów, którzy obsiedli parapety i dziobali owoce na gałęziach drzewa, nie brakowało albinosów. Siergiej wciąż uważał, że to dziwne, myśleć o sobie jak o ptaku, ale musiał przyznać, że w tym przypadku ptasia postać jest przydatna, zapewniając mu doskonałe przebranie. Skakał po drewnianych podłogach i ręcznie tkanych chodnikach w czerwone, żółte i niebieskie pasy; podfruwał niezdarnie na parapety i balkony, wspinał się po kręconych schodach, tracąc orientację w niezliczonych korytarzach i amfiladach pustych pokoi, zamieszkaanych tylko przez kłęby kurzu. Po jakimś czasie przestał się przejmować, czy nie odwiedza ponownie sprawdzonego już pokoju, i nie był szczególnie pewien, czy posuwa się w górę, czy w dół.

Nie pamiętał, jak trafił do wejścia jednej z siedmiu wież; wiedział tylko, że musiał wyciągnąć szyję, żeby zobaczyć następny zwój szerokiej spirali schodów, które biegły w górę i skręcały w lewo. Skakał ze stopnia na stopień, myśląc, że tylko w naprawdę wysokiej wieży schody skręcają tak łagodnie. Piął się coraz wyżej, od czasu do czasu zapominając o bożym świecie, przekonany, że wciąż pilnuje silosu, wciąż w ludzkiej postaci, i że kapral wysłał go po coś do magazynu. Wreszcie ocknął się i zobaczył, że słońce zachodzi, a potem znowu wschodzi - dziwne rzeczy działy się z czasem na tej klatce schodowej.

To wtedy usłyszał śpiew, rwący się i cichy, przerywany często dla nabrania tchu w wielkich hałaśliwych haustach. Słyszając ten drżący, niepewny, słaby głos, wyobraził sobie dziecko, może chore dziecko, małego chłopca z astmą, który zabija czas w chorobie, udając, że śpiewa w cerkiewnym chórze. Potem do pierwszego głosu dołączył drugi i nieudolny duet rozbrzmiał echem na klatce schodowej. Trzeci spróbował śpiewać, lecz zakaszłał, jęknął i zakończył szlochem, a potem zapadła cisza.

Siergiej przyspieszył. To nie były głosy Licha ani żołnierzy. Zadecydował, że należą do więźniów, na pewno nie Zemuny czy Kościeja, ani nawet Galiny, skoro o tym mowa. Mimo to pędził w górę, ciekaw, kto śpiewał tak żałośnie.

Na szczycie schodów były jedne drzwi z wąską szczeliną u dołu. Siergiej nie bez trudności precyzyjnie się przez otwór. Owładnięty strachem przed spotkaniem z kotem czy wyrzuceniem siłą przez mieszkańców, nie spodziewał się, że poczuje taką głęboką litość i gniew.

Z początku pomyślał, że ma przed sobą trzy nagie kobiety przykute łańcuchem do ściany; jeśli w jego sercu zbudziła się wstrętne chora przyjemność na widok takiego zniewolenia, to wyparowała w chwili, gdy ujrzał długie krwawiące siniaki na nadgarstkach smukłych rąk bez palców, obwisłe cienkie piersi i ptasie nogi tak opuchnięte, że ciało na wpół skrywało kajdany. Szczupłe, drobnokościste twarze przywiodły mu na myśl bizantyjskich świętych i aniołów - wielkie ciemne oczy, delikatne wschodnie rysy zwężające się i przechodzące w drobne szpiczaste podbródki oraz niewielkie, ale idealnie wykrojone usta rozchylone w cierpieniu.

Potem zauważył, że ich nagie ciała są bezkształtnymi workami, przypominającymi oskubane kurczaki. Z drżeniem zrozumiał, że rzeczywiście są to ciała ptaków - oskubane do czysta z piór, z widniejącymi tu i ówdzie kępkami puchu i sterczącymi dudkami.

- Kim jesteście? - Szepnął do kobiet-ptaków.

Jedna po drugiej podniosły głowy, z oczami na wpół ukrytymi pod ciężkimi ciemnymi powiekami, i odszepnęły po kolei:

- Ałkonost.
- Sirin.
- Gamajun.

AŁKONOST, SIRIN, GAMAJUN

Jakow przerwał opowieść.

- Co się stało później?

Siergiej nastroszył pióra.

- Już ci mówiłem, żebyś nie przeszkadzał. Po prostu słuchaj, dobra?

Jakow skinął w milczeniu głową.

Siergiej podjął opowieść. Opowiedział, jak wrósł w podłogę przy drzwiach, niezdolny ani zawrócić, ani pośpieszyć z pomocą, sparaliżowany przez mieszaninę przerażenia, odrazy i litości, jak stał się boleśnie świadom swojego małego, tłustego ptasiego ciała. Zadrżał, gdy wyobraził sobie, jak wyglądałyby jego nagie skrzydła - patyki bez dłoni obciążone niebieskawą pomarszczoną skórą.

Ciemne bizantyjskie oczy obserwowały go spod ściany, przykuwając jego uwagę, i nie mógł się nawet rozejrzeć po pokoju.

Widział tylko oczy i zakrwawione kajdany skuwające niewysłowione, niewyobrażalne okropieństwo.

- Dlaczego tu jesteście? - Wychrypiał w końcu. - Co oni wam zrobili? Dlaczego... - Chciał zapytać, dlaczego są nagie, ale po namyśle zmienił zdanie. - Co się stało z waszymi piórami?

- Zabrali je - odparła Sirin rwącym się, lecz słodkim głosem, i usta jej zadrżały. - Zabrali je, żeby zrobić z nich amulety i dać złemu człowiekowi.

- Odrosły - dodała Ałkonost - ale znów je zabrali.

- Umrzesz po dwakroć - syknęła Gamajun, w jej oczach płonęło niepohamowane szaleństwo.

- Czy mogę jakoś wam pomóc? - Zapytał szeptem Siergiej. Przepelniał go smutek, potężniejszy niż wszystko, co dotąd odczuwał; pomyślał, że pierwszy raz w życiu naprawdę coś czuje. Niczego więcej nie pragnął, jak tylko im pomóc.

- Weź moje ostatnie pióro. - Ałkonost przesunęła się niezdarnie, obracając się bokiem, nagim z wyjątkiem jednego białego piórka. - To czar.

- Jak działa?

- Nie wiem. - Ałkonost przygryzła wargę, bliska płaczu. Teraz nie było w niej nic majestatycznego.

- Moje też weź - powiedziała Sirin i wykręciła się, przesuwając ciężkie ciało, odsłaniając siwe pióro pod skrzydłem. - To urok.

- Weź wszystkie! - Gamajun szamotała się dziko w łańcuchach, aż krew spływała z jej kostek i nadgarstków. - Weź moją klątwę, weź moją nienawiść, weź wszystko, co mamy, ale połóż kres temu poniżeniu. - Gdy przestała się miotać i zwisała bez siły w okowach, z głową zwieszoną na piersi, Siergiej zobaczył czarną smugę pióra na jej karku.

Zabrał trzy pióra i przystanął przed drzwiami. Nie chciał ich tak zostawiać.

- Wrócę po was - powiedział. - Obiecuję.

Trzy kobiety-ptaki milczały. Po chwili Ałkonost zaczęła śpiewać dziecięcą kołysankę, którą Siergiej słyszał zbyt dawno temu, żeby pamiętać słowa, ale melodia wzbudziła w jego sercu nieznaną mu tęsknotę za szczęśliwymi czasami bez odpowiedzialności, za czasami, gdy mógł się skulić pod grubym pikowanym kocem, bezpieczny od wszelkich zmartwień. Przełknął żółć podchodzącą do gardła i precyzyjnie się przez szczelinę pod drzwiami. Czuł się jakiś lżejszy, bardziej pusty.

Poruszył skrzydłami, próbując im to wyjaśnić.

- Tak to jest, widzicie - powiedział. - Już nic nigdy nie będzie takie samo. Jakby moje życie pękło na pół. Wiecie, o co mi chodzi?

Jakow pokiwał głową. Znał różnicę przed i po, czuł pęknięcie dzielące jego życie na dwie odrębne, niemożliwe do pogodzenia części, niemające ze sobą nic wspólnego; był teraz innym człowiekiem. Miał ochotę rzucić się na zimną podłogę swojego więzienia, płakać i bić pięściami w deski, gdy pomyślał, że ta rysa, ta przyczyna rozdziału - to wspomnienie - została wyrwana z jego duszy kościstymi widmowymi palcami wioślارza.

- Gdzie są pióra? - Zapytała Galina.

Siergiej uśmiechnął się, zadowolony z siebie, i podniósł skrzydła. Tam, wśród jego własnych brudnobiałych piór, tkwiło jedno połyskliwie białe piórko, jedno szare i jedno czarne, z dudkami bezpiecznie wplątanymi w puch.

Jakow wyjął je niezdarnymi krótkimi palcami i przyjrzał się im uważnie.

- Co z nimi zrobimy?

- Czar, urok i klątwa - powiedziała Galina.

Jakow westchnął i zamknął dłoń.

- Co to znaczy? Wszyscy tutaj mówią głupimi zagadkami, jakby rzucanie zlepków słów mogło im nadać znaczenie. Cóż, ja się do tego nie nadaję, dla mnie to jeden bełkot. Więc nawet nie próbuj mówić tak, jakbyś wiedziała, co się dzieje.

- Nie mów mi, co mam robić i mówić - burknęła. - Za kogo ty się uważasz? Nie jestem twoją żoną, więc nie warcz na mnie za każdym razem, gdy coś idzie źle.

Wzruszył ramionami i podał jej pióra.

- W takim razie sama to rozgryź.

Galina przyjrzała się piórom na dłoni, przechylając je na boki, żeby pochwycić światło z okna na końcu korytarza. Jej mina zdradzała konsternację równą tej, jaką odczuwał on. Jakow stłumił uśmiezek satysfakcji.

- Urok albo klątwa? - Szepnęła z zadumą. - Czy któryś z was pamięta jakieś bajki z piórami?

- Tylko z płatkami kwiatu - odparł Siergiej. - Pamiętacie tę o siedmiobarwnym kwiecie?

Galina uśmiechnęła się szeroko.

- Jasne. „Leć, mały płatku, ze wschodu na zachód, z północy na południe, i wróć, spełnij moje życzenie, kiedy dotkniesz ziemi”.

- To ta - zaskrzeczał Siergiej, zadowolony. - Myślisz, że zadziała?

- Nie słowa. Ale zobaczmy, co się stanie, kiedy dotkną ziemi. - Otworzyła dłoń i wszyscy troje patrzyli, jak pióra spływają na podłogę, ich delikatne jedwabiste promienie falują w łagodnym przeciągu z okna na końcu korytarza.

Czekali, patrząc na leżące nieruchomo pióra.

- Pieprzyć to - burknął Jakow. - Chodźmy stąd, poszukajmy Kościeja. Może on będzie wiedział, o co tu chodzi.

- Nie możemy odejść - przypomniała mu Galina i wskazała drzwi. Jakby był głupi.

- Siergiej, dosięgniesz do zamka? - Zapytał.

- Zaczekaj - odparł gawron i przecisnął się na zewnątrz przez szczelinę pod drzwiami. Usłyszeli skrobanie i posapywanie przerywane łoskotem, który oznaczał upadek. - Nie mogę dosięgnąć. - Siergiej wetknął głowę przez otwór. - Gdybyś mógł mnie podsadzić... Ale jeśli nawet, nie wiem, czy jestem dość silny.

- Ja jestem - odparł Jakow i położył się na podłodze. Weisnął rękę w otwór i czekał, aż gawron stanie na otwartej dłoni. Gdy szponiaste zimne ptasie palce zacisnęły się na jego kciuku, przekręcił się na prawy bok, wyciągając rękę w górę.

- Jeszcze kawałek - poinstruował Siergiej. - Jest. Dotykam dziobem. - Rozległo się zgrzytanie i pobrzękiwanie metalu. - Nie dam rady, zamek jest za mocny.

- Przyłóż dziób do zapadki - polecił Jakow. - Idzie w prawo czy w lewo?

- W lewo. Tylko bądź ostrożny.

Jakow chwycił ptasie nogi i wyteżył siły, żeby przesunąć wewnętrzną zapadkę. Pracował po omacku, jego ciężki oddech mącił ciszę w celi. Siergiej był żołnierzem - Jakow czuł, jak gawron się pręży, próbując usztywnić ciało i pozostać bez ruchu.

Zaskoczył go ostry trzask - w pierwszej chwili pomyślał, że skręcił kark Siergiejowi. Galina skoczyła do drzwi i pchnęła. Drzwi się otworzyły. Jakow uwolnił ptaka, podniósł magiczne pióra i wstał z podłogi.

- Nic ci nie jest? - Zapytał Siergieja.

- W porządku - odparł z korytarza gawron. - Jestem tylko trochę obolały. Chodźcie, pokażę wam drogę.

Jakow nie lubił używać przemocy, a gdy już musiał, starał się zachować stoickie podejście, ani nie czerpiąc przyjemności, ani nie czując niesmaku. Próbował zachować ten sam dystans, gdy skręcili za róg i natknęli się na jednego z żołnierzy napoleońskich; ten był Francuzem. Patrzył na Jakowa bardzo okrągłymi, bardzo wyblakłymi oczami, jego usta naśladowały ich kształt. Sięgnął po muszkiet, ale nie zdążył wycelować, bo Jakow posłał go na ziemię jednym ekonomicznym ciosem.

- Co z nim zrobimy? - Zapytała Galina, patrząc na żołnierza ze zmartwioną, niemal współczującą miną. - Nie zostawimy go tak po prostu, prawda?

Jakow wzruszył ramionami.

- A co innego można zrobić? Ja go nie będę dźwigać. - Spojrzał na woskową twarz żołnierza, na zapadnięte powieki porysowane niebieskimi żyłkami, delikatnymi jak pęknięcia na porcelanowym kubku. - Nic mu nie będzie. - Prawdę mówiąc, żołnierz nie wyglądał najlepiej, podobnie zresztą jak ci, których widział wcześniej. Wydawało

się, że nie mogą być bardziej martwi, i to wytrącało go z równowagi. Wszyscy inni tutaj byli żywi, a przynajmniej myśleli, że żyją. A jeśli było inaczej? A jeśli on też był martwy?

Jakow pokręcił z uśmiechem głową i ruszył za gawronem, który tańczył i podskakiwał niecierpliwie, w głąb drewnianego korytarza. Nie był martwy; to nie była jedna z tych głupich historyjek, które opowiadali sobie w dzieciństwie przy ognisku, podczas granatowych, niekończących się nocy na letnim obozie. Wciąż je pamiętał, niemądre i nielogiczne, o meblach zjadających ludzi i groźnych, ale beznadziejnie tępych seryjnych zabójcach. I o martwych ludziach, którzy nie wiedzieli, że nie żyją, dopóki ktoś im tego nie powiedział, i wtedy rozpadali się w proch. Nawet jako dorosły pamiętał lodowate ciarki na karku, wywołane nie tyle przez same opowieści, ile przez ciemność i ogólny nastrój radosnej konspiracji, wzajemnego straszenia się i udawania strachu, aż stawał się prawdziwy.

- Tutaj. - Siergiej przystanął przed drzwiami. Jakow obejrzał się ze zdziwieniem. Tylko zakręt i kawałek korytarza, który prawdopodobnie biegł wokół pałacu, oddzielał ich loch od celi Zemuny i Kościeja.

- Przez cały czas wiedziałeś, że tu są? - Zapytała Galina. - Dlaczego nie dałeś im piór?

Siergiej nadał ptasią pierś.

- Dlatego. Jesteście ludźmi, jesteście swoi. Te baśniowe istoty... Nie za bardzo.

- Sam jesteś baśniowym stworzeniem - zaznaczyła Galina. - Jesteś gadającym ptakiem.

- Zwyczajne ptaki też mogą mówić. Poza tym tak naprawdę nie jestem ptakiem.

- Twoje pióra mają odmienne zdanie w tej kwestii - powiedział Jakow. - Śmiało, wchodzimy.

Okienko w tych drzwiach było umieszczone wyżej niż w ich niedawnym więzieniu. Jakow złapał Siergieja i bezceremonialnie wepchnął do środka. Zajrzał przez otwór, ale zobaczył tylko ciemność i słabe migotanie. Lekki zapach mleka i trawy powiedział im, że w środku rzeczywiście przebywa Zemuna.

- Patrz - usłyszeli szeleszczący głos Kościeja - to ten ożywiony trup z powierzchni.

- Nie nazywaj go tak - upomniała go Zemuna. - Nie sądzisz, że nikt nie chce, by przypomniano mu o jego śmiertelności?

- Mnie nic o tym nie wiadomo - odparł z wyraźną drwiną Kościej. - Co nam przynosisz, gawronie?

- Pióra - odparł Jakow, przyciskając usta do okienka w drzwiach. - Od Ałkonost i spółki. Wiecie, co z nimi zrobić?

Z zewnątrz dobiegło posapywanie i szepty. Jakow westchnął i zaczął majstrować przy prostym zamku, łatwym do otworzenia byle jakim wąskim narzędziem.

- Masz może spinkę? - Zapytał Galinę.

Sięgnęła do kieszeni dzinsów - tych samych, które nosiła, odkąd się tu zjawili. Jakow zdał sobie sprawę, że jego ubranie też jest brudne, i zastanowił się, dlaczego tak mało go to obchodzi.

- Masz. - Galina podała mu smukłą wsuwkę na otwartej dłoni.

Przyglądał się przez chwilę cienkiemu czarnemu kawałkowi metalu, wtulonemu w głęboką zmarszczkę jej linii życia. Przypominała słowo wyrwane z kontekstu, nie pasowała tutaj. Stali w drewnianym korytarzu jakiegoś średniowiecznego pałacu, mając do towarzystwa jedynie blade nieziemskie światło, w miejscu znajdującym się pod rzeką, tunelami metra i tajnymi bunkrami KGB, w miejscu, które na dobrą sprawę leżało zbyt głęboko, żeby w ogóle istnieć. Spinki do włosów nie miały tu prawa bytu. A jednak wcisnął ją w zamek, przesuwając zapadki - tym razem szło mu łatwiej, bo nie musiał pracować na ślepo. Wysunął język, bo przypominał sobie, że w dzieciństwie to pomagało. Oddychając ciężko, trochę zawstydzony wystawianiem języka, pracował w skupieniu, aż zapadki się przesunęły. Galina poklepała go po ramieniu.

- Czego? - Parsknął z większym rozdrażnieniem niż zamierzał.

- Patrz - szepnęła.

Spojrzał. Więcej żołnierzy, oczywiście, i jeden niósł dziecko na ramionach - straszliwie zdeformowane dziecko, które trzymało go za szyję podobnymi do szponów rękami i okrutnie bębniło piętami po jego bokach, marszcząc mundur. Jakow rozpoznał legendarnego Zlydena. Od grupy płynął zapach starego popiołu i kwaśnego mleka, i Jakow nigdy nie pragnął bardziej niczego, niż znaleźć się jak najdalej od nich.

Koszmarne dziecko zakwiliło, kopniakami zmuszając żołnierza do truchtu. Pochyliło się i ugryzło w ucho swojego wyraźnie zezłoszczonego wierzchowca.

Jakow poczuł, że coś drgnęło w jego duszy na dźwięk płaczu dziecka. Dlaczego nie chciało przestać, dlaczego nie chciało się zamknąć i siedzieć cicho, dlaczego musiało dręczyć go chlupaniem i piskiem, nieregularnymi, zwodniczymi okresami ciszy, które zapowiadały kolejny atak płaczu? Jedyłą rzeczą, która teraz powstrzymała go od

krzyku - zamknij się, zamknij, bo inaczej... - Był nagły niewytłumaczalny strach, że głos ucichnie zgodnie z jego niewypowiedzianym życzeniem, a wówczas...

- Zrób coś - syknęła mu do ucha Galina, zanim zdążył dokończyć straszną myśl, i wątek się zerwał, rozsypał jak szkiełka w kalejdoskopie, nic, tylko śmieci, upiorne elementy rozdzierającej duszę zabawki, jakiej nigdy nie kupiłby dziecku.

Silne pchnięcie od tyłu rzuciło go pod nogi żołnierzy - drzwi, o których zapomniał, uderzyły go w plecy. Stanęli w nich Kościej i Timur-bej, gotowi do walki.

Jakow skulił się, zakrył głowę rękami, oczekując ciosu. Zamiast zaatakować, żołnierze przebiegli obok niego i jedyny kopniak, jaki otrzymał, był przypadkowy. Podniósł się na czas, by zobaczyć, jak Timur-bej sięga w szeroki rękaw i wyjmuje długie lśniące ostrze.

Kościej stał obok niego, wyjątkowo wysoki, chudy i prosty, z szarym piórkiem w kościstych palcach. Jego zapadnięte policzki wydeły się w parodii oddechu; dmuchnął na piórko, przez cały czas kreśląc lewą ręką symbole w powietrzu.

Jakow nie miał pojęcia, co się dzieje, ale zachował dość przytomności umysłu, żeby uskoczyć przed żołnierzami (starał się nie patrzeć na Zlydena), złapać Galinę za łokieć i odciągnąć ją z drogi. Chciał zakryć jej oczy dłonią, żeby oszczędzić widoku szerokiego błyskającego łuku szabli Timur-beja, matowego lśnienia bagnatów i ciemnego wiru w powietrzu, wzbudzonego przez rękę Kościeja. Pociągnął ją pod ścianę przy otwartych drzwiach celi, przyciskając się płasko do desek, które pomimo upływu stuleci zachowały lekki żywiczny zapach cedru i sosny.

- Nie patrz - szepnął.

Patrzyła. A dlaczego nie? Była dorosła, nie była wyimaginowanym dzieckiem, które Jakow chronił w swojej pokręconej wyobraźni; nie musiała się odwracać, gdy bagnety i szable dźgały i cięły, zostawiając po sobie gorączkowo rozkwitające czerwone goździki; mogła obserwować powietrze gęstniejące w szarą chmurę - urok Sirin dudnił w niej krótkimi błyskawicami, przesycając powietrze zapachem ozonu, grzejąc ścianę za ich plecami i sprawiając, że wydzielala aromat żywicy, lata i poziomek.

Chmura otoczyła żołnierza, który niósł Zlydena, i zestaliła się - wyglądała jak płynna porowata, z grubsza ociosana bryła betonu. Gdy skrzepla, pozostali żołnierze, wielu zakrwawionych, odsunęli się od niej, nie wiedząc, co czynić. Zlyden zniknął, a Licho się nie pokazało - Jakow czuł, że bez swoich dozorców żołnierze nie grzeszą odwagą.

Jakow zrobił krok do przodu, podnosząc dłoń, żeby zakończyć potyczkę. Ku jego zaskoczeniu nawet Timur-bej się cofnął i wytarł szablę o rękaw.

- Obywatele - powiedział do żołnierzy - jesteście aresztowani za zakłócanie spokoju. Proszę oddać broń.

- Nie - odparł jeden z nich. - Dlaczego mielibyśmy cię słuchać? - Przeniósł spojrzenie na jednego ze swych towarzyszy, wykrwawiającego się na ziemi. Krew, zaskakująco prawdziwa, wsiąkała w zieloną wełnę munduru i plamiła ją na czarno.

Ile razy mogą umrzeć zmarli? - Zastanowił się Jakow. Wiele, przyszło mu na myśl. Martwi zawsze umierają, za każdym razem, gdy żywi myślą o ich śmierci, jak dziecko, które płacze w łóżeczku, i milknie, by zacząć płacz na nowo - umierał setki razy, zabity przez samą myśl, by następnie wrócić do życia, płakać i znowu umierać. Jak żołnierz z dawnej wojny, który padał w zwolnionym tempie, od bagnetu, od kuli, od ostrza szabli; żołnierz, który pośliznął się we własnej krwi i osunął na ziemię, by spocząć wśród czerwonych goździków, znowu i znowu. Leżał nieruchomo tylko wtedy, gdy ktoś przyszpilił go wzrokiem.

Galina delikatnie odsunęła go na bok.

- Powinniście go posłuchać - powiedziała - bo Zlydena i Licha tu nie ma. Przehandlowaliście swoje szczęście, i nasze. Ja tylko szukam siostry, choć nie wiem, czy zdołam ją znaleźć bez szczęścia. Jeśli nie chcecie nam pomóc, to chociaż pozwólcie nam przejść.

Żołnierz otworzył usta, żeby odpowiedzieć, lecz nagle jego klatka piersiowa wybuchła z głośnym hukiem - nie rozkwitły goździki, ale ziejąca czerwona paszcza otworzyła się w jego piersi, obrzeżona białymi kawałkami żeber podobnych do głodnych zębów. Powolny wilgotny syk wypłynął z jego pobielających warg, pokrytych różową pianą. Kolana się pod nim ugięły i upadł na twarz, składając się niczym leżak.

Z początku Jakow pomyślał, że to czary Kościeja, ale twarz Nieśmiertelnego wyrażała to samo zaskoczenie i szok, co twarz Galiny. Nawet Zemuna i Siergiej wysunęli się z celi, gdzie roztropnie postanowili przeczekać potyczkę, i teraz wypatrywali źródła wybuchu w ogłuszającej ciszy, która po nim nastąpiła.

Zza szarego głazu, który blokował pole widzenia, napłynął odgłos ostrożnych kroków. Wojskowe buty, domyślił się Jakow. Chwycił Galinę za łokieć, Kościej zacisnął pięści, Timur-bej sięgnął po szablę. Zapomniawszy o bitwie, żołnierze napoleońscy zwrócili się przodem ku nieznanemu zagrożeniu, ich ramiona muskały

rękawy Timur-beja i wyciągnięte ręce Kościeja, ich plecy obróciły się w stronę Jakowa, jakby już nie był wrogiem, a sprzymierzeńcem.

- Nie ruszać się - rozległ się kobiecy głos i zza szarego głazu wyjrzała lufa strzelby.
- Do licha, a co to takiego?

Galina strząsnęła rękę Jakowa i pobiegła, przepychając się pomiędzy żołnierzami.

- Elena! To ty?

Żona dekabrysty stanęła w polu widzenia, jej czarna aksamitna suknia była poplamiona rzeźnym błotem, a pod paznokciami drobnych białych dłoni czerniały półksiężyc brudu. Rzuciła na podłogę strzelbę, którą dotąd trzymała gotową do strzału, i wyciągnęła rękę do Galiny. Kobiety uściskały się ze śmiechem, nie zważając na krew na podłodze.

Elena nie przysła sama - zza szarego głazu uroku Sirin wyszło gęsiego kilka rusalek w ciężkich wojskowych butach, a za nimi wymaszerowali dwaj żołnierze z około tysiąc dziewięćset siedemnastego - Jakow uznał ich za kawalerzystów Budionnego, Kozaków albo wyjętych spod prawa (co nie czyniło większej różnicy). Rewolucjoniści i bohaterowie wojenni pod wodzą wroga klasowego i kilku utopionych dziewcząt. Jakow uznał, że lepiej się nad tym nie zastanawiać.

- Dlaczego go zastrzeliłaś? - Zapytał Elenę.

Obrzuciła go zirytowanym spojrzeniem, wyraźnie zła, że przerwał jej pogawędkę z Galiną.

- To zdrajcy - powiedziała.

- Nieprawda! - Zaprotestował jeden z ocalałych żołnierzy.

- Oczywiście, że prawda, poruczniku. Spaleni w czasie odwrotu, pomyśleć tylko! Zapomniałeś, że mój mąż dowodził waszym regimentem. Wiem, dlaczego zostaliście z tyłu, wiem, dlaczego spłonęliście - miasto nie mogło znieść waszej obecności, dezertery. Wolało stracić budynek niż pozwolić wam w nim pozostać. Porzuciliście swojego dowódcę.

Porucznik wyprostował się, jego białe oczy niemal zapłonęły z gniewu.

- Gadaj zdrowa, dziwko! To ty go zdradziłaś, nie zachowałaś się jak na dobrą żonę przystało, nie pojechałaś z nim na Syberię, więc ty też zasłużyłaś na pobyt w tym przeklętym podziemiu, ty też...

Nie skończył - Elena płynnym ruchem podniosła strzelbę i wycelowała w jego pierś. Jakow wziął to za brawurę, jak wszyscy inni - żołnierze po bokach Eleny

uśmiechali się drwiąco, ci naprzeciwko niej pomrukiwali z niezadowolenia. Strzał huknął niespodziewanie.

- Co ty robisz?! - Wrzasnął Jakow, gdy porucznik padł w ramiona swoich towarzyszy, pchnięty siłą strzału. - Straciłaś rozum? On nic nie zrobił!

Elena wzruszyła nagim ramieniem i oparła na nim strzelbę.

- To nie jest zabójstwo w samoobronie, Jakow - powiedziała. - To akt zemsty. To oni zabili Berendeja, to przez nich mój mąż stracił zdrowie i duszę. Załamał się po wojnie. Syberia nie skrzywdziła go bardziej niż oni.

- Nakarmili również Licho i Zlydena - dodała Zemuna.

- Nie możesz tak po prostu chodzić i zabijać ludzi! - Zawołał Jakow.

- Jasne, że może - odezwał się Timur-bej. Milczał do tej pory i Jakow zdążył o nim zapomnieć. - Nie mamy tu policji. I nie lubimy zdrajców.

- Przykro mi, że muszę przerwać tę ożywioną dyskusję na temat natury sprawiedliwości - powiedział Kościej - ale myślę, że może powinniśmy zająć się Ałkonost i jej siostrami, odkładając na później martwienie się o te usmażone worki mięsa.

Trzej pozostali żołnierze posłusznie weszli do celi zwolnionej przez Zemunę i gawrona. Zamek był zepsuty, więc dwaj stoicy kawalerzyści stanęli na straży.

- Czekajcie - powiedziała Galina. - Co z moją siostrą? Co z resztą ludzi przemienionych w ptaki?

Kościej obrócił w palcach białe piórko.

- Mogę im pomóc, ale najpierw musimy zabrać ich na powierzchnię. Niepotrzebni nam tutaj ci wszyscy turyści.

- Czy to miejsce nie jest połączone z Kołomienskoje? - Zapytał Jakow.

- Jest - zaskrzeczał Siergiej. - Sława zawsze się tam z nimi spotykał, musi być jakieś połączenie. Myślę, że wyjście jest we wschodniej wieży. Ptaki są więzione w zachodniej.

- Sprawdźmy to wszystko - powiedziała Elena i skinęła na swoją małą, ale groźną armię. - Twój drugi przyjaciel jest na powierzchni. Jeśli Ojczulek Mróz nie bredził w pijackim zamroczeniu, on i jego dziewczyna zamierzali zajrzeć do Kołomienskoje. Chodźmy, trzeba uwolnić Gamajun i jej siostry, znaleźć wyjście i spędzić ptaki.

- I odszukać Jednookie Licho - dodała Galina. - Dziwne, że nie natknęłaś się na nie.

Elena pokiwała z uśmiechem głową.

- Jest mnóstwo do zrobienia - powiedziała. - Ruszajmy.

PTAKI

Fiodor nie liczył na to, że z niedźwiedzia złożonego ze szczurów będą mieli długo pożytek. Osobliwe widowisko odwróciło od nich uwagę bandytów, pozwoliło im zyskać na czasie. Gdyby tylko mógł zrobić coś z tym czasem, płynącym teraz zbyt szybko, jak mu się zdawało. Nie wiedząc, co zrobić, pchnął Oksanę w najbliższą zaspę, żeby ustrzec ją przed krzywdą, która wydawała się nieuchronna.

Niestety, niedźwiedź ze szczurów źle zinterpretował jego zamiary i zwrócił się ku niemu, podnosząc łapy w opiekuńczym geście.

- A co to, kurwa, takiego? - Zapytał jeden z bandytów.

- Jakiś niedźwiedź - odparł drugi. - Niedźwiedź transformer.

- No tak - mruknął trzeci, rozpogadzając się. - Mój dzieciak ma coś takiego, z importu. Ładna zabawka.

Patrzyli, jak Fiodor cofa się po ścieżce, z kawką Władimirem krążącą nad jego głową. Sława milczał, ale jego ręka sięgnęła pod kurtkę, i Fiodor skrzywił się na myśl o tym, co wyjmie. Nie lubił broni, bał się jej - nawet gdy ojczym chodził na polowania, wolał zostawać w domu i nigdy nie patrzył na szkliste ślepka ptaków i królików, które ojczym przynosił do domu. Wyobraził sobie własne oczy przemieniające się w pozbawione wyrazu szklane kulki, zamglone przez śmierć.

Oksana, leżąca pomiędzy nim i bandytami, wstała. Wypluła śnieg i zagwizdała na niedźwiedzia, zmieniając kierunek jego chwiejnego ataku. Fiodor pomyślał, że sytuacja robi się żenująca, i tylko z tego powodu, ignorując błysk w ręce Sławy, rzucił się na bandytę.

Dzieliła ich zbyt duża odległość, a ścieżka była śliska. Sława zobaczył jego ruch i podniósł pistolet. Zmrużył szare oczy, celując w niego z ciężkiego lugera o długiej

lufie. Niedźwiedź podszedł bliżej. Sława po chwili wahania wziął go na cel. Jego goryle zeszedli ze ścieżki i ruszyli w stronę Fiodora.

Huknął strzał, niedźwiedź zachwiał się i rozsypał. Szczury pierzchły, zostawiając jednego, wijącego się i tryskającego krwią na pocięty niebieskimi pasami śnieg. Oksana krzyknęła i upadła na kolana, żeby podnieść rannego gryzonia. Wzięła go w rękę, nie bacząc na niebezpieczeństwo.

Fiodor zamachnął się niezdarnie na bandytę, który dotarł do niego pierwszy. Mężczyzna machnął ręką, jakby odpędzał muchę, a następnie trzasnął go w szczękę wielką okrągłą pięścią. Fiodor poczuł, że cios przemieścił mu coś ważnego, i słona krew zalała usta. Zatoczył się do tyłu, ale zdołał utrzymać na nogach. Patrzył, jak krew ściekająca z ust wypala małe ciemnoczerwone kraterki w ubitym śniegu na ścieżce.

Podszedł drugi bandyta, nieśpiesznie, jakby zamierzał przez dłuższy czas rozkoszować się biciem intruza. Fiodor stwierdził, że go rozumie - jak często ten człowiek miał okazję tłuc kogoś w spokoju, w śnieżnym lesie o zachodzie słońca, bez ryzyka, że ktoś mu przeszkodzi? Ale przynajmniej odciągnął ich uwagę od Oksany. Nawet Sława schował lugera i przyglądał się widowisku.

Padł kolejny cios. Kątem podbitego oka Fiodor zobaczył smugę ruchu, ciemną plamę na tle niebieskiego zmierzchu, i pojął, że Oksana rzuciła się na Sławę. Pchnęła go, wytrącając z równowagi, i oboje wpadli do chaty. Fiodor zdążył zobaczyć, że Sława jedną ręką odpycha Oksanę, a drugą sięga w zanadrze.

Chciał do nich pobiec, ale drogę zaszło mu dwóch bandytów, nieskłonnych rezygnować z zakazanej rozrywki; był dla nich tym, czym importowany skórzany but dla buldoga. Jeden chwycił go za kurtkę na piersi, a drugi powoli, metodycznie bił po twarzy i mostku, zamierzając zadać jak najwięcej bólu, by pożałował, że zadarł ze zbirami Sławy.

Nagle bicie ustało. Fiodor otworzył jedyne sprawne oko, czekając na nieuchronny krzyk Oksany i strzał z pistoletu. Zamiast tego usłyszał łopot skrzydeł i ptaki wlały się w ciemne powietrze - z okna i drzwi chaty, spomiędzy chmur, nawet spośród szczurów, które biegały po śniegu.

Bandyta puścił kurtkę. Fiodor się zachwiał, ugięły się pod nim kolana, ale nie upadł. Powietrze kłębiło się wokół niego, czarne od skrzydeł, oczu i dziobów. Gadzie szponiaste stopy dotykały jego głowy i rąk, mięciutkie pióra sów muskały posiniaczoną, opuchniętą twarz. Szczury wspinały się po jego spodniach i rękawach, szukając ochrony przed powietrzem, które nagle stało się wirem drapieźników.

Ani wrony, ani sowy nie okazały większego zainteresowania szczurami - lądowały na drzewach, na ścieżce, na dachu chaty. Były ich setki, i bandyci patrzyli na nie z otwartymi ustami, jeszcze niepewni, czy to ich sądny dzień - czy wszyscy ludzie, których przemienili w ptaki swoimi bezmyślnymi, okrutnymi czarami, wrócili, żeby wyrzucić zemstę.

Fiodor skorzystał z ich konsternacji i pobiegł do chaty, mamrocząc: „Boże, błagam, pozwól jej żyć” pokaleczonymi, krwawiącymi ustami, które szczypało zimne powietrze. W chacie było ciemno i nie mógł nic zobaczyć; wpadł do środka na oślep i natychmiast nastąpił na coś miękkiego, a łokciem uderzył w coś twardego.

- Oksana?! - Zawołał w ciemność.

- Tutaj - odparła zaskakująco spokojnym głosem. - Zaczekaj chwilkę, zaraz oczy przywykną do mroku.

Wnętrze chaty ukazywało się powoli, jak fotografia w kuwecie z wywoływaczem, czarne i szare w ciemności. Dostrzegł Oksanę - całą i zdrową, dzięki Bogu - stojącą pod ścianą. Tym czymś miękkim pod jego nogą był Sława, żywy, ale leżący plackiem na ziemi, z lufą strzelby przyciśniętą do karku; strzelbę trzymała Elena. Posłała Fiodorowi przyjazny uśmiech, który błysnął bielą w ciemności.

- Cześć - szepnęła. - Ilu jest na zewnątrz?

- Tylko dwóch. I od cholery ptaków.

Spojrzał w głąb chaty i gdy oczy przystosowały się do mroku, zrozumiał, że czwartą ścianę tworzy szara mgła sięgająca gdzieś daleko, w niewyobrażalne wymiary. Wirujące opary przerzedzały się i gęstniały, pozwalając mu ujrzeć w przelocie skryte w nich zacienione postacie.

Wpatrywał się w mgłę jak w kryształową kulę - lęk przed bandytami i pytania związane z niespodziewanym przybyciem Eleny topniały, zostawiając zauroczenie rozgrywającym się przed nim widowiskiem. Postacie we mgle wydawały się zniekształcone, jakby patrzył przez bańkę mydlaną, ale rozpoznał długie szare płaszcze i czerwone gwiazdy na czapkach, wojskowe buty zgodnie uderzające o ziemię - legendarna pierwsza kawaleria, w równych częściach będąca tworem propagandy i folkloru; żołnierze przechodzili przez bąbel, twarz każdego z nich na chwilę powiększała się i wykrzywiała, i znowu znikali we mgle.

Fiodora ścisnęło w gardle, gdy zrozumiał, że widzi nie prawdziwych ludzi, ale całą epokę odchodzącą do królestw nieznanych - wszyscy jego dziecięcy bohaterowie, wszyscy rewolucyjni żołnierze, których w dzieciństwie był przyuczony podziwiać,

stracili znaczenie i rozplynęli się we mgle. Nie patrzyli na niego, przechodząc - może go nie widzieli - maszerowali ze wzrokiem wbitym prosto przed siebie. Za nimi szły konie, stukając podkutymi kopytami, nisko opuszczając głowy, z melancholią w oczach, wszystkie gniade z białymi gwiazdkami na czole.

Wizja przeminęła i mgła znowu zawirowała.

- Co to było? - Zapytał szeptem Elenę.

Wzruszyła ramionami, pewnie trzymając kolbę strzelby.

- Kolejna era odeszła pod ziemię.

- Ale oni nie byli prawdziwymi żywymi ludźmi.

- Oczywiście, że nie. Są symbolami. A teraz, jeśli skończyłeś już z nieistotnymi pytaniami, pomożesz mi?

Pokręcił głową i skrzywił się - każdy ruch przyprawiał go o ostry ból w czaszce.

- Co mam zrobić?

- Ci dwaj na zewnątrz - przypomniała mu. - Zobacz, czy ptaki z nimi skończyły.

Wyjrzał przez drzwi. Było już zupełnie ciemno, ale na śniegu zobaczył dwie duże ciemne plamy, nieruchome i bezwładne jak wyrzucone na brzeg wieloryby.

- Tak.

- Dobrze. - Elena odsunęła strzelbę od karku Sławy, kazała mu wstać i podejść pod ścianę. - Zakończmy to.

Ściany chaty wokół nich rozmyły się w żółtawej jasności - Fiodor miał wrażenie, że stoją we czworo na scenie, z widownią ukrytą w ciemnościach za blaskiem świateł rampy. Ale czuł obecność widzów w jednolitym blasku, słyszał oddechy i głosy.

- Droga wolna! - Zawołała Elena w światło. - Chodźcie.

Kościej pojawił się pierwszy, zaciskając wargi w typowym dla siebie cierpkim grymasie ogólnego niezadowolenia ze stanu rzeczy. W kościstych rękach trzymał dwa pióra - czarne i białe - stojąc w pozie magika na scenie.

- Przyrowadź Jednookie Licho - powiedziała do niego Elena. - Nie chcę go mieć pod ziemią.

- Jestem pewien, że na powierzchni też go nie chcą - odparł Kościej.

Elena wzruszyła mlecznobiałymi ramionami, przeciętymi przez czarne ramiączka aksamitnej sukni.

- A co mnie to obchodzi?

Oksana dotknęła rękawa Fiodora.

- Jednookie Licho - szepnęła tytułem wyjaśnienia. - Było tu, rozmawiało z nim. - Wskazała na Sławę. - Gdy mnie zobaczyło, uciekło przez ścianę, ale jak sądzę zostało złapane.

Kościej pozwolił, by uśmiech zadowolenia rozjaśnił jego zapadnięte policzki.

- Doskonale się złożyło. Licho ukradło szczęście waszym przyjaciółom, rozumiecie? A co jest większym nieszczęściem niż wpadnięcie na Licho? Praktycznie są skazani na przyciąganie pecha. Mają garbate szczęście.

- Gdzie oni są? Galina i Jakow? - Zapytał Fiodor.

- Idą. Poza utratą szczęścia nie spotkało ich nic złego.

Licho wyłoniło się z jasności jako następne - śliniące się dzikie stworzenie, które łypało jedynym głodnym okiem. Fiodor cofnął się mimo woli, gdy warknęło na niego głosem niepodobnym do suchego skrzeczenia, jakie słyszał wcześniej. Prężyło się i szamotało, próbując uwolnić ze sznura na karku, ale kilka rusalek trzymało je mocno.

Jakow i Galina zjawili się zaraz za nim. Oboje uśmiechnęli się i skinęli głowami do Fiodora, a on odpowiedział tym samym, niepewny protokołu. Czy byli jego przyjaciółmi? Czy miał wziąć ich w objęcia albo przynajmniej uścisnąć im ręce? Postanowił zachować dystans i trzymał się z tyłu, słuchając, jak Elena wyjaśnia sytuację nowo przybyłym i przedstawia im Sławę. Biały gawron, który siedział na ramieniu Tatara-Mongoła, zaskrzeczał z oburzeniem.

- W porządku - powiedziała Elena. - Są wszyscy. Jak myślisz, Kościeju, co najpierw, czar czy klątwa?

- Klątwa - odparł Kościej i schował białe pióro do kieszeni długiego czarnego surduta. - Zacznijmy od zabawy.

Rzucił czarnym piórem w Sławę, który zrobił unik, ale pióro podążyło za nim jak pocisk wyszukujący cel. Przyczepiło mu się do głowy i bandyta krzyknął z bólu, gdy czarna, podobna do smoły substancja wyciekła z pióra, zalewając jego twarz i wrzeszczące usta.

Licho śledziło rozwój wydarzeń jedynym płonącym okiem. Często przełykało ślinę i rozglądało się, jakby szukając drogi ucieczki, ale gdy smoła lała się i spływała, tworząc długie nacieki niczym topiący się воск, skupiło spojrzenie na Sławie, jakby przyciągane do niego przez jakąś niewytłumaczalną siłę.

Rusalki poluźniły więzy i Licho rzuciło się ku Sławie, teraz amorficznej bryle smoły. Puściły sznur i Licho skoczyło na swoją ofiarę, zaślinione, z wyciągniętymi

pazurami. Dopadło Sławę jednym długim susem, owinęło go łuskowatymi ramionami i przywarło doń, nagle uległe i zadowolone.

- Co się dzieje? - Szepnął Fiodor.

- Kłątwa - wyjaśnił Kościej. - Licho uczepi się jego. Czegokolwiek by spróbował, skończy się niepowodzeniem.

- Nie zabijesz go?

Kościej odwrócił się; w półmroku jego policzki były czarnymi dziurami, a oczy ledwo pobłyskiwały pod ciężkimi ciemnymi powiekami.

- Nie jestem litościwy. Zwą mnie istotą chtoniczną. Zwą mnie Nieśmiertelnym, ale śmierć jest moją domeną i nie chce mieć nic wspólnego z takimi jak on. Niech chodzi po ziemi już zawsze, jak przekłety Kain z czerwonym piętnem na twarzy, niech Jednookie Licho podąża za nim przez całą wieczność.

- Zostawisz je tutaj?

Kościej wzruszył ramionami.

- Słyszałeś hrabinę. Lepiej wy niż my.

- Ale myślałem...

- Nie ma znaczenia, co myślisz - przerwała mu Elena. - Dopóki przebywasz na powierzchni, nie jesteś przyjacielem. Wy macie swoje problemy, my swoje. Wrzuciliście pod ziemię dość trupów i zepsutej magii. Sami mierzcie się z własnymi problemami.

- Ona też nie jest dobrotliwą istotą - powiedział Kościej z nutką sympatii, która ożywiła jego starczy, łamiący się głos.

Smoła zgęstniała wokół Licha, przemieniając je w bezkształtną bryłę - Sława wyglądał jak garbus, Licho stało się brzydką naroślą. Smoła zaczęła się topić i wkrótce została wchłonięta, zostawiając tylko parę ciemnych plam i kropel na podłodze chaty.

Sława zadrzał, zadygotał, wstrząsany konwulsyjnymi spazmami. Licho stało się garbem na jego plecach, mniejszym niż wcześniej, ale szpecącym i na tyle dużym, by rozedrzeć rdzawobrazową kurtkę na szwie. Bandyta rozglądał się dziko, jakby Licho wyzierało z jego szeroko otwartych oczu.

- Idź - ponaglił Kościej. - Idź i nie wracaj do Kołomienskoje, bo inaczej pożałujesz.

Sława przygarbił się, patrząc na nich wzrokiem osaczonego wilka.

- Wiem, gdzie jest twoja śmierć - warknął do Kościeja i wyskoczył ze światła w otaczającą ich ciemność. Usłyszeli chrzęst śniegu i trzask gałązek. Fiodor odetchnął z ulgą.

Kościej też westchnął.

- Każdy wie, gdzie jest moja śmierć - powiedział, patrząc w ślad za uciekającym Sławą. - Tylko nikt nie rozumie, że to nie ma znaczenia.

- Co masz na myśli? - Zapytał Jakow. Milczał do tej pory, stojąc z przechyloną głową, jakby słuchał jakichś dalekich szeptów, a nie tego, co się wokół działo. - Dlaczego to nie ma znaczenia? Nie boisz się, że ktoś ją znajdzie?

Kościej wyjął z kieszeni białe piórko.

- Można ją znaleźć, ale nie można zniszczyć. Jak zniszczyć negację?

- Metafizyka - wtrąciła Elena. - Dalej, zamień ptaki w ludzi.

- Czekaj - poprosiła Galina. - Jesteście pewni, że wszystkie są tutaj?

- Pewniejsi nie będziemy - odparła Elena. - Rusalki wraz z Pierwszą Kawalerią przetrząsnęły wszystkie zakamarki i spędziły je tutaj.

- Myślałem, że mówiłaś, że kawalerzyści są symbolami - powiedział Fiodor.

Elena niecierpliwie potrząsnęła głową, aż uwolnił się długi pukiel jej gładko zaczesanych włosów.

- A co to ma wspólnego z ich zdolnością do płoszenia ptaków?

Kościej przysunął się do świateł, które teraz zapłonęły jaśniej. Białe pióro w jego palcach zadrżało i wydłużyło się, strzelając długimi mackami oślepiająco białej mgły, która falowała na tle ciemności chaty jak płomień zorzy polarnej.

Ptaki, niewidoczne w czarnych gałęziach drzew, wzbily się do lotu na spotkanie z owijającymi je mackami. Mgła rozpościerała się, aż Fiodor ujrzał przed sobą tylko biel, a w końcu musiał odwrócić wzrok.

Gdy znowu spojrział, zobaczył zwyczajnych ludzi. Pióra przemieniły się w czarne, szare i brązowe ubrania, tylko gdzieś tam rozweselone plamami żywszych kolorów. Rozglądali się, jak zbudzeni z głębokiego snu. Fiodor próbował sobie wyobrazić, czy ich życie w ptasiej postaci stało się tylko mglistym wspomnieniem, niewyraźnym jak przeżycia z marzeń sennych? Czy się zastanawiali, jak tutaj trafili? I, najważniejsze, co czuli, budząc się we własnym ciele w Kołomienskoje o świcie?

Próbował sobie wyobrazić ich życie, ich marzenia. Byli po prostu jak wszyscy inni. Pomyślał o czasach, gdy się wszystko zmieniło, i był rad, że wybrał życie na ulicach, malowanie ekspresyjnych Cyganów i sentymentalnych pejzaży, że nie musiał mieć do czynienia ze zmieniającym się klimatem ekonomicznym i politycznym. Mógł ignorować przestraszone spojrzenia ludzi, którzy czuli, że ich świat się wali, gdy

przemysł naftowy został sprywatyzowany, a anonse najeżyły się przerażającymi, obcymi nazwami stanowisk - copywriter, developer, manager. Technodzieciaki, w okularach i z ziemistą cerą, od dzieciństwa predestynowane do zawodu inżyniera, rzucały szkołę i otwierały własne firmy informatyczne, podczas gdy inżynierowie, nagle na krawędzi śmierci głodowej, sprzedawali papierosy przez okienka kiosków na stacjach metra.

Fiodor wspomniał rozmowę, którą kiedyś podsłuchał na ulicy. Dwaj mężczyźni, obaj niscy, szczupli i nijacy - najpewniej inżynierowie albo młodszy pracownicy naukowcy - przystanęli przy jego obrazach. Nie po to, żeby je kupić (w tej kwestii miał doskonały instynkt), ale gapić się na zapraszający bezchmurny błękit letniego nieba na jednym z płócien.

- Muszę zmienić pracę - odezwał się jeden z nich. Wyglądał jak uosobienie sowieckiego inżyniera, szare nieszkodliwe stworzenie, nieśmiałe do punktu niewidzialności. - Święta chce sprywatyzować mieszkanie, babcia niedomaga, a jej emerytura wystarcza tylko na ryby dla kota.

- Możesz pracować dla mnie - powiedział jego towarzysz. - Możesz sprzedawać szale, mamy spółkę z tymi rękodzielnikami z Wołogdy. I ładne koronki.

- Sprzedawać? - Powtórzył z niekłamanym strachem jego rozmówca. - Nie mogę. Nie umiem.

- Nie ma się czego uczyć - zapewnił go przyjaciel. Jego roztargnione spojrzenie prześliznęło się po Fiodorze, obojętne, jakby był nieożywiony jak jego obrazy. - To łatwe, wystarczy podnosić towar i głośno go zachwalać.

- Nie umiem być głośny - powiedział z rozpaczą w głosie domniemany inżynier.

Gdy Fiodor obserwował, jak ludzie przed chatą spoglądają jeden na drugiego i kręcą głowami, próbując sobie przypomnieć, i jak płaczą w milczeniu, zrozumiał, co ich łączy. Ludzie-ptaki byli tymi, którzy nie umieli być głośni, w żadnym znaczeniu tego słowa - oni tylko próbowali radzić sobie najlepiej jak umieli, czepiając się wspomnienia o godności, na którą nie było miejsca w nowej kapitalistycznej dżungli, bujnej, duszącej i kuszącej, ale blokującej widok na wszystko prócz nich samych. Litował się nad ich niemotą, nad ich niezdolnością do przystosowania się albo cofnięcia czasu.

Wciąż patrzył, podczas gdy Galina i Jakow wyszli z chaty i wmieszali się w tłum. Oksana trąciła go łokciem.

- Chcesz do nich pójść?

- Po co? Co mogę zrobić?

- To nie ma znaczenia - powiedziała. - Nie rozumiesz? Potrzebują kogoś, kto im powie, że wszystko będzie dobrze.

Fiodor zszedł za nią po schodkach chaty, która jakby pojawiła się ponownie w jeszcze przyćmionym świetle, rysując się na tle szarzejącego nieba. Obiecał sobie, że nigdy tu nie wróci, że będzie unikać wszelkich wspomnień o Piotrze Wielkim i jego cholernej chałupie, która zawierała więcej, niż był gotów udźwignąć. Zastanowił się, czy można po prostu zapomnieć o takich sprawach, i uśmiechnął się do siebie krzywo - wódka załatwi sprawę, po co komu wątroba.

Oksana podeszła do starszej kobiety w chustce w krzykliwe czerwone róże, ściskającej kurczowo szeroko otwartą torbę. Szepnęła do niej i musiało to być coś kojącego, bo ramiona staruszki odprężyły się, a zakrzywione palce straciły desperacką kościaną biel.

Fiodor rozglądał się, aż napotkał spojrzenie kobiety w średnim wieku. W trakcie trudnych przejść rozmazał się jej makijaż i teraz wyglądała jak nawiedzona i poturbowana. Podeszedł bliżej, zauważając świeżo naprawione rozdarcie na szwie lekkiego płaszcza, a także niemodne buty z kwadratowymi noskami i obcasami, które nadawały im ortopedyczny wygląd, kojarzony zazwyczaj ze znacznie starszymi kobietami.

- Jestem Fiodor - przedstawił się. - Nic ci nie jest?

- Nie jestem pewna. Co się stało? Szłam do pracy i...

- Gdzie pracujesz?

- W Biriulewie. W zakładach mięsnych. Gdzie jesteśmy?

- W Kołomienskoje. Będziesz musiała wrócić metrem.

- I autobusem - powiedziała, patrząc przez niego na przestrzał nieobecny wzrokiem. Mimo to miał wrażenie, że rozmowa o zwyczajnych sprawach pomaga jej odzyskać grunt pod nogami.

- Linia sto sześćdziesiąt dwa?

Skinęła głową.

- Jest też parę nowych. Co ja tu robię?

- Nic nie pamiętasz?

- Pamiętam mężczyznę - odparła. - Mężczyznę, który szedł za mną do zakładu. A potem... - Przeciągnęła ręką po twarzy. - Miałam dziwne sny, śniłam o locie przez

wodę, przez czarną rzekę, i o obserwujących mnie białych, bladych twarzach... Pamiętam też dachy miasta, jakbym patrzyła na nie z powietrza.

- Wygląda to na całkiem przyjemny sen. Czy ktoś czeka na ciebie w domu?

- Tylko córka, Daria - odparła kobieta i uśmiechnęła się lekko. - Dobra dziewczynka, bardzo mądra. Mówi, że zostanie matematykiem. Chcesz zobaczyć jej zdjęcie?

- Jasne - odparł Fiodor.

Czekał, gdy kobieta przetrząsała pojemną torbę, przerzucając grzebienie, puderniczki, portmonetki, plastikowe torebki, pachnące chusteczki i wszelakie inne tajemne przedmioty, jakie zawierają damskie torebki tej wielkości. Był zaskoczony spokojem otaczających go ludzi - nikt nie histeryzował ani nie rozpaczał, podobnie jak stojąca przed nim kobieta. Jej ruchy wydawały się niemrawe, jakby właśnie zbudziła się z głębokiego snu (przypuszczał, że tak było), albo jakby świadomie unikała wszelkich myśli, które mogłyby wywołać panikę. Pomyślał również, że przebywanie w tłumie ludzi musi podnosić ją na duchu, jeśli nawet nie pamięta, jak się tu znalazła. Kątem oka zobaczył, że kilka byłych ptaków ruszyło ścieżką do wyjścia, i odetchnął z ulgą. Wrócą do domu i znajdą jakiś sposób, żeby wytłumaczyć sobie sny i brakujący czas.

Kobieta wreszcie wyłowila małe czarno-białe zdjęcie na tekturce, osłonięte przezrzystą folią, oklejone taśmą na brzegach. Dziewczyna na zdjęciu była kompletnie nijaka, ale Fiodor pokiwał głową i mruknął z zachwytem.

- Urocze dziecko - powiedział. - Słuchaj, może powinnaś ruszyć do domu, powiedzieć jej, że nic ci nie jest? Musi być chora ze zmartwienia.

Kobieta rozejrzała się z konsternacją.

- Jest zima?

- Nie. Wciąż mamy październik. Tylko ostro popierdolony.

Usłyszał głos Galiny.

- Masza! Masza!

- Przepraszam - powiedział do kobiety. - Muszę zobaczyć, co się tam dzieje.

Skinęła głową, patrząc za ludźmi odchodzącymi ścieżką.

- Nie martw się o mnie. Metro już musi być czynne, więc lepiej pójdę. Zanim się zacznie szczyt. - Uśmiechnęła się. - Dzięki, że przystanąłeś, żeby ze mną pogadać.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział i odwrócił się, żeby znaleźć Galinę. Zobaczył, jak biega spanikowana od jednej grupy ludzi do drugiej. Patrzyła niespokojnie w twarze kobiet, łapała za rękawy. Jakow podążał za nią.

Fiodor zrównał się z nimi.

- Co się dzieje?

Galina wytarła rękawem załzawione oczy.

- Masza... - Szepnęła. Zgasł w niej cały ogień. - Moja siostra.

Nie ma jej tutaj.

MASZA

Milczący park ożył śpiewem ptaków, gdy pierwsze promienie słońca przeniknęły przez nagie czarne gałęzie drzewa, które rysowały się na tle nieba bladego jak akwarela. Galina słuchała z roztargnieniem dźwięków - były to małe zwyczajne ptaki, sikorki, kowaliki i strzyżyki. Słyszała płynące z dali krakanie wron, ale nie Maszę. Usiadła skulona na śniegu, w końcu wyczerpana, i przyciągnęła kolana do piersi. Wszystko na próżno. Przemiana ptaków w ludzi, setki ludzi, którzy poszli do domów, do swoich rodzin - przed chwilą, na jej oczach - nie miała znaczenia. Maszy tu nie było, wszystko straciło sens. Nie potrafiła sobie wyobrazić powrotu do domu. Myślała obojętnie, że może zamarznąć na śmierć, umrze tutaj w śniegu, że taki koniec będzie równie dobry jak każdy inny.

Jakow usiadł obok. Serce jej zatrzepotało, gdy zobaczyła ptaka w jego ręce, i szybko zwolniło - ptak był zwyczajną wroną, która natarczywie krakała.

- Wyobraź sobie - zagadnął - ta wrona była jedynym prawdziwym ptakiem w całym stadzie. To mój Carl.

- Twój pupil - przypomniała sobie.

- Tak mi przykro - powiedział. - Elena mówi, że jeszcze raz przeszukają podziemie.

- Jaki w tym sens? Czar przepadł, a Ałkonost nie ma więcej piór.

- Kościej...

- Nie może nic zrobić bez piór - dokończyła, zdecydowana pogрузić się w rozpacz z determinacją, na jaką było ją stać w tej chwili przygnębienia. - I skąd wiesz, że nie ma jej gdzieś po tej stronie?

Jakow milczał, jego palce z roztargnieniem pieściły lśniącą czarną głowę ptaka.

- Przykro mi. Wiem, jak się czujesz, ale naprawdę nie powinnaś siedzieć na śniegu, zamarzniesz.

- I dobrze - mruknęła ponuro. Poczwała się śmieszna i mała, i nieproszone łyzy znów zaszczypały ją w oczy.

- Chodź - powiedział Jakow i pomógł jej wstać. - W chacie jest ciepłej.

Galina westchnęła i weszła za nim do środka. Elena powitała ją uśmiechem, który zgasł, gdy tylko zobaczyła jej twarz. Uścisnęła ją ciepło.

- Szkoda, że nie mamy tu herbaty. Galina skinęła głową.

- Byłoby miło.

Oksana, Jakow, Fiodor i Kościej przyglądali się im, więc Elena objęła ramiona Galiny i odwróciła ją twarzą do okna, plecami do pozostałych.

- Nie zwracaj na nich uwagi - szepnęła. - Chcą dobrze, ale nie wiedzą co powiedzieć. Szczerze mówiąc, ja też nie wiem.

- Gdzie jest Zemuna? - Zapytała Galina. - I Timur-bej?

Elena machnęła ręką.

- Pod ziemią. Możesz ze mną wrócić, jeśli chcesz. Tam nie jest źle i możesz zapomnieć o tym, o czym nie chcesz pamiętać. Jeśli coś ci szczególnie doskwiera, zawsze możesz to dać wioślarzowi.

- Wiem. Jakow go spotkał i nie wydawał się zbyt szczęśliwy.

Elena wzruszyła ramionami.

- Tak to już jest. Ale wioślarz może ci pomóc, naprawdę. I tam jest spokój. Będzie jeszcze spokojniej, gdy pozbyliśmy się Licha i Zlydena. Możemy pić herbatę i rozmawiać przez cały dzień.

Galina pokiwała głową.

- Brzmi nieźle.

Lepsze niż alternatywa, pomyślała. Wspomniała historię Sirin, potęgę jej głosu, który sprawiał, że ludzie pogrążali się w cichym zadowoleniu - gorszym od śmierci, przynajmniej tak mówiły opowieści, choć nigdy nie wyjaśniały dlaczego. Bohaterowie powinni wytrwale zmagać się z przeciwnościami, są tworzeni do walki, nie do składania broni. Ale gdy walka się kończy, a ktoś ciągle przegrywa, dlaczego nie poddać się zadowoleniu? Nic jej nie trzyma na powierzchni.

Usłyszała, że Fiodor i Jakow poszeptują za ich plecami. Odwróciła się, ciekawa, co się dzieje. Postanowiła porzucić nadzieję, ponieważ nadzieja mogła ją tylko jeszcze bardziej zranić, ale nie mogła się powstrzymać.

Fiodor pokazywał Jakowowi i Kościejowi kawkę, a Siergiej, wciąż w ciele białego gawrona, przyglądał się sceptycznie. Bolesny spazm ścisnął serce Galiny.

- Nie - powiedział szybko Fiodor - to nie twoja siostra, przykro mi. To ten facet, Władimir, a raczej jego dusza, rozumiesz? Była w jednej z tych szklanych kulek, szczer Oksany wykradł ją Sławie, a my wcisnęliśmy ją w kawkę. Kościej wspomniał, że może zdoła przywrócić Siergiejowi ludzką postać, więc pomyślałem, że może też pomóc Władimirowi.

Władimir zaskrzeczał z napięciem w głosie:

- Naprawdę jesteś Kościejem Nieśmiertelnym?

- Naprawdę - odparł Kościej. - I owszem, mogę ci pomóc, ale muszę mieć odpowiednie ciało.

Jakow i Fiodor wymienili spojrzenia.

- No co? - Zapytał Kościej. - Nie mogę zrobić czegoś z niczego. Przekładanie dusz to jedno, ale robienie ciał z powietrza to pomysł zbyt metafizyczny.

- Ale te ptaki... - Zaczął Jakow.

- Ci ludzie zostali przemienieni w ptaki przez magię, jakiej nie posiadam. Odczarowałem ich, to wszystko. Ale jak według was miałbym zrobić ludzkie ciało ze szklanej kulki albo z głupiej kawki? Nie słyszeliście o prawie zachowania masy, idioci?

Jakow i Fiodor pokiwali głowami, milcząc jak skruszony dzieci.

- Rzućmy okiem, co zrobiliście z obecną tu kawką. - Kościej wziął ptaka z rąk Fiodora. - Ho, ho... Chwileczkę... A co to takiego?

- Co? - Zapytała Oksana. - Zrobiliśmy coś źle?

- To znaczy, poza wepchnięciem kulki do dzioba niczego niepodejrzewającego ptaka? - zadrwił Kościej. - Tak, w istocie. Ten ptak... To jeden z tych zaklętych.

- W takim razie dlaczego się nie przemienił? - Zapytał Jakow.

- Bo wpakowaliście w niego drugą duszę. Zastrani amatorzy. - Kościej przez jakiś czas przyglądał się kawce, po czym spojrział na Galinę. Gdy przemówił, jego głos był wyważony, ostrożny: - Moja droga, mam dobrą i złą wiadomość.

Galina z trudem przełknęła ślinę, bo zaschło jej w gardle. Słyszała w uszach ogłuszający huk krwi. Ledwo rozumiała słowa Kościeja.

- Dobra wiadomość jest taka - powiedział - że chyba znaleźliśmy twoją siostrzyczkę.

Galina przypomniała sobie, jak Masza uciekła z domu. W przeciwieństwie do większości dzieci, które wracały w porze kolacji, Masza wciąż szła przed siebie; policja zatrzymała ją piętnaście kilometrów od domu, za obwodnicą, która otacza miasto niczym wąż połykający własny ogon, krztuszący się trującymi wyziewami spalin i smoły rozgrzanej na słońcu. Gdy policjant przywiózł ją do domu, jej sukienka - różowe różyczki na blado-żółtym tle - pachniała benzyną i spalinami. Masza nie umiała udzielić przekonującej odpowiedzi na pytania dorosłych - Dlaczego? Co chciałaś zrobić? - Tylko patrzyła na zmartwione twarze mamy i babci. Dopiero gdy dały jej spokój i Galina zapytała ją o to samo, wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Po prostu chciałam być daleko.

- Nie jesteś tu szczęśliwa, z nami?

- Jestem. - Masza uśmiechnęła się, odzyskując zwykły pogodny nastrój. - Chciałam tylko zobaczyć, czy gdzie indziej mogę być szczęśliwsza.

Rzeczywiście, gdzie indziej. Nawet jej bunt miał dobroduszny charakter, nie był negacją, lecz kolejną próbą aprobaty, ogarnięcia większej części świata. Galina zazdrościła jej zdolności do kochania - gdy ona uciekła jako dziecko, błąkała się po okolicznych ulicach i rozkoszowała fantazją o rozpaczach i wyrzutach sumienia matki, dopóki się nie zmęczyła i nie zgłodniała; dłużej nie mogła się karmić ponurą urazą i wróciła do domu na kolację. Masza nauczyła ją, że miłość i ciekawość dają więcej siły.

Spojrzała na kawkę siedzącą na dłoni Kościeja.

- Co się stanie? - Zapytał ptak. - Ze mną, to znaczy z Władimirem.

- Będziemy musieli znaleźć ci inne naczynie - odparł Kościej. - Obawiam się, że mamy tylko szczury.

Władimir nie wydawał się zachwycony.

- Nie martw się - powiedział Fiodor. - Jestem pewien, że pod ziemią znajdziemy coś odpowiedniejszego. Może wronę, jak Siergiej.

- Nie chcę iść pod ziemię - sprzeciwił się Władimir.

- Ja też nie - dołączył do niego Siergiej.

- Cóż, raczej nie macie wyboru, prawda? - Zauważyła Elena. - Chyba że chcecie zostać tutaj, ale wiecie co mówią o białych wronach. Poza tym pod ziemię nie ma kotów, z wyjątkiem Bajuna.

Galina westchnęła.

- A co z moją siostrą? Czy to znaczy, że na zawsze zostanie ptakiem?

Kościej wzruszył ramionami.

- To zła wiadomość, moja droga. Nie mogę jej odmienić, ale mogę przenieść jej duszę w ciało innej kobiety, oczywiście jeśli je znajdziesz.

- Chcesz powiedzieć, że aby ona żyła, ktoś będzie musiał umrzeć? - Zapytała. Pomysł wcale nie wydawał się potworny, przecież ledwie parę minut temu rozważała, czy nie zamarznąć na śmierć. Złość była niewystarczająca, żeby ją zmusić. Ale miłość...

- Nie - powiedział Kościej. - W zasadzie nie umrzeć. Po prostu zamienić się z nią miejscami, zostać ptakiem.

- Jak te dwa? - Galina wskazała Siergieja i Władimira.

- Niezupełnie. Oni zachowują się po ludzku, bo ich dusze, opakowane w szkło, nie są związane z ptasimi ciałami. Są jak ręce w pacynkach, ożywiają je, ale nie stanowią z nimi jedności. Bez szklanej osłony dusza ludzka stanie się duszą ptaka.

Galina skinęła głową.

- Ja się z nią zamienię. Z przyjemnością.

Elena obrzuciła ją zmartwionym spojrzeniem.

- Galino... Myślisz, że to naprawdę dobry pomysł?

Galina się uśmiechnęła.

- Najlepszy, jaki kiedykolwiek miałam. Pozwólcie mi tylko coś jej powiedzieć, dopóki jeszcze mogę mówić.

Kościej chwycił ptaka, żeby wyłuskać z wola szklaną kulkę z duszą Władimira. Galina skrzywiła się, widząc to bezceremonialne traktowanie siostry, i odwróciła wzrok. Spojrzała dopiero wtedy, gdy szklana kulka leżała bezpiecznie na wąskiej dłoni Kościeja, wśród garbów kości biegnących równolegle jak klepki beczułki.

Galina ujęła kawkę w dłonie, ostrożnie, jak kruchą bombkę choinkową. Kawka patrzyła na nią koso, przekrzywiając łebek, z szelmowską miną. Galina wyszła na dwór.

- Posłuchaj - powiedziała do kawki - kiedy przypomnisz sobie to wszystko - i musisz, musisz - błagam, nie czuj się źle. Jasne, to ciało jest starsze niż twoje, ale więcej nie mogę zrobić. Pamiętaj, masz dziecko i teraz ty musisz opiekować się mamą. Nie mów jej, co się stało. Po prostu bądź sobą.

Spojrzała na nagie drzewa, delikatne, a zarazem surowe, rysujące się na niebie jak na obrazie. Szukała słów, żeby wszystko wyjaśnić słuchającemu uważnie ptakowi.

- Z początku nie będzie cię lubiła, ale szybko zrozumie, że nie jesteś mną. Po prostu rób to, co zawsze. Chciałabym ci to ułatwić, żałuję, że nie wszystko będzie jak

było. Będziesz starą panną, ciotką własnego dziecka, ale to lepsze, niż gdyby cię wcale nie było. Twój mąż wróci z wojska i będzie rozpaczał po tobie, a ty nie będziesz mogła powiedzieć mu prawdy. Prawda będzie cię dręczyć, ale nic nie mów, żeby historia się nie powtórzyła. Żadnych znaków, żadnych opowieści o klątwie, bo inaczej cię zamkną, a to ci się nie spodoba. Zostawiam cię z moimi wadami.

Ale też z zaletami. Masz pracę - wystarczy, że odkurzysz swój angielski, a Wielikanow wybaczy ci, że opuściłaś parę dni, i będzie ci nadskakiwał podczas każdej przerwy. Może nawet go polubisz.

Ale zapamiętaj przede wszystkim, że postaram się ciebie odwiedzać. Nie wiem, jak to jest być kawką, nie wiem, czy w ogóle będę coś pamiętać, ale jeśli coś zapamiętam, to na pewno to. I proszę cię o jedno: pamiętaj, że kiedyś miałaś siostrę, siostrę, która kocha cię bardziej niż czterdzieści tysięcy braci.

Galina przełknęła ślinę i zastanowiła się co jeszcze powiedzieć. Chciała mówić o miłości i o potędze tego uczucia, o ucieczce Maszy przed laty - jeśli miłość była dość silna, żeby ją zabrać, była również wystarczająco potężna, żeby sprowadzić ją z powrotem. Chciała jej powiedzieć, żeby była dobra dla matki, choć w zamian nie otrzyma dobroci - przynajmniej nie z początku, gdy matka wciąż będzie myślała, że kobietą w ciele Galiny jest Galina, ta sama felerna istota. Ale Masza już to wiedziała, i jeśli ktoś mógł pozyskać sobie ich matkę, to tylko ona.

Galina wróciła do chaty z kawką na nadgarstku.

- Jesteśmy gotowe - powiedziała do Kościeja. - Tylko się pożegnam.

Jakow niezgrabnie skłonił głowę.

- Co zamierzasz zrobić? - Zapytała.

Skrzywił się.

- Nie wrócę pod ziemię, to pewne.

- A co z twoim dziadkiem?

- Chyba poślę mu list. Moja matka... Potrzebuje mnie bardziej niż on. I są sprawy, którymi muszę się zająć.

Galina zwykle nie była ciekawska, ale teraz rezerwa wydawała się zbędna.

- Jakie?

Wzruszył ramionami, aż siedząca na nich wrona zakrakała, trzepocząc skrzydłami.

- Po pierwsze, chcę porozmawiać z byłą żoną. Muszę wiedzieć, co się stało... Czy myślałaś kiedyś, że są ludzie, dla których powinnaś być miłsza?

Galina skinęła głową.

- To samo jest z moją byłą - powiedział. - Są rzeczy, które musimy omówić.

- Powodzenia.

- Wzajemnie. To naprawdę miłe, to, co robisz dla swojej siostry.

Była wdzięczna, że nie próbował odwieść jej od tego zamiaru.

- Dzięki. Powodzenia na powierzchni.

- Ja zostaję pod ziemią - powiedział Fiodor. - Tam jest znacznie przyjemniej.

- Tak - zgodziła się Oksana. - Wysłałam na powierzchnię, żeby pomóc, ale teraz nie mogę się doczekać powrotu, choć Sowin będzie zły, bo przeze mnie zginął jeden z jego szczurów.

- Mogło zginąć ich więcej - powiedziała Galina. - Ty zresztą też. Dzięki za pomoc.

Oksana wzruszyła ramionami.

- Ja myślę.

Timur-bej bez słowa uścisnął dłoń Galiny.

- Do zobaczenia w podziemiu - powiedziała i zwróciła się do Eleny: - Z tobą też.

Elena miała lekko nadąsaną minę.

- Nie poszło po mojej myśli. Ale zawsze będziesz mile widziana, mimo że kawki są kiepskimi interlokutorami.

Galinie pochlebił zawód, wyraźnie brzmiący w jej głosie.

- Cieszę się, że cię poznałam. Naprawdę chciałabym się z tobą przyjaźnić.

Potem nie miała już nic więcej do powiedzenia i popatrzyła na Kościeja.

- Chyba jestem gotowa.

- Dawno tego nie robiłem - wyznał. - To coś zupełnie innego niż wkładanie śmierci w igłę.

Galina chciała zapytać, jaka jest różnica pomiędzy duszą i śmiercią, jak nauczył się robić takie rzeczy, jakie są jego relacje z Babą Jagą. Ale pytań było zbyt wiele - nigdy nie zadałaby wszystkich, a ta szansa była ostatnia. Wydawało się, że lepiej odejść w milczeniu. Niech Masza szuka odpowiedzi.

- Zaczynamy - oznajmił Kościej.

Polecił Galinie stać spokojnie i patrzeć w oczy ptaka siedzącego na jego ręce. Kątem oka widziała, jak Kościej wysnuwa z powietrza i splata cienkie, przezroczyste nici magii. Poczowała szturchnięcie od środka, chwilowy zawrót głowy, jakby spadała do studni. Oko kawki stało się czarne i wielkie przed jej twarzą, jak czarny księżyc, jak bezgwiezdne niebo, jak dno studni.

Ogromne oko skurczyło się w źrenicę otoczoną orzechową tęczówką, szarfowaną złotymi i brązowymi kreskami. Gdy się odsunęła, jej pole widzenia się poszerzyło. Zobaczyła bladą twarz, niebieskawe smugi cieni pod zmęczonymi oczami i bezkrwiste, udreżone usta. Dopiero po chwili pojęła, że patrzy na własną twarz.

Oczy kobiety skupiły się, usta rozchyliły w wyrazie dziecięcego zdumienia.

- Gałka? - Szepnęła.

- Tak, Masza, to ja - chciała odpowiedzieć, ale z jej ust, z jej dziobu z twardej kości i rogu, popłynęło głośne, radosne skrzeczenie.

„To ja”, krzyknęła kawka Galina, „a to ty. O Boże, jestem taka szczęśliwa, że cię znalazłam. Przykro mi, że nie jest tak idealnie, jak chciałam. Śmiało, idź, przytul swoje dziecko, powiedz mamie, że będzie dobrze, odwiedź babcię w szpitalu. Idź, idź”.

Poczuła niespokojne łaskotanie w ramionach (skrzydłach), i rozpostarła je szeroko. Krążyła po chacie, ledwo zauważając twarze stojących tam ludzi, aż znalazła otwarte drzwi i wyleciała na dwór. Były tam inne ptaki, ale na nie przyjdzie czas później. Zatoczyła krąg nad chatą, wzbijając się coraz wyżej w powietrze.

Zobaczyła kobietę i mężczyznę, wyglądających znajomo - kobieta była wysoka, przygarbiona i blada, mężczyzna krępy i kanciasty. Oboje wyszli z chaty i ruszyli ścieżką. Gdy wleciała wyżej w niebo, przemienili się w dwie plamki powoli sunące po wielkiej bieli na dole, czarne gałęzie drzew tkwały nad nimi delikatną siatkę. Rzeka, wciąż wolna od lodu, wiła się jak czarny pas pomiędzy białymi brzegami, a biała cerkiew była ledwo widoczna na tle pokrytego śniegiem zbocza, tylko cebulasta kopuła złociła się w promieniach słońca.

Sfrunęła spiralą w dół, by jeszcze raz rzucić okiem na drewnianą chatę w samym sercu parku, i patrzyła, jak wysoki, chudy niczym szkielet mężczyzna wychodzi i wyciąga szyję, osłaniając oczy przed słońcem. Obok niego stała kobieta w czarnej aksamitnej sukni, ze strzelbą w ręku. Oboje śledzili ją wzrokiem.

Zobaczyła również cygańską dziewczynę, otoczoną przez armię szczurów, zmierzającą ku rzece; towarzyszył jej wysoki chudzielec, nie całkiem z nią, nie całkiem osobno. Usiedli na brzegu, szczury rozpostarły się wokół nich jak żywy koc, i patrzyli na gładką powierzchnię rzeki.

W głębi serca kawka wiedziała, że niedługo znów znajdzie tych ludzi, że przeleci za nimi przez wyimaginowane okno albo odbicie drzwi w kałuży po deszczu; pamiętała inne ptaki podziemia i zachowała czułe wspomnienie o białej krowie, która

jarzyła się ciepłym błękitnawym światłem i tryskała gwiazdami jak mlekiem. Ale jeszcze nie teraz - najpierw musi zająć się różnymi sprawami tutaj, na powierzchni.

Wzbiła się dość wysoko, by zobaczyć ulice za parkiem, ożywione niespiesznie kłębiącym się tłumem i zapachami ognia i spalin; zobaczyła przysadzisty grobowiec stacji metra, wypływający i połykający ciemne tłumy. Słyszała podzwanianie tramwajów, ciężkie westchnienia autokarów i trąbienie klaksonów; czuła zapach świeżego chleba, piwa i popiołu.

Skierowała się na północny zachód, gdzie wiele złotych kopuł zapalało się w słońcu, a zegar na Wieży Spasskiej oznajmiał godzinę głębokim głuchym biciem; zatoczyła krąg nad Car Puską i Car Kołokołem, niebieskawymi od patyny, ogromnymi i niedorzecznymi w ich przesadnych rozmiarach. Jej skrzydła cięły powietrze na równe fragmenty, gdy zanurkowała nad Plac Czerwony z niebieskimi świerkami przy Mauzoleum, gdy znów frunęła nad rzekę, gdzie odpoczęła na balustradzie garbatego, bogato zdobionego mostu. Potem krążyła nad Nowym Arbatem i mimochodem zahaczyła o Gazietnij Pierieułok.

Jej lot nabierał znaczenia, gdy przypominała sobie, że te miejsca są z jakiegoś powodu ważne. Ale jej ludzka pamięć już zanikała, zostawiając tylko inteligencję i instynkt ptaka. Zostało tylko parę kwestii, i oczyma duszy ujrzała wysoką kobietę idącą przez zaśnieżony park, kobietę o orzechowych oczach, z oszołomioną miną. Galina nie pamiętała, jak ani dlaczego ta kobieta jest ważna, ale myślała o niej z ciepłym uczuciem, jakim darzy się pokrewną duszę.

Da sobie radę, pomyślała kawka. I tylko to się liczyło.

PODZIĘKOWANIA

Książka ta powstała dzięki wielu ludziom - moim nauczycielom historii i moim instruktorom teorii marksistowskiej, cudownym starym profesorom z Wydziału Biologii na Uniwersytecie Moskiewskim, gdzie miałam zaszczyt studiować, a także inżynierom i ulicznym artystom Moskwy, będącym moim źródłem inspiracji.

Mam dług wdzięczności wobec wielu pisarzy i pierwszych czytelników, którzy służyli mi radą, wsparciem i przyjaźnią, a należą do nich: Paul Tremblay, Jay Lake, Catherynne Valente, Nick Mamatas, Bill Preston, Paul Jessup, Paul Abbamondi, Sarah Prineas, Hannah Wolf Bowen, Mike Allen, Mike Kelly, Jessica Paige Wick, Darin Bradley, Ivona Elenton, David Schwartz, Jenn Reese, Forrest Aguirre, Barth Anderson i Amal al Mohtar.

Dziękuję cudownym ludziom z Prime - Seanowi Wallace'owi za to, że wierzył w tę książkę, i Stephenowi Segalowi za projekt graficzny i tolerowanie nocnego dobijania się przez komunikator internetowy.

Zawsze będę wdzięczna rodzinie: Chrisowi, mojemu cierpiącemu bez skargi mężowi, który musi mnie znosić na co dzień, mojej mamie, tacie, siostrze Nataszy, teściowi i Connie za ich zachętę i miłość.

Dziękuję Wam wszystkim, że jesteście w moim życiu.